



*Świat nie wybacza  
zbrodni i inności*

*Iwona Żytkowiak*

# ŚWIAT RUTY

*Prószyński i S-ka*

*Iwona Żytkowiak*

# ŚWIAT RUTY

*Prószyński i S-ka*

Copyright © Iwona Żytkowiak, 2016

Projekt okładki

Ewa Wójcik

Zdjęcie na okładce

© Irene Lamprakou/Arcangel Images

Redaktor prowadzący

Michał Nalewski

Redakcja

Anna Płaskoń-Sokołowska

Korekta

Katarzyna Bizacka

Agnieszka Ujma

ISBN 978-83-8097-781-5

Warszawa 2016

Wydawca

Prószyński Media Sp. z o.o.

02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28

[www.proszynski.pl](http://www.proszynski.pl)

Mojemu Mężowi (niezmiennie)

Jeśli chce się być szczęśliwym, nie wolno gmerać  
w pamięci.

E. CIORAN

Pamięć jest straszliwa. Człowiek może o czymś zapomnieć  
– ona nie. Po prostu odkłada rzeczy do odpowiednich  
przegródek. Przechowuje dla ciebie różne sprawy albo je przed  
tobą skrywa – i kiedy chce, to ci to przypomina. Wydaje ci się,  
że jesteś panem swojej pamięci, ale to odwrotnie – pamięć  
jest twoim panem.

J. IRVING

Dobro i zło należy pamiętać wiecznie. Dobro, ponieważ  
wspomnienie, że kiedyś nam je wyświadczone, uszlachetnia nas.  
Zło, ponieważ od chwili, w której je nam wyrządzono, spoczywa  
na nas obowiązek odpłacenia za nie dobrem.

M. GOGOL

## Prolog

To ja, Ruta.

*To ja, Ruta. Ciałem jestem. Urodziłam się jako piąte dziecko, pierwsze płci żeńskiej. Moich braci nie kołysał las, nie śpiewał im ptak. Nie szeptały im matczyne usta, nie tknęły ich szorstkie dłonie mojego ojca. Użyźnili ziemię, na której kołyszą się chybotliwe brzozy. W ich koronach remizy uwiły sobie gniazda. Cienkimi dziobami jak wrzecionem wysupłwały misterne koszyczki, w których kwilą nieopierzone pisklęta. Urodziłam się przypadkiem. Ani na wzór, ani na podobieństwo. Urodziłam się pewnego ranka, kiedy mgła gęsta, lecz lekka jak połać zefiru z merceryzowanej przędzy spowijała łąki, gdy las, zbudzony ze snu, szumiał wciąż te same historie.*

*– Może tym razem się uda? – spytała matka, trzymając w ramionach mały kwilący tobołek. Ojciec patrzył zdziwiony, ręce miał niezgrabne, nieprzywykłe do dotyku.*

*I stałam się – jak stają się miliony istnień.*

\*\*\*

*To ja, Ruta, ciałem i duchem jestem. Poruszam się na krawędzi oddzielającej jedno życie od drugiego, jeden świat od drugiego. A ciało moje miękkie i ciepłe, a dusza moja przekracza granicę, za którą mieszkają umarli. Noszę w sobie pamięć pierwotną. Moje życie dryfuje w kosmosie, czasem przystaje jak zepsuty zegar. A sny moje mają schowki i zakamarki, w których pochowane są zdarzenia. Widzę lęki i fobie. Rosną i rosna,*

*a potem moszczą się wygodnie, rozpasają się we mnie, zatykają  
arterie. I wówczas brakuje mi oddechu i krew zastyga w żyłach,  
i trwam między ziemią a niebem. Lecz gdy tylko otwiera się we  
mnie śluza, lęki i fobie kanalizują się i wylewają ze mnie,  
spływają korytem na zewnątrz, rwane nurtem, płyną,  
pozostawiając we mnie ciszę. A potem mogę znów wyjść na  
zewnątrz siebie. Stanąć na ziemi, odcisnąć nowe ślady, po  
których mnie odnajdą. Pośród ludzi, zdarzeń, pośród przeszłości  
i przyszłości, pośród kolorów, kształtów, zapachów. Bo ciałem  
i duchem jestem. Ja, Ruta.*



# CZĘŚĆ I

## 1.

### Dziewczyna z mgły

Zanim cokolwiek było widać, zanim kształty określały domy, drzewa, lampy, niewielki mostek ze szczerbatą barierką, pod którym meandrując między uśpionymi jeszcze domami, wartko płynęła Młynówka, słycać było miarowe kroki. Ich odgłos ciał ciszę, rozchodząc się echem po rzadko uczęszczanej uliczce Kwiatowej. Dopóki na lewo od niej nie wybudowali kilku domów jednorodzinnych, mało kto tamtędy chodził, bo droga prowadziła donikąd. W którymś momencie kończyła się jak urwana piosenka, zaraz za asfaltem, którego czarna wstęga przygniatała porastające pobocze chaszczę. Dalej ledwie ścieżynka prowadziła przez podmokły teren, gdzie latem słycać było rechotanie żab, które nie było wcale tak liryczne, jak mogłoby się zdawać, ale miało w sobie coś osobliwego... coś jakby skrzeczenie, jak zgrzytanie drzwi domu. Ale i ścieżynka nagle się urywała, a właściwie kurczyła w ledwie widoczną pośród traw nitkę, na której odciskały się ślady drobnych stóp. Zapewne kobiecych, bo kto to widział, żeby facet miał takie tycie stopy. Po kilkudziesięciu metrach wsnuwała się, niewidoczna niczym błęd na osnowie, na podwórzu okolone starym płotem, którego zmurszałe sztachety, szczerząc się zadziornymi, ostrzegały przed wtargnięciem na niezbyt gościnny teren. W głębi majaczyły niewielkie okna domu, tłące się słabym światłem jak wystraszone. Dom zresztą też był jakby zdziwiony swym jestestwem pośród ugorów, wysokich traw i młodniaka, który kiedyś wyrastał jako młodniak, a teraz był już raczej dość

dojrzałym lasem. Skraj jego był tu, natomiast dalej w głąb ciągnął się gęstwą, rzadko kiedy przemierzaną przez mieszkańców Barlinka, aż do najbliższych zabudowań gospodarskich odległej o kilka kilometrów niewielkiej wsi. Powiadają, że wszystkie drogi prowadzą do domu. I pewnie do wszystkich innych domów na świecie tak – ale ten był inny. Zewsząd bronił dostępu do swego wnętrza zaroślami ciernistej tarniny i głogu, okalającymi go niczym kolczasty drut. Głuchy i zapomniany przez Boga i ludzi. Długo nie miał nawet adresu. Dopiero ileś dobrych lat po wojnie jeden z urzędników – tych, co to nade wszystko lubią mieć porządek w papierach, choć życie częstokroć mają nieuleadzone, bo albo stare panny, albo kawalerowie nie do życia – zawziął się i po wielu topograficzno-historycznych poszukiwaniach, nigdzie nie natrafiwszy na ów obiekt z woli własnej, posługując się nieznanymi nikomu paragrafami o nadawaniu nazw ulicom, nazwał to miejsce Drogą do Wilczego. Co w ogóle się z prawdą nie zgadzało, bo owa ścieżka nijak za **drogę** uchodzić nie mogła, a tylko przez drobne stopy, które z ledwością dotykały ziemi, była wydeptaną zieloną nitką, wyglądającą jak lekko pod włos zaciągnięta ciemniejsza kreska na zielonej aksamitnej tkaninie. Łatwiej było ją dostrzec zimą, kiedy na białej płaszczyźnie kształty stóp odciskają się jak ślady niewielkiej zwierzyny, co to gdyby mogła, ledwie muskałaby podłoże, by jak najmniejszy trop po sobie zostawić na pokuszenie złęgo.

W którymś miejscu, zależy, jak spojrzeć, tuż za domem, las piał się na niewielkie, ale dość strome Wzgórze Wisielców, które mieszkańcy nazwali tak, choć nikt nigdy nie słyszał, by na tym wzgórzu kiedykolwiek ktoś tak okrutnie rozstał się z życiem. Za to rozciągał się stąd rozległy widok na miasteczko i okolicę. Widać było nowe osiedle domków jednorodzinnych,

za którym wyrastały wysokie bloki mieszkalne. Nieco na prawo i z drugiej strony, trochę na lewo, chowały się w chmurach wieże kościołów. Wieża starego, pokryta szlachetnym grynszpanem, wyglądała niczym wielki malachitowy kolec bodący niebo. Wieża nowego nie była strzelista, ale miała kształt graniastosłupa foremego, pod którym transept krzyżował się z nawą główną kościoła św. Wojciecha.

\*\*\*

Wyłaniała się z mgły, ale nie tak od razu, przenikała przez mleczną kotarę powoli, jak w zwolnionym tempie, jakby zastanawiała się, czy chce przejść do następnego kadru, jakby ćwiczyła ruch sceniczny, jakby ktoś – jak w kiepskim przedstawieniu – najpierw imitował kroki, a potem wyrzucił ją przed kurtynę. Rozstępowały się kotary mlecznej mgły. I teraz już była naprawdę. Przechodziła do prawdziwego życia.

\*\*\*

Przestrzeń mojego samochodu wypełniał przejmujący głos Céline Dion. (...) All by myself. Don't wanna be. All by myself. Anymore!. Śpiewałam razem z nią, choć Bóg mi świadkiem, że nie zostałam obdarzona szczególnym talentem wokalnym. Tę piosenkę pamiętałam z czasów tak zwanej młodości, kiedy jeszcze mało kto słyszał o Céline, a ten kawałek wykonywał Eric Carmen, w którym zakochałam się pierwszy raz po dyskotecę w Limbie, ale zaraz o nim zapomniałam, bo bardziej zafascynował mnie Wiktor, a drugi raz – po wielu latach – kiedy robiłam wszystko, by o Wiktorze zapomnieć, a rzeczony Eric wyskoczył z nowym przebojem *Hungry eyes*. Wówczas nie marzyłam o niczym więcej, jak tylko o tym, by taki Patrick Swayze wziął mnie w ramiona i pal licho taniec (tańczyć też

zbytnio nie umiałam), ale by trzymał mnie tak mocno i patrzył w oczy, i w ogóle. Ech! Wiktor został w moim życiu na dłużej, Eric zaś minął bez żadnych konsekwencji. Taka kolej rzeczy.

– Szlag jasny by trafił! Zabiłam człowieka! – krzyknęłam, przyciskając hamulec. Ostry pisk zaświszczał mi nieprzyjemnie w uszach. Jednocześnie z zewnątrz dobiegł mnie odgłos tępego uderzenia i zobaczyłam przelatującą nad maską postać, kolorową niczym karnawałowa kukła.

Wypadłam z samochodu. Machałam rękami, jakbym chciała rozgarnąć mgłę, jednocześnie wzrokiem szukałam postaci, która przeleciała przez maskę mojego opla. Za nim zdążył się już ustawić sznur samochodów. Zjechały się nagle, choć przed chwilą ulica zdawała się zupełnie pusta.

Zobaczyłam ją. Siedziała nieruchomo na środku jezdni. Podkulone pod brodę kolana. Jakby nigdy nic. Śliniła palec i takim wilgotnym od śliny rozcierała krwawiące kolano, które wyzierało z dziury w niebieskich spodniach. Wyglądała, jakby siedziała na fotelu i oglądała film. Miała obojętną minę, chociaż kiedy dotykała rany, przez jej twarz przemykał grymas bólu. Widocznie musiało ją piec.

– Matko Boska! Nic pani nie jest?!

Dobiegłam do niej, trzęsąc się jak osika. Przez moment miałam wrażenie, że jedną nogę mam krótszą od drugiej, i przestraszyłam się, że coś mi się stało; dopiero po chwili uzmysłowiłam sobie, że złamałam obcas.

– Chciałam namalować obraz – powiedziała, tak jakby chciała się usprawiedliwić. – Ale pędzel wypadł mi z ręki, a farby rozlały się na ścianie... – dodała przeprasząco.

Rozejrzałam się w poszukiwaniu obrazu i pochłapanej ściany, lecz oczywiście niczego takiego nie znalazłam. Jaki obraz? Jakie farby? Zrozumiałam, że kobieta plecie jakieś

bzdury. To pewnie konsekwencja wypadku.

– Proszę pani, co pani mówi? Dobrze się pani czuje? Proszę pani, proszę pani! – nachalnie próbowałam wydobyć z niej jakąś logiczną odpowiedź, wciąż gorączkowo się rozglądając za pędzlami, farbami czy choćby za jakąś tubą z pracami.

Kobieta podniosła na mnie zdziwione spojrzenie, w którym był wypisany wyrzut: Dlaczego mi przeszkadzasz? Nie widzisz, że jestem zajęta?

Dreptałam wokół niej bezsensownie, błagając w duchu, by w końcu powiedziała coś mądrego, a najlepiej – żeby pojawiła się jakaś pomoc.

– Karetka już jedzie – usłyszałam za sobą opanowany męski głos.

– Proszę się odsunąć!

Stałam obok potrąconej kobiety, wciąż czegoś szukając. Może uderzenie wytrąciło jej z rąk teczkę? Może niosła prace? Może to naprawdę artystka? Ale oprócz zmiętej puszki i potarganych przez samochody strzępów kolorowych ulotek nie było zupełnie nic.

W oddali zamigotało niebieskie światło ambulansu. Jękliwy sygnał karetki zdawał się przybliżać.

– Proszę pani, jakie obrazy? Miała pani ze sobą obrazy? – wypytywałam, coraz bardziej jednak pewna, że coś jej się poprzestawiało w głowie.

Nagle kobieta kilka razy przewróciła oczami.

Zdażyłam tylko dostrzec, jak jej źrenice – chabrowe niczym kolorowe szkiełka imitujące oczy rosyjskich lalek – schowały się pod powiekami. Później sanitariusz pochwycił drobne ciało kobiety i delikatnie ułożył na boku, odchylając nieco jej głowę. Krzyknęłam, wystraszona. „Zabiłam człowieka!”. Makabryczna myśl usadowiła się w mojej

świadomości. Niczym przewijane na podglądzie kadry wyświetlały mi się obrazy pogrzebów, sal sądowych, twarzy o oskarżycielskich spojrzeniach. Ale przede wszystkim czułam ucisk w żołądku, jakby ktoś zwinął go w ciasny kłębek i wyżywał, usiłując wycisnąć zeń wszystkie soki.

Oślepiające światła karetki raziły, ale udało mi się wychwycić sylwetki ratowników.

– Błagam! Ratujcie ją! Ja nie chciałam! – wołałam. – Boże! Ratujcie ją!

– Niech się pani uspokoi. Już jest pomoc.

Rzuciłam się w ramiona obcego faceta, pochlipując głośno. Kątem oka widziałam lekarza, który klęka przy kobiecie. Unosi jej powieki, bada puls. Młody ratownik wbija się w żyłę, coś do siebie mówią, rzeczowo i stanowczo.

– Nosze! Nie jest źle! Zabieramy ją do szpitala!

Otumaniona, z rękami na głowie, wciąż niedowierzając w to, co się stało, patrzyłam, jak ambulans znika w świetle wiaduktu, pozostawiając za sobą echo wyjącego sygnału.

To ja – Ruta. Ciałem i duchem jestem.

*To ja, Ruta. Czuję dziwne szarpnięcie. Oddzielam się od ciała. Jestem lekka i zwiewna. A mgła wokół mnie jak piana. Wchłania mnie, osacza. A ziemia pode mną szara i nudna. Szukam światła, które przenika przez mgłę po drugiej stronie ulicy, igra ze mną, skacze po murowanym parkanie z ażurowymi wzorami. Niknie na moment, porywane gwałtownym podmuchem, lecz naraz znów się pojawia. Znikąd. Rozszczepione w wiele barw, układa się w abstrakcyjne kręgi, wijące formy*

*biegnące w różnych kierunkach. Jak przypadkowe pociągnięcia pędzlem. Chcę im się przyjrzeć, zapamiętać je, wdrukować obraz do głowy. Niepokój we mnie jak wezbrana rzeka. Muszę namalować obraz. Złapać kolory w zamkniętą przestrzeń. Ochronić je. Jeśli ich nie uchwycę, miną jak miliony innych, które nie dały się zaplatać w moje pędzle. Moje ręce niespokojne. Chcę się spalić i spełnić jednocześnie.*

*Wokół ruch i mgły opadanie. I huk! I światło zamienia się w ciemność. A ręce moje puste. Pędzle wypadły, rozlały się farby. I krzyk! I ruch! Kobieta. Biega bezradnie. Kuśtyka jak kaczką. Śmieszna w tej panice, która odebrała jej całe dostojeństwo. Żal mi jej. To musi być trudne stanąć twarzą w twarz z nieodwracalnością. Zakrywa dłońmi twarz! Jak w dziecięcej zabawie, kiedy to wraz z zamknięciem oczu znika niedobry świat. Chcę jej powiedzieć: „Spokojnie, nic się nie stało. Od dawna chciałam odlecieć. Oddzielić się od siebie, jak oddziela się ziarno od plew, żółtko od białka, jak czyni się pojedynczym coś, co przypadkiem zrosnięte jest ze sobą. Od dawna chciałam uciec ze swojego ciała. Stało się dla mnie jak niedopasowany kostium. Usycham w nim.*

*Mężczyźni w czerwonych kamizelkach wsuwają moje ciało do karetki. Zanim zajęczał sygnał i błękitne światło zamigotało nerwowo, wemknęłam się do środka siebie. Przykryta złotą folią życia, czuję, jak cienka igła wbija się w moją żyłę.*

*Jestem ptakiem.*

*Zawsze chciałam fruwać. Ptaki są najszczęśliwszymi ze stworzeń. Zbyt lekkie, by ponieść ze sobą ciężar życia, zostawiają go na ziemi i fruną. Ptak szybujący w przestworzach nagle zaczął pikować w dół. Drobnym dziobem zapukał w szybę karetki.*



## 2.

### Przesłuchanie

Byłam wykończona. Ten wypadek, a potem kilka godzin na komisariacie. Wielokrotnie powtarzałam przebieg zdarzeń. Że była mgła, że nie widziałam tej kobiety, że wyłoniła się z mgły. Tak, owszem, ja też byłam trochę przymulona. Paplałam, uprzedzając pytania funkcjonariusza, który zajęty spisywaniem zeznań, od czasu do czasu gestem uniesionej ręki nakazywał, bym zrobiła przerwę. Przerywałam więc posłusznie i rozglądałam się po niewielkim pokoju przesłuchań. Nie było na czym oka zawiesić. Zdekompletowane meble, rozsypujące się biurka, niewygodne drewniane krzesła, bardziej zydle niż komfortowe siedziska, i charcząca wieża – stary model Grundiga. Pożałowania godny obraz. Jediną sympatyczną rzeczą w tej niemrawej przestrzeni była dorodna szeflera, której żywozielone liście jak wielkie palczaste dłonie nadawały pomieszczeniu nieco bardziej przyjazny charakter. Ponoć roślina należy do tych, które cierpliwie znoszą dym tytoniowy – to dobrze, bo pokój wypełniał gryzący zapach papierosów, którego nie zniwelowały ani odświeżacz o zapachu bryzy morskiej, ani otwarte na oścież okno, z którego rozciągał się widok na stary, zarośnięty sad wiśniowy.

Kiedy mężczyzna ponownie zaczął protokołować, napotykałam jego ponaglający wzrok i ciągnęłam swoją opowieść. W głowie miałam totalny mętlik i żadne próby uporządkowania wypowiedzi nie zdawały egzaminu.

Znowu pół nocy nie spałam. Zaczęłam wtajemniczać

młodego aspiranta w szczególności menopauzy. Uderzenia gorąca, drażliwość. Był nawet moment, gdy zapragnęłam wtulić się w jego stalowy uniform, ale od tego zamysłu odwiodło mnie znudzone spojrzenie siedzącego za biurkiem faceta, który beznamiętnie wystukiwał coś na zdezelowanej maszynie do pisania. Ponadto wyobraziłam sobie ciemne smugi łez na nienagannie skrojonym mundurze. Wystarczająco upokorzyłam się, włączając w okoliczności wypadku swoją życiową historię – że taka jestem nieszczęśliwa, że mam tysiąc spraw na głowie, łącznie z moim starzeniem, jego starzeniem, problemami jednej córki, drugiej, z moim tyciem, z jego tyciem, z moją nerwowością, z jego neurotycznością, że nic dziwnego, że mąż nie wytrzymał tej mojej menopauzy i dwa miesiące temu po prostu się wyprowadził.

„Wybacz – powiedział całkiem spokojnie. – Przeżyliśmy razem taki szmat życia, że teraz możemy dać sobie prawo do odpoczynku od siebie. Jakby co, masz do mnie telefon. Dzwon!” Zanim zdążyłam przyswoić to, co właśnie wyartykułował, zniknął za drzwiami, pozostawiając w przedpokoju zapach najnowszej wody toaletowej, którą osobiście kupiłam mu na ostatnią Gwiazdkę. „Dupek!”, skwitowałam, zgrywając twardzielkę. A potem pobiegłam do okna. Rozsunęłam firankę, by dobrze było mnie widać z zewnątrz, i ostentacyjnie pokazałam mu środkowy palec. Wieczorem jednak dotarło do mnie, że Wiktor n a p r a w d ę się wyprowadził, i ogarnęła mnie niepoohamowana rozpacz. Cholera! Odwołał nasze małżeństwo w zasadzie bez żadnego konkretnego powodu, bez zapowiedzi. Gdybym chociaż była gruba, głupia, gdybym go zdradzała... Ale on wciąż był ze mnie dumny – a koleżanki zawsze mi tego zazdrościły. „Ale on na ciebie patrzy”, szeptały z zachwytem na jednej z wyjazdowych imprez

integracyjnych, na której notabene wszyscy mieli nieźle w czubie, a ja – wyluzowana, owiana morską bryzą – w jakiejś nadmorskiej knajpce śpiewałam przy karaoke szlagiery naszej młodości. Szafy były opustoszałe, gdzieś wależyły jakieś stare, nienoszone T-shirty, pojedyncze skarpety. Całą noc to wyklinałam go, odgrażając się sakramencko, że prędzej uronię łzę nad kulawym psem, niż pozwolę, by po tylu latach złamał mi serce, to znów lałam łzy, że pozostawił mnie na stare lata samą po tym, jak całe życie mu poświęciłam, jak urodę zmarnowałam, figurę straciłam i zaprzepaściłam szansę na wielką karierę naukową, bo gdyby nie on, to zostałabym na uczelni i śledziła dzieje onomastyki na Ziemiach Zachodnich albo przynajmniej byłabym wziętą dziennikarką, a tak zostałam nauczycielką na zadupiu. W jednej szkole, w drugiej, potem wieloletni incydent w miejscowym liceum, w którym zyskałam miano „pani profesor”. Teraz jestem zwykłą nauczycielką, która poszła na wcześniejszą emeryturę z zamiarem używania życia, a kiedy owo używanie stało się niemożliwe – po pierwsze ze względu na niskie uposażenie, po drugie ze względu na brak fantazji, a po następne dlatego, że mąż, który miał mi pomagać używać, stwierdził dość lapidarnie, że czas się rozstać – przyjął propozycję pracy w szkole dla dorosłych. Kilkanaście godzin tygodniowo. Dla pieniędzy i trochę dla zabicia nudy...

– Przeczytam teraz protokół, a pani go podpisze – policjant przerwał moje rozważania. – Następnie proszę czekać na informacje dotyczące dalszego postępowania w sprawie.

Czytał beznamiętnie. Zdania były koślawe i nieporadne. Przy bardziej drastycznych błędach marszczyłam czoło, ale postanowiłam zachować milczenie. Podpisałam protokół i wyszłam na powietrze.

Po cholernej mgle nie było ani śladu.

\*\*\*

Wyciągnęłam telefon. Przysłoniłam dłonią ekran, bo mimo że słońce świeciło dość anemicznie, a właściwie tylko niemrawo prześwitywało przez zasnute chmurami niebo, niewiele na nim widziałam.

Kilkanaście nieodebranych połączeń. Od ojca, od Jagody i od Janeckiego. Kurza melodia! Uzmysłowałam sobie nagle, że nie zadzwoniłam do szkoły. Już widziałam sfochanego Janeckiego, który zapewne w brodę sobie pluł, że w ogóle mnie zatrudnił. Przeliczył się biedak. Sądził, że będzie miał pod ręką spolegliwą kobitkę, która z pocałowaniem ręki przyjęła kilkanaście godzin i będzie siedziała cicho jak mysz pod miotłą, a tu nagle okazało się, że baba ciągle czegoś chce. A to podręczników, a to zmiany planu, a to zawraca Wisłę kijem, gdy któryś z podopiecznych wytnie jakiś numer! Jakby nie miała pojęcia, że taka to dzisiejsza młodzież. Widziały gały, co brały! Ale nie widziały! Bóg mi świadkiem, że nie widziały! To, co zastałam w tej szkole, przekraczało granice mojej wyobraźni.

Wybrałam numer szkoły.

– No, droga pani Ireno – odezwał się w telefonie głos dyrektora. – Wszyscy pani szukają! Już chcieliśmy zgłosić na policję pani zaginięcie.

Janecki starał się dowcipkować, ale bezbłędnie wyczułam jego niezadowolenie i sarkazm. Zbyt dobrze go znałam, żeby dać się zwieść.

– Hm... – zaczęłam niepewnie, ale postanowiłam nie dać się zbić z pantałyku, chociaż nadal wszystko się we mnie trzęsło i wciąż nie wiedziałam, co się dzieje z kobietą, którą potrąciłam. Wprawdzie w pewnym momencie do pokoju przesłuchań wparowała jakaś młoda dziewczyna (chyba sprzątaczką, bo choć

miała na sobie szykowną bluzkę i świecące spodnie, to wymachiwała niebieską ścierką z mikrofibry) i rzuciła krótko, że tej głupiej Rutce nic się nie stało, tylko trochę jest poobijana, głupi to zawsze ma szczęście; wówczas jednak nie miałam pojęcia, że tamta miała na imię Ruta. – Otóż, dyrektorze – podjęłam po chwili – gdyby pan zadzwonił na komisariat policji, to właśnie tam by mnie pan znalazł – dodałam szybko na jednym oddechu. I zanim zdążył zareagować, choć oczami wyobraźni widziałam już grymas zaskoczenia wymieszanego z niepokojem, co zawsze wprawiało lewą powiekę Janeckiego w zabawne drganie, dodałam: – Miałam wypadek!

– No masz babo placek! Co się stało? Jest pani żywa? Cała? – Tym razem w jego głosie pobrzmiwała autentyczna troska.

Już zamierzałam mu odpowiedzieć, że oto ma osobliwą przyjemność komunikować się z osobą z zaświatów, ale się powstrzymałam. Jakoś nie było mi do śmiechu.

– Ja tak. Potrafiłam kobietę. Rano. – Po drugiej stronie zapadła cisza. Marzyłam o tym, żeby zakończyć tę rozmowę. Wzięłam głęboki oddech, bo naraz zachciało mi się płakać. Wciąż byłam w butach z połamanym obcasem. Nie wiedziałam, gdzie jest mój samochód, a na domiar złego miałam wrócić do pustego domu. – Proszę mi wybaczyć, ale niewiele wiem. Jestem bardzo zmęczona. Jutro będę w pracy zgodnie z planem – powiedziałam i już zamierzałam się rozłączyć, gdy stwierdziłam, że absolutnie n i e c h c ę jutro iść do pracy! Nie jestem w stanie! Dorzuciłam więc szybko: – Albo nie! Proszę o kilka dni urlopu... Jeśli można... Odpracuję, a jeśli nie, to może bezpłatny... Ale nie mogę przyjść do pracy. Proszę mi uwierzyć... – ściszyłam głos. Czułam, że jeszcze sekunda i nie będę w stanie powstrzymać płaczu, a wypłakiwania się

dyrektorowi w słuchawkę wolałam uniknąć. Uchodziłam za osobę silną i opanowaną. Jeszcze tego brakowało, żeby ludzie zaczęli mówić, jaka to jestem nieszczęśliwa. To na pewno przez to, że zostałam porzucona, stałam się nieuważna i omal nie zabiłam człowieka.

– Ależ oczywiście, pani Ireno, w tej sytuacji... – Chyba powiedział coś jeszcze, ale już nie usłyszałam.

Nagle poczułam się bardzo samotna i bezradna. Nie mogłam nawet zadzwonić do Wiktora, chociaż przecież deklarował jasno, że jakby co, to mogę na niego liczyć, że wciąż przecież jesteśmy przyjaciółmi. Że on nie jest takim gburem jak choćby ten Zarębski, co to po rozwodzie wypiął się na całą rodzinę i nawet esemesa na święta nie przyśle, nie mówiąc o czymś więcej. Że przecież on jest c y w i l i z o w a n y człowiek i wie, że on i ja mamy wspólną przeszłość i dzieci, i może nie nazbyt szokujący, ale bądź co bądź wspólny majątek. Więc jak najbardziej mogę, a nawet powinnam dzwonić „w razie w”. Ale on akurat przeżywał odzyskaną młodość. Prowadzał się z jakąś stażystką z biura, pewnie jedną z tych, które szukają szczęścia u tatusiów, bo ktoś im naopowiadał bzdur, że tacy podtatusiali są najlepsi – czuli, z rozbuchanym testosteronem, doświadczeni – a jeśli jeszcze któryś choćby tylko na pierwszy rzut oka przypominał George’a Clooneya, to takie zupełnie szalały. Wprawdzie po pierwszym ataku andropauzy w postaci niekontrolowanej drażliwości, po ciągłym dopominaniu się o głas-kanie i dopieszczanie zachwianego ego prawie każdej odwidywał się tatuś, trzeba jednak czasu, by zarówno one, jak i oni przejrzeni na oczy i podkuliwszy ogony, wrócili do swych stałych ról. Zdarzały się oczywiście takie zatwardziałe, które za punkt honoru postawiły sobie odmłodzenie faceta. Nie wiedziałam, jak będzie z tą Wiktorem Natalią. Ilekroć do niego

dzwoniłam albo dzwonił on, po ekspresowym naświetleniu powodu owego kontaktu wysłuchiwałam, że musi kończyć, bo Natalia to czy tamto, albo że nie może teraz rozmawiać, bo Natalia właśnie, albo że musi się nad czymś zastanowić, ale na razie nie ma czasu, bo Natalia... Miałam tego po dziurki w nosie. Ale nie traciłam nadziei. Przyjdzie koza do woza, myślałam. A wtedy mu pokażę.

Wiktor był klasycznym mizantropem. Nie lubił nikogo i ostatnimi czasy demonstracyjnie okazywał swoją niechęć wszystkim znajdującym się w jego zasięgu, a nienależącym do ścisłego grona rodziny. Zresztą z tego grona, poza naszymi córkami, tolerował jeszcze tylko mojego ojca, a to też nie zawsze. Trudno mi było uwierzyć w to, że zmienił się, gdy poznał Natalię. I doprawdy nie wiem, jak zza muru wszelkiej niechęci udało mu się ją wyhaczyć. Chociaż Bogiem a prawdą – to ona wyhaczyła jego.

Po drugiej stronie ulicy dojrzałam ławkę, nieco ukrytą wśród żywopłotu z ligustru. Musiałam odpocząć. Pomyśleć. Zebrać to wszystko w jakiś logiczny ciąg.

Usiadłam i zdjęłam buty. Prawy miał dziurę w miejscu obcasa. Aż dziw, że nie poczułam zimna od podłoża. Może dlatego, że styczeń tego roku był nad wyraz łagodny. Nawet ta cholerna mgła świadczyła o jego niezwykłości; zazwyczaj przecież takie poranne mgły pojawiały się jesienią. Chwyciłam mocno obcas drugiego buta, ale ani drgnął. Kilka razy uderzyłam butem o wystający krawężnik. Przechodzący obok mężczyzna uśmiechnął się pod nosem, mamrocząc coś o kobiecych humorach. Już miałam poprosić go o pomoc, gdy nagle szpilka odpadła i skryła się w gęstej trawie. Włożyłam koślawe buty i postanowiłam wrócić do domu, gdy z wnętrza torby odezwał się sygnał telefonu. Spojrzałam na wyświetlacz.

Jagoda! Rozkleiłam się na dobre, tak jakbym czekała tylko na ten sygnał.

– Jagoda... – beczałam w słuchawkę. – Przyjedź do mnie... proszę... przejechałam człowieka...

– Ira, co ty pieprzysz? Jesteś trzeźwa? Halo! Irena! Gdzie ty jesteś? – Moja przyjaciółka nie kryła zdumienia. Wyobraziałam sobie jej minę.

– Byłam na policji. A teraz siedzę na ławce. I nie mam butów... I samochodu też nie mam... – Moje zawodzenie przeszło w regularny płacz.

– Uspokój się i powiedz, gdzie mam przyjechać. – Jagoda przejęła dowodzenie. Była zdecydowana i trzeźwa.

– Na Kwiatową! Naprzeciw komisariatu.

– Siedź tam i czekaj! Już jadę!

Siedziałam i czekałam. Chociaż mieszkałam zaledwie kilkaset metrów dalej.

Wrzuciłam buty do kosza. Bolały mnie mięśnie łydek. Brzuchate, płaszczkowate i wszystkie inne o durnych nazwach. Stopy piekły niemiłosiernie, palce u nóg wołały o ciepłą kąpiel i subtelny masaż. W ogóle czułam się fatalnie. W głowie wyświetlały mi się obrazy jak z dnia ostatecznego, kiedy to człowiek przypomina sobie **wszystko!** Zobaczyłam siebie jako cudowne dziecko śpiewające *Ave Maria* (i nie wersję Schuberta, utrwaloną za sprawą wielkich operowych głosów, powtarzanych potem w tandetnych polifonicznych dzwoneczkach telefonów, ale tę mniej znaną – Gounoda, przy której wszyscy rozdziawiali w zdumieniu usta i wzdychali ciężko). Potem, ni stąd, ni zowąd, ujrzałam kadr z mojego ślubu, kiedy to o mały włos, będąc pod wpływem bezgranicznego zauroczenia Wiktorem, przy podawaniu mu obrączki nie pocałowałam go w rękę. I kolejny urywek kluczowego momentu w moim życiu – pierwszy poród;



świat się zatrzymał, kiedy lepkie ciało Gabrysi przyłgnęło do mnie ufnie, kwiląc jak mikry kociak.

\*\*\*

Jagoda nadjechała błyskawicznie. Zaparkowała – swoim zwyczajem ignorując wszelkie zakazy i nakazy – tuż przy krawężniku, jednym kołem na jezdni, drugim na chodniku, a w zasadzie na wąskim pasie zieleni upstrzonym psimi odchodami. Wsiadłam do samochodu, moszcząc się nieporadnie na przednim siedzeniu. Zmęczona i zgnębiona do bólu. Przelotnie zobaczyłam we wstecznym lusterku godny pożałowania obraz – wory pod oczami, zmarszczki na czole. Czempion mopsich wybiegów mógłby mi pozazdrościć.

Drogę do domu pokonałam w sposób absolutnie meta-fizyczny. W głowie miałam totalną pustkę, wszystkie myśli w jakiś dziwny sposób się ulotniły. Kornelia, która od maleńkości miała predyspozycje do nadmiernego filozofowania – notabene skończyła na filozofii – przekonywała mnie, że człowiek nie może nie myśleć, bo nawet gdy pozornie nie myśli, to myśli o tym, że nie myśli, więc myśli. Miałam powyżej dziurek w nosie jej mędrkowania. A fakt był niezaprzeczalny. Nie myślałam, moja głowa była ciężka od nadmiaru powietrza, które pewnie wtłoczyło się do niej wszelkimi możliwymi otworami i spowodowało, że z ledwością trzymała się na moim karku.

– Ira, co ty znowu wymodziłaś? – spytała Jagoda, parkując pod moim domem. Silnik ucichł. Wytoczyłam się z auta i ruszyłam w kierunku klatki. – Czy ty mnie w ogóle słuchasz?!

Na śmierć o niej zapomniałam. Jakbym to nie ja kilka minut wcześniej skamlała do telefonu, żeby po mnie przyjechała! Szłam na pamięć, pokonując schodek za

schodkiem. Otworzyłam drzwi. Weszłam do mieszkania. Powiesiłam klucz na mosiężnym wieszaku, topornym i zdobnym w tandetny barokowy motyw. Wiktor zakupił go kiedyś na starociach i pełen dziecięcego entuzjazmu, zamocował tuż obok kryształowego lustra oprawionego w nowoczesną ramę z kolorowego drewna, ręcznie wycinanego, malowanego i klejonego niczym misterne puzzle. Lustro Wiktor kupił również spontanicznie w jakiejś designerskiej galerii w Szczecinie. Mogło zadać szyku niejednemu wnętrzu – przemysłanemu i wystylizowanemu, ale w naszym domu dopełniało pewnego eklektyzmu, który nieraz wymykał się kanonom estetyki.

– Irena! – Złowróżbny głos Jagody wreszcie dotarł do mnie z całą mocą. – Do jasnej cholery! Myślisz, że nie mam nic innego do roboty, jak wozić twój tyłek?! Zostawiłam wszystko i poleciałam do ciebie, a ty nie raczysz mnie zauważyć! Heloł! To ja!

Była wściekła – i to chyba nie był jeden z jej spektakli. Kiedy w końcu się opamiętałam, zobaczyłam w jej oczach iskry. Dopiero teraz zwróciłam uwagę na to, że ma na sobie sweter, długie wełniane getry i kapcie, co niezbitcie dowodziło, że od razu po moim telefonie wsiadła do samochodu i przyjechała po mnie. W związku z tym należy się jej bodaj namiastka uwagi. Zamiast jednak powiedzieć cokolwiek na swoje usprawiedliwienie, klapnęłam ciężko na tapczan, skryłam twarz w dłoniach i kolejny raz w tym dniu się rozplakałam. Nie miałam zielonego pojęcia, skąd we mnie tyle łez.

– O kant dupy to wszystko rozbić... – szlochałam. – Nic mi w życiu nie wychodzi. Nic dziwnego, że jestem sama jak palec, bo czegokolwiek się dotknę, to się... w...

Musiałam wystraszyć Jagodę tym moim napadem płaczu, bo natychmiast przygarnęła mnie do siebie i zmierzwiła mi

włosy.

– Przestań. No już... Uspokój się. Opowiedz po kolei, co się stało – mówiła jak do dziecka, ścisząc głos.

Rękawem, mało elegancko, wytarłam nos i wyprostowałam się. Potem postanowiłam opowiedzieć przyjaciółce wszystko, co mi się dzisiaj przytrafiło.

– Mówiłam ci już. Przejechałam kobietę. Nie wiem, czy żyje.

– Gdzie to było? Wyskoczyła ci? Nie widziałaś jej?

Przymknęłam oczy. Wydawało mi się, że znów słyszę ten tępy odgłos i widzę, jak przed szybą przelatuje kolorowa kukła. Świadomość, że zrobiłam coś strasznego, nieodwracalnego, zupełnie mnie paraliżowała. Gdzieś w odległych zakamarkach umysłu kołatała się myśl, że to jakiś potworny sen, a tuż za nią jawiło się niedościgłe pragnienie, żeby cofnąć czas. Choćby tylko do dzisiejszego ranka. Już nawet nie marzyłam, by wrócić do młodości czy do czasu, kiedy byliśmy z Wiktorem tak bardzo szczęśliwi, ale do dzisiejszego poranka! Żeby tylko uniknąć tego feralnego zdarzenia, które właśnie wywracało moje życie do góry nogami.

Jagoda, którą znałam od zawsze i o co jak o co, ale o szczególną rozwagę i opanowanie nie mogłam jej podejrzewać, była rzeczowa i śmiertelnie poważna.

– Na policji nic ci nie powiedzieli? Co z nią? Kto to?

– Nic a nic – burknęłam przez łzy. – Przesłuchali mnie, wypyтали o szczegóły. Podali mi alkomat... Siedziałam tam chyba milion godzin!

– Spokojnie, Irena! Na pewno nie jest aż tak tragicznie. Pomyśl! Gdybyś ją zabiła, to nie sądzę, żeby tak od razu cię wypuścili. Pewnie musiałybyś zrobić jakieś badania, musiałyby być jakiś prokurator... – Jagoda rozłożyła ramiona i pokręciła

głową. – Ludzi nie zabija się tak łatwo... – Rzeczywiście brzmiało to rozsądnie, ale nie zmieniało faktu, że obraz tej kobiety – jej oczy, pełne naiwnego zdziwienia, a potem przerażająca bladość twarzy i biel twardówki niknącej pod powiekami – wciąż tkwił w mojej głowie. Jagoda rzuciła kluczyki na komodę, przeczesła włosy, jakby chciała nadać swojemu wyglądowi charakter pewnego uporządkowania, i dodała: – Siedź! Przyniosę ci coś do picia.

Nie zdążyłam zareagować, ale odgadła moje myśli. Czułam suchość w gardle. Z kuchni dobiegł mnie odgłos otwieranej lodówki i stukot przesuwanych szklanek. Po chwili przyjaciółka znów była przy mnie.

– Mów dalej! – zakomenderowała, stawiając przede mną wielki pokal wypełniony po brzegi sokiem z czarnej porzeczki. Upiłam łyk. Wzdrygnęłam się. – Dolałam trochę wódki, to cię uspokoi. – Jagoda mrugnęła porozumiewawczo. Nadal uważnie się we mnie wpatrując, czekała, czy jej lekarstwo zaczyna działać. Usiłując uporządkować tok mojej wypowiedzi, zaczęłam:

– Niewiele pamiętam... – Upiłam spory łyk. – Tylko tę cholerną mgłę! Śpiewałam sobie, bo jakoś tak fajnie mi się wstało. I niemal pierwszy raz od czasu, gdy on się wyprowadził, nie pomyślałam o sobie jak o totalnej nieudacznicy. Wreszcie udało mi się wyrugować z mojej świadomości poczucie życiowej klęski. Obiecałam sobie nawet, że po pracy pójde do Aladyna i rozejrzę się za jakimiś fajnymi wczasami. – Czułam, że trochę zaszumiało mi w głowie, ale jednocześnie coraz łatwiej dobierałam słowa. Powoli ustępowała sztywność karku. Wsunęłam się głębiej w siedzisko kanapy i pociągnęłam duży haust drinka. Ostry smak czarnej porzeczki podrażnił mi gardło. – Ona wyłoniła się z mgły! To był moment! Rozumiesz?! Gdy

po gwałtownym hamowaniu wypadłam z samochodu, to ona... ona... siedziała na środku jezdni. Przez chwilę nasze oczy się spotkały, a potem nagle ona straciła przytomność. Rozumiesz?! Pac! I upadła! Bez żadnego jęku, bez słowa! Ot, runęła jak kłoda! – Zasłoniłam twarz, jakbym mogła się w ten sposób ustrzec przed tamtym widokiem. Jagoda słuchała uważnie, starała się nie wtrącać, tylko skinieniem głowy delikatnie mnie ponaglała. – Przyjechała karetka... Ratowali ją... Była bezwładna jak szmaciana lalka... A potem odjechali na sygnale...

Schowałam twarz w dłoniach. Walczyłam ze sobą, by ponownie się nie rozryczeć.

– Boże, gdybym mogła cofnąć czas! – w końcu zwerbalizowałam swoje pragnienie. – Nawet nie wiem, kim ona jest. – Spojrzałam na wyświetlacz telefonu, w którym migiała fioletowa dioda. Wzięłam go do ręki, jakbym mogła znaleźć w nim rozwiązanie mojego problemu. – Ktoś na komisariacie mówił coś o jakiejś Rucie...

– Ruta... Ruta... Co to w ogóle za imię? – rzuciła Jagoda. – Ruta? Czy to czasem nie będzie ta z lasu?

– Nie wiem. Nic już nie wiem – powiedziałam zrezygnowana.

Jagoda zerknęła na zegar i nagle się poderwała.

– Cholera jasna! Miałam iść z Kaśką do dentysty! Muszę lecieć! – Cmoknęła mnie w czoło i dodała: – Połóż się. Jesteś zmęczona. Jutro na pewno dowiesz się więcej.

### 3.

#### Noc jak zwykle bezsenna

Noc należała do tych z gruntu podłych, które zamiast odpoczynku i pięknych snów przynoszą udęczenie. Leżałam skulona w pozycji embrionalnej, okutana kołdrą od stóp do głów i za nic nie mogłam skierować myśli na jakieś przyjemne tory. Uparcie poruszały się po jednej trajektorii – Wiktor. Byłam pewna, że potrafiłby mnie uspokoić. Zawsze umiał powiedzieć coś, co powodowało, że wszystko, co wydawało się czarne i kompletnie beznadziejne, po przefiltrowaniu przez niego stawało się bardziej znośne. Wiązki skąpego księżycowego światła wpadającego do pokoju przez niedosunięte rolety tańczyły po ścianach, od czasu do czasu zza okna słychać było pojedyncze odgłosy przechodzących obok domu ludzi. Pewnie jacyś młodzi, bo stukotom butów towarzyszyły salwy śmiechu.

Przewracałam się z boku na bok, szukając najdogodniejszej pozycji, ale wiedziałam, że przede mną kolejna bezsenna noc. Pod palcami stopy na prześcieradle wyczułam jakiś okruch czy ziarenko piasku. Nie miałam pojęcia, skąd się tam wzięło – przecież byłam bardzo drobiazgowa, co denerwowało wszystkich wokół, zwłaszcza Kornelię, która zawsze pozostawiała po sobie totalny sajgon. Ja celowałam w detale: pod linijkę ustawione kieliszki w witrynie, w idealną kostkę poskładane ściereczki, szmateczki, równym szeregiem według wysokości grzbietów stojące książki. Szczególnie upodobałam sobie perfekcję w ścieleniu łóżka. Codziennie gładziłam prześcieradło, by choćby najmniejsze zagniecenie nie zakłóciło

idealnej płaszczyzny. Potem strzepywałam poduszki i ugniatałam je do takiej samej wysokości. Równiutko. Tylko idealne ułożenie gwarantowało przysłonięcie ich kołdrą tak, że nawet wytrawne oko pokojówki z ekskluzywnego hotelu nie dostrzegłoby zbędnego wybrzuszenia. Na koniec – zarzucenie narzuty. I tu już nie mogło być żadnego przypadku. Co do centymetra musiały się zgadzać romby z wyhaftowanymi na środku kwiatami. Nie było mowy, by boki atłasopodobnej tkaniny zwisały nieproporcjonalnie – tu dłuższy, tam krótszy. Całości, niczym wiśnia na torcie, dopełniały niewielkie zdobne jaśki z tej samej tkaniny, z której uszyto kapę. Ułożone wierzchołkami względem siebie, prawie się ze sobą stykały, a jednak się nie stykały. Codzienny rytuał. „Irka – śmiał się niekiedy Wiktor – gdybyś choć połowę uwagi, którą poświęcasz na gładzenie martwego łóżka, przeznaczyła na mnie, byłbym najbardziej dopieszczonym facetem na świecie”. I jak niesforne dziecko z rozmysłem burzył nieskazitelny porządek łóżka.

Przebierałam palcami, by strzepnąć okruch. Kiedy już wydawało mi się, że jest OK, po kolejnym ruchu znów wyczuwałam drażniącą drobinę. Zapaliłam światło i wstałam. Był to oczywiście pretekst. Bo przecież to nie ziarnko piasku było powodem mojej bezsenności.

Mój wzrok zatrzymał się na zawieszonych na ścianie ramkach ze zdjęciami. My. Wczasy w Hiszpanii. Wycieczka do Pragi. My. Wesele Gabrysi. Jakaż ona śliczna! Toczka w toczkę podobna do ojca. Wysokie, lecz foremne czoło z gęstwą ciemnych kręconych włosów. Jako dziec-ko upierała się, by strzyc ją na krótko. „Nie chcę wyglądać jak Afric Simone!”, tupiała nogami i szarpała się za długie loki, jakby zamierzała je na siłę rozprostować lub powyrywać. Ten Simone wziął się stąd, że ilekroć ktoś ze znajomych przychodził do nas, to od razu brał

Gabryskę na ręce i tańczył z nią, wyśpiewując *Ramaya*.

My. Dwudziestopięciolecie w domu kultury. Jubilaci. Czerwona róża od burmistrza. I wielki bukiet od Wiktora. My. Starsi, młodszy. Na całej ścianie my!

Przeszył mnie nagły chłód. Wzdrygnęłam się. Wróciłam do łóżka. Światło księżycy skrytego za nocnymi chmurami przenikało pokój. Zaciskałam mocno powieki, próbując zmusić się do snu, ale po chwili znów otwierałam szeroko oczy, by przepędzić obraz kobiety, który nie dawał mi spokoju.

Ruta. Ruta... Chyba takie imię wymieniła ta dziwna kobieta na komisariacie, która wyglądała, jakby urwała się z jakiegoś ekskluzywnego bankietu, by przelecieć ścierką po zakurzonych meblach. Co to za imię? Ani polskie, ani niemieckie. Niosło ze sobą balsamiczny zapach żywicy, kojarzyło się z zieleń, dziewiczym wiankiem, a nade wszystko – z magią.



## Sala numer 7

Weszłam do starej części szpitalnego budynku. Stałam. Przez chwilę się wahałam. Korytarz był niewielki. Wciąż kręcili się po nim ludzie. Jedni byli zatroskani, inni spieszyli się, potrącając mnie nieuważnie, na twarzach jeszcze innych wypisane były strach albo niepewność. Bo człowiek nigdy nie wie, z czym wejdzie do szpitala, a z czym z niego wyjdzie. Szpital przemienienia, z którego nigdy nie wychodzi się takim, jakim się weszło. W kącie kulila się grupka ludzi. Wszyscy na czarno. Głaskali się wzajemnie, podawali sobie zmięte chusteczki. Moją uwagę zwróciła młoda kobieta, która wyróżniała się na tle grupy. Ubrana w jaskrawą krótką sukienkę, emanowała spokojem, chociaż to w jej kierunku wszyscy patrzyli z bólem i współczuciem.

Po kiego diabła tu leżę? Co powiem tej kobiecie? Dzień dobry, jestem tą idiotką, która zamiast patrzeć na jezdnię, darła się wniebogłosy, fałszując melodię starego przeboju, i nie zdążyła na czas wcisnąć hamulca. Albo może: Przepraszam bardzo, czy mogę coś dla pani zrobić?

Światło, rozproszone przez kolorowe, misterne witraże – przedwojenne, zachowane w świetnym stanie po Niemcach – igrało wesoło po wyłożonych klinkierem ścianach. Co chwilę ktoś wchodził i wychodził przez wahadłowe ciężkie drzwi, które za każdym ruchem skrzypiały, odzywając się bólem w uszach.

W torbie miałam karton z sokiem, ciastka i sześciopak owocowych jogurtów. Nie miałam pojęcia, czy ta kobieta jest

w szpitalu, a jeśli nawet, to w jakim jest stanie. Czy jest przytomna, czy może jeść, pić. Miałam jednak zakodowane w pamięci, że do szpitala nie chodzi się z pustymi rękami. Gdy babcia Henia leżała w szpitalu na woreczek, to za każdym razem, kiedy ją z mamą odwiedzałyśmy – tylko w środy i w niedziele, tylko po godzinie, bo w innych dniach szpital dla odwiedzających był niedostępny i w ostateczności pozostawały albo znajomości, albo solidny pakiet słodkości z kawą i dobrym trunkiem, które mogły utorować drogę do chorego – targaliśmy całe torby cudem zdobytych frykasów, chociaż babci nie pozwalano jeść ani pić nic poza bezbarwnymi, lepкими papkami i słomkową herbatą. Notabene po wyjściu ze szpitala babcia pakowała to wszystko do wielkich reklamówek, a potem niosła (tak naprawdę nieśli to mama lub ojciec) do domu i chowała po szafkach, by przy okazji różnych świąt obdarowywać nas – wnuczeta. Często podarki były już po terminie ważności, ale nikt nie wybrzydzał. Babci Heni się nie odmawiało. Nawet gdy trzeba było zjeść krupnik nijakiego koloru (o którym ojciec, nie szczędząc złośliwości, powiadał, że wygląda, jakby go teściowa ugotowała na ścierce) czy zlepione kluski o obłych kształtach, dalekich od foremnych łódeczek, polane tłuszczem z przypalonymi na złoto cebulkami i skrawkami boczku. Bo co jak co, ale gotować babcia Henia nie umiała. Za to jak nikt na świecie wyrabiała cuda na szydełku i czółenkiem. Frymuśne frywolitki, okrągłe obrusy w ananasowy wzór, zdobne kołnierzyki wykończone pikotkami, których zazdrościły mi wszystkie dziewczyny w liceum. I jeszcze opowiadać babcia Henia potrafiła. O dziadku Władku i jego niespełnionej karierze, i o miejscach, w których nigdy nie była, ale których odwiedzenie dziadek solennie jej obiecywał, nawet wówczas, gdy zdjęty chorobą przez rok nie wstawał z łóżka. Babcia Henia snuła tak

niesamowite opowieści, że jej kiepskie gotowanie pozostawało zupełnie bez znaczenia.

Do drzwi, przed którymi stanęłam, przytwierdzona była zapakowana w foliową koszulkę kartka z napisem „Izba przyjęć. Prosimy nie wchodzić bez pukania”. Zapukałam nieśmiało. Chwilę nasłuchiwałam, ale odpowiedziała mi cisza. Lekko nacisnęłam klamkę i uchyliłam drzwi.

– Nie umie pani czytać?! – skoczyła na mnie pielęgniarka ubrana w uniform rodem z poprzedniej epoki.

Chciałam się odgryźć, powiedzieć, że pukałam, ale widać ktoś tu nie dosłyszy, lecz postanowiłam nie wszczynać awantury.

– Przepraszam – powiedziałam skwapliwie. – Szukam pacjentki z wypadku... Czy...

– A pani z rodziny? – Kobieta nie wysiliła się, żeby choć na moment podnieść wzrok znad kart, które zdawała się wypełniać tak pieczołowicie, jakby od tego zależały losy świata. Nie czekając na odpowiedź, dodała sucho: – Nie udzielamy informacji osobom postronnym.

Byłam już prawie za drzwiami, gdy naraz ta sama kobieta zawołała:

– Pani profesor? Pani Irena Podkowińska? – piszczała z niedowierzaniem.

Na dźwięk mojego nazwiska odwróciłam się zdziwiona. Pielęgniarka wstała zza biurka. Na próżno szukałam w pamięci osoby o podobnej fizjonomii. Dziwne. Zawsze miałam świetną pamięć. Wiktor nieraz – czasem żartem, a czasem całkiem na serio – wyrzucał mi tę drobiazgowość. „Nic dziwnego – powiadał – że nie przyjmujesz niczego, co się do ciebie mówi, skoro masz mózg zaśmiecony milionem drobiazgów. Nie pamiętałaś, by mi kupić tabletki do ssania, chociaż od wczoraj ci

mówiłem, że mnie drapie w gardle, ale za to doskonale pamiętasz, ile kosztowała i jak wyglądała tabliczka wedlowskiej czekolady z orzechami. Mumifikujesz martwe wspomnienia i nie masz już miejsca na terażniejszość”.

– Nie poznaje mnie pani? To ja, Renata Krasowicka. Znaczący... Dąbrowska z domu. Nie poznaje mnie pani. – Głos kobiety wydawał się nieco zawiedziony, jakby zamierzała się pożalić: Jak można było mnie zapomnieć!

Nikt nie lubi być zapomniany jak jakiś nieznaczący epizod. Ale nagle ton pielęgniarki złagodniał. Mało tego – stał się miły i jakiś taki... poufały. Gorączkowo przekopywałam w myślach wszystkie tableau wiszące na szkolnych korytarzach, ale jak na złość wśród mrowia fotek nie mogłam odnaleźć tej twarzy. Kiwałam jednak głową z przekonaniem.

– Rzeczywiście... Przypominam sobie panią...

– Ależ, błagam! Proszę mi nie mówić na pani, bo czuję się niezręcznie. Reńka! Zwyczajnie... Wspomniała pani o... – Ni stąd, ni zowąd otoczyła mnie swoim niemałym ramieniem. Była postawna. Pod dopasowanym kitlem odznaczała się harmonijka fałdek, ale twarz miała gładką i równą. Żadnych dziobnięć po przyszczach, żadnych zaczerwienień, zmarszczek. Duże niebieskie oczy dodatkowo były rozświetlone jaskrawymi cieniami do powiek. Ciemne, wyraźne brwi były nieco uniesione, lekko skośne, co nadawało kobiecie wyraz wiecznego zdumienia.

Z zakamarków mojej pamięci wyłaniał się jej obraz. Tak! Pracowałam krótko w jedyńce, zanim zdecydowałam się przejść do liceum. Chodziła do czwartej b. Siedziała w ławce pod oknem i ilekroć wywołałam ją do odpowiedzi, choćby tylko po to, by coś potwierdziła lub zaprzeczyła, czerwieniła się, pałając wielkim rumieńcem, który rozlewał się na jej twarz i dekolt.

Od razu żałowałam, że wyrwałam ją z ławki. Zdarzało się, że nagle brakowało jej powietrza i robiła się blada jak poranna mgła. Zaraz robił się rwetes, wołano higienistkę, zlatywali się gapie, a ona padała jak bela w przejściu między ławkami i leżała rozciągnięta jak wykrzyknik. Potem przeniesiono ją do innej klasy. Z podobnymi do niej. Takie klasy dziś nazywa się integracyjnymi. Były tam dzieciaki pogubione życiowo – najzwyczajniej słabeusze, uczniowie niedostosowani i tacy, co do których nikt nie wiedział, co z nimi zrobić. Rzadko ją widywałam. Potem stało się tak, że uczyłam ich trochę, bo przeszłam do liceum. Pamiętałam ich jak przez mgłę. Zazwyczaj mieli lekcje w drugiej części szkoły. W osiemnastce. Odeszłam stamtąd. Wtedy to było ponad moje siły i poniżej ambicji. Chciałam wychowywać **indywidualności!** Olimpijczyków!

– A tak, tak... – wróciłam myślami do terażniejszości.  
– Szukam kobiety z wypadku... Wczoraj...  
– Tak, tak – powtórzyła, jakby to był jakiś szyfr. –  
Przywieźli tu wczoraj tę... jak jej tam... – Potarła czoło. – Takie głupie imię... Zresztą jakie imię, taka właścicielka – ściszyła nieco głos i wydeła znacząco usta. Wyglądała idiotycznie, jak przepołowiona wielka renkloda. – Wiem! To ta głupia Ruta! Ta... – Ruta! A więc dobrze usłyszałam. Ruta! Co to za imię? Tymczasem Krasowicka ciągnęła: – Wie pani która? No, ta! Tak kolorowo chodzi ubrana i umalowana... Chodziła do... – Pogłaskała się po czole, jakby pozwoliło jej to na lepszy podgląd przeszłości. – Kurczę! Ale wtedy pani chyba już nas zostawiła. Nieważne! I tak powinna pani wiedzieć. Ta... taka... – uparcie szukała odpowiednich słów – ...wie pani, ta artystka, pożał się Boże! – Moja uczennica zakreśliła palcem kółko na czole i uśmiechnęła się drwiąco. Zaraz potem dodała z entuzjazmem odkrywcy: – A więc to pani! Mówili, że to jakaś nauczycielka,

ale w życiu nie sądziłam, że to pani...

Ujęła mnie familiarnie pod rękę. Nie miałam pojęcia dlaczego, ale zdawało mi się, że sprawiło jej niemałą satysfakcję to, że to ja jestem sprawczynią wypadku. Podprowadziła mnie do końca korytarza i dalej po schodach na piętro. Przy drzwiach prowadzących na oddział przystanęła.

– Pokażę pani, gdzie ona leży. Pójdzie pani schodami, a potem prosto do końca korytarza, potem skręci pani w lewo w kolejny korytarz i tam, zaraz za pokojem pielęgniarek, będzie jej sala. Bodajże siódemka. Ja muszę wracać, bo chyba słyszę telefon. Wie pani... Potem gadają, że służba zdrowia nierychliwa. Proszę się nie martwić. Nic jej nie będzie. Mówią, że wyjdzie z tego. Na takich goi się jak na psie...

Coś jeszcze mówiła, ale nie usłyszałam. Ruszyłam wskazaną drogą.

\*\*\*

Szłam długim szpitalnym korytarzem. Po obydwu stronach na tle kanarkowej lamperii kłuły w oczy białe drzwi. Szpital chyba niedawno przeszedł remont, głównie z zewnątrz – nowa elewacja w słonecznym odcieniu żółci zakryła zadrapania, odpryski, połatała pokiereszowane mury. W środku odnowiono korytarze, zamiast postrzępionego linoleum położono lastryko imitujące szlachetny marmur, na ściany rzucono nieśmiertelną lamperię, wymieniono okna na plastikowe. Drzwi jednak pozostały nietknięte. Zachowane po Niemcach. Żal byłoby się ich pozbywać, choć zapewne znalazłby się niejeden amator. Solidne, dębowe, pięknie frezowane, choć na niektórych farba łuszczyła się i prześwitywało podziurkowane przez korniki drewno. Jak to babka Henia powiadała: „Pamiętaj, Ircia, ze starego nowego nie zrobisz! Żebyś nie wiem jak się starała, to

prawda wyjdzie albo grzybem na ścianie, albo rdzą, albo tęczliwną ukrytą w zanadru”. I wprawdzie babcia Henia nie o szpitalu myślała, ale o starej Moryńskiej, co to z trzysta lat miała, lecz za sprawą bogatej córki, która podejrzaną karierę w Warszawie robiła, wygładziła sobie gębę i do świeć-panie-nad-jego-duszą babcinego nieboszczyka, męża Władysława, się mizdrzyła.

Zza niektórych drzwi dochodziło postękiwanie i rżenie. Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że całą przestrzeń tego miejsca wypełnia esencja cierpienia i bólu. Na końcu korytarza było coś na kształt kapliczki. Zaimprovizowany ołtarzyk z Matką Boską Bolesną i Jezusem Frasobliwym, oprawionymi w imitujące przecierane drewno złożone ramy, które w istocie były tandetnymi chińskimi plastikami. Wśród bukietów sztucznych frezji, lilii i wyblakłych, sfatygowanych przez czas róż schowane były lampiony, z których sączyło się niebieskie światło. Światło odbijało się w szybach wąskiego okna wychodzącego na niewielką kępę starodrzewu, który niegdyś był częścią Puszczy Barlineckiej, otulającej całe miasto, kryjącej w swoich ostępach wiele tajemnic, które przekazywano sobie szeptem, coraz to dodając coś nowego. Jeśli dobrze się przyjrzeć, między roslymi dębami można było dostrzec szary budynek, w którym mieściło się prosektorium. Pamiętam, że kiedy odwiedzałam babcię Henię, wymykałyśmy się chyłkiem i szłyśmy na spacer drogą, która pojawiała się tak samo nieoczekiwanie, jak się kończyła. Prowadziła donikąd. Taki wyrwany z kontekstu odcinek. I tylko w jednym miejscu odchodziła od niej odnoga wiodąca wprost do owego prosektorium.

Wtedy nie miałam pojęcia, po co babka Henia miesza mnie do swoich niecznych planów. Ubrana w różową pikowaną podomkę z wyłogami obszytymi satynową plisą i w bordowych

aksamitnych papciach, na których puszył się wielki puchaty pompon, ciągnęła mnie, trzymając mocno za rękę, i kazała mi niemal przyklejać się do ścian, by uciec przed bystrymi oczami sióstr. „Chodź, chodź, Iruchna – szeptała konspiracyjnie. – Może mi się uda zobaczyć, co oni z człowiekiem po śmierci robią. Bo mówię ci, Iruchna, ja za życia tyle tandety widziałam i doświadczyłam, że za żadne skarby nie dam się zrobić w jakiś kicz! O nie! Co to, to nie! Chociaż raz będę z klasą! Nie pozwolę, żeby ze mnie jakiegoś taniego babiszona zrobili! A co! Żyję tak sobie, ale umrę z blichtrzem!”, mówiła tonem niepozostawiającym wątpliwości, a ja wzdrygałam się na samą myśl o tym, co się dzieje za tamtymi drzwiami. Wyobrażałam sobie makabryczne obrazy rozczłonkowanych ludzi, których poszczególne organy pływają w formalinie, w wielkich słojach ustawionych na rozlicznych regałach.

W progu sali niemal zderzyłam się z drobną siostrą, która łokciem pchnęła białe skrzydło drzwi. Ręce miała zajęte, w jednej trzymała przypominający wielką łopatę basen. I chociaż otwór był zamknięty pokrywką, w nozdrza uderzył mnie intensywny zapach moczu (swoją drogą taką samą pokrywką przykrywałam biały emaliowany garnek do mleka, kiedy moje córki były małe i w sklepach nie było luksusów w stylu błyskawicznych kaszek z wszelkimi składnikami odżywczymi zapewniającymi prawidłowy rozwój mózgu, wzroku, kości, włosów. Trzeba było gotować mleko w proszku, które grudkowało się i przypalało, gdy na moment zaprzestało się mieszania. Strach pomyśleć, co by człowiek wychował, gdyby nie dostarczył dziecku tych wszystkich rzeczy!). Druga ręka pielęgniarki zaciskała się na statywie infuzyjnym z plątaniną rurek i kabli. Kobieta obrzuciła mnie wzrokiem, ale o nic nie zapytała. Pod nosem bąknęła tylko „dziękuję”, kiedy



przytrzymałam ciężkie drzwi, by mogła swobodnie wyjść.

Sala numer siedem była niewielka. Przy przeciw-ległych ścianach stały dwa łóżka. Na tym bliżej wejścia leżała bardzo stara kobieta. Była tak drobna, że ledwie odznaczała się pod kocem powleczonym w szpitalną pościel. Chyba spała, bo słycać było ciche pomrukiwanie, może była już tak słaba, że nie miała siły na wyraźne chrapanie. Prawa ręka zwisała jej bezwładnie z łóżka. Chciałam ją poprawić, musiała jej ścierpnąć. Znałam to nieprzyjemne uczucie, kiedy najpierw człowiek nie czuje kończyny i wszystko leci mu z rąk, a zaraz potem tysiące mrówek spacerują po ciele, łaskocząc do bólu. Dotknęłam ręki chorej, by ułożyć ją równo na pościeli. Była lekka i nieprzyjemna w dotyku. Jak kurza łapka powleczona cienką, chropowatą skórą. Jakby zupełnie nie było tam ciała, tylko naciągnięta na kości krepina.

Ona leżała pod oknem. Promień słońca niczym spuszczone ze szpuli nitka pełgał po niej, zataczając koła, rysując esy-floresy. Kolor jej twarzy zlewał się z poszewką płaskiej poduszki. I gdyby nie rama czarnych włosów rozsypanych w nieładzie, pewnie byłaby niewidzialna.

To ja – Ruta. Ciałem i duchem jestem.

*Jestem światłem.*

*Światło rozprasza ciemność. To zabawne tak się unosić w przestrzeni. Uwolnić się od swojego ciała. Połączona z nim niewidzialnym sznurem, dryfuję. Unoszę się. Prenatalna nieważkość. Nie ogranicza mnie przestrzeń zamknięta w czterech ścianach. Mogę ją przekroczyć. Jestem wielowymiarowa. Jestem*

wolą i pamięcią. Jest duszno. W górze zawsze jest cieplej. I jeszcze wyżej. Zimna płaszczyzna sufitu nie stanowi granicy nie do pokonania. Tu granice nie istnieją. A więc to tak! Można trochę być i trochę nie być. To lepsze niż tkwienie w jednym wymiarze. Łapać ścinki życia. Dzień za dniem. Widzę swoje życie. Widzę życie innych. Jestem historią.

I jest światło, co rozdziela życie i śmierć. Przesącza się, rozszczepia, igra. Tworzy kształty. Za oknem rozległy świat. Z tej perspektywy wygląda zupełnie inaczej. Stracił proporcje, do których nawykłam. Za oknem zwyczajny świat. Codzienna krzątanina ludzi. Mijają się, rzadko kiedy patrzą sobie w twarz. Jakaś kobieta wymachuje rękami, wykrzywia w grymasie złości twarz, co chwila rzuca wściekłe spojrzenie idącemu przy niej mężczyźnie. Świat tu i tam. Jestem jawą i snem.

Więc to nie jest tak, że tylko to, co jest styczne z ziemią, ma sens? Że tylko trzeba twardo stąpać po ziemi? Ludzie? Są tam i tu. Dalecy i bliscy. Przeszłość splata się z życiem. Jestem przeszłością.

\*\*\*

Ciszę przecina skrzypienie drzwi. Stara kobieta leży na łóżku. Marszczy czoło. Żyje. Ale nie ma jej tu, gdzie jestem ja. Przybita do łóżka chorobą, nie chce się unosić. Skurczona, mała, amorficzna. Całą noc przysłuchiwałam się jej oddechowi. Dochodził do mnie z oddali jak najodleglejsze wspomnienie, a potem cichł. I znów wracał – niespokojny, urywany, nieregularny, jakby organizm walczył resztką traconego życia albo jakby się wahał przed podjęciem ostatecznej decyzji. Tu czy tam?

Do sali wchodzi ona. Kobieta z ulicy. Jest obrazem w mojej głowie. Wyraźną kreską. W drzwiach ociera się o pielęgniarkę.

*Kim ona jest? Wyłoniła się z tamtej mgły? Wczoraj? A może tysiąc lat temu? Jest stąd czy stamtąd? Jestem czasem, co płynie poza wszystkim.*

*Patrzy na mnie. Nie wygląda jak ktoś z tego konsylium, które deliberowało nade mną, zakłócając mi spokój i burząc mi obrazy napływające raz po raz do głowy. Kiwali z rezygnacją głowami. Ja tymczasem rozgarniałam czarne chmury, wyskubywałam w nich dziury, aby wpuścić światło. Moje ręce były słabe, jak splątane ciężkim sznurem, jak oplecione bluszczem, który wysysał ze mnie siły.*

*Młody mężczyzna z trzydniowym zarostem stanął nade mną. Wyciągnął dłoń w moim kierunku. Była ciepła i miękka jak zarobione na placek ciasto.*

*– Drgnęła – powiedział do zebranych, którzy akurat wertowali kartę, zaczytywali wyniki z podanych przez pielęgniarkę kartek. Oni nie słyszeli. Przesunął ręką po moim czole. Gdyby ją przytrzymał, otworzyłabym oczy, ale on poszedł dalej, zabierając ze sobą ciepło. Bałam się, że już nie poczuję tego ciepła. Dotyku. Dziwne. Na ogół nie znałam dłoni. Albo nienawidziłam dłoni, poza rękami Jurusia, kiedy niezgrabnymi palcami wyciągał mi z włosów wplątane liście, waciane strzępki dmuchawców albo żółte kotki leszczyny, które wyglądały jak złote spinki.*

*Wychowałam się bez pomocy innych rąk. Matka mnie nie dotykała. Nie gładziła po twarzy, nie mierzwiła z czułością splątanych w beładzie włosów. A kiedy już napatoczyłam się pod jej palce, były sztywne i drętwe jak wyschnięte konary, jakby ulotnił się z nich życio-dajny sok. Jakież było moje zdziwienie, gdy któregoś razu skaleczyła się i nagle niczym z obumarłego źródła wytrysnęła krew. Czerwona i gęsta. Dotknęłam palcem rany, a potem obróciłam się na pięcie i wybiegłam z domu, by*

*tuż za rogiem włożyć palec do buzi i posmakować. Miała cierpki, galwaniczny smak, ale była najprawdziwsza na świecie. Ojciec. Jego ręce były sprawne. Potrafił z kawałka drewna wyciosać filigranowego elfika, rączego jelenia z zarysem róży, magicznego ptaka lub lewiatana połykającego własny ogon. Ale ode mnie trzymał je daleko, tłumacząc się chropowatością i lękiem przed skrzywdzeniem. Pokazywał poranione palce, podbiegłe krwią paznokcie ze strzępami zadziorów, wierzch dłoni z ranami krwawiącymi niczym u stygmatyka.*

*A ja niczego nie pragnęłam tak jak dotyku. Połączenia. Tej samej temperatury ciała. Tego samego kierunku przepływu krwi. Istota dopominająca się o życie i uwagę, nietknięta ręką, umiera lub w najlepszym razie dziczeje. Taki los! Nie uchronisz się przed losem. Żeby nie wiem co. Jestem wieczną tęsknotą.*

*Plecami dotykam ściany. Przesuwam się nieco na prawo, by nie zahaczyć o jarzeniówkę. Świetlówka mruczy natrętnie, bzyczy jednostajnie statecznik. Towarzyszy temu sporadyczne brzęczenie wydobywające się na zewnątrz. W mlecznej obudowie chroboczą uwięzione muchy, jakby resztką swych muszych sił wołały o pomoc. Desperacko walczą o wolność, ale nie ma dla nich ratunku. Na dnie mlecznej osłony – cmentarzysko much, komarów i ciem zwabionych światłem. Nie warto iść w stronę światła.*

*Kobieta jest niezdecydowana. Z pewnym zmieszaniem przekracza próg sali numer siedem. Jej wzrok spoczywa na mnie. Czuję ciężar tego spojrzenia. Patrzy zdziwiona. Wyłoniłam się jej z mgły. Zanim zdołała wyodrębnić kształt: huk zderzenia, głuchy odgłos odebrał jej tę możliwość. Zamierzałam ją uspokoić. Powiedzieć: nic się nie stało. Odleciałam. Lekka. Wzniosłam się ponad siebie. Byłam tam i tu. Nie umiałam się odciąć od żadnego ze światów. Tkwiłam – zawieszona. Jestem*

*niebem i ziemią.*

\*\*\*

Siedzieli na szpitalnych stołkach. Jak dwie kamienne figury Cerbera strzegące wejścia do jej świata, do którego nie wpuszczały żywych i z którego nie wypuszczały zmarłych, pilnując spokoju chorej. O dziwo, moje pojawienie się zupełnie ich nie zainteresowało. Żadne z nich nie poświęciło mi bodaj nikłego spojrzenia. Wyglądali jak żywcem wyjęci ze starego kina. Ona ufryzowana na przedwojenny sposób – zaczesane do przodu włosy opadały zwiniętym w rulon kokiem na czoło. Jakby ktoś ze starej fotografii wyciął głowę i wkleił do innej postaci. Dalej nie było już żadnej elegancji czy wytworności, których można by się było spodziewać, patrząc na twarz kobiety. Miała na sobie niemodny płaszcz, nieco przyciasny – rozchodził się na piersiach, ukazując żółty golf w zakardowy wzór. Pamiętałam te płaszcze. Pikowane, przedłużane jubki, w których chodziło pół miasta – zakład odzieżowy Barola rzucił do domu towarowego całą serię, bo okazało się, że brakarz przeoczył jakiś błąd i cały rzut palt trzeba było przecenić. Kobiety rzuciły się na okazję; mało która pomyślała, że na ulicy, a już nie daj Bóg w kościele wszystkie będą wyglądały jednakowo, jak w chińskich mundurkach Mao.

Wpatrywała się beznamiętnie w leżące pod cienką szpitalną kołdrą ciało. Do jego różnych części – tych nad przykryciem i tych pod nim – prowadziły cienkie plastikowe rurki, w których co chwilę przelewała się jakaś ciecz lub bulgotały bąbelki. Na twarzy kobiety malował się wyraz zdumienia. Raz po raz obracała się w stronę mężczyzny, który jej towarzyszył, jakby szukała u niego jakiejś interpretacji tego, na co właśnie patrzyła. Ale on siedział nieruchomo, ze wzrokiem zawieszonym gdzieś

powyżej łóżka, powyżej przyklejonego do lamperii pasa pstrokatej tapety, która znaczyła jej koniec, powyżej wiszącego na gwoździu drewnianego krzyżyka z ukrzyżowanym Jezusem i powyżej Matki Boskiej, trochę mniejszej niż ta na ołtarzyku w korytarzu szpitalnym, ale równie bezradnie patrzącej na wykręconych bólem chorych. Nierozłączna para. Jakby sprzedawali ich w pakiecie, bo tak idealnie komponują się ze szpitalną atmosferą. Kto miał przed sobą krzyżyki i Matki Boskie, a jeszcze do tego był cierpiący lub nieprzytomny, pozbawiony całkowitej dyspozycji, pozostawał w stanie uświęcającej łaski i zyskiwał odpuszczenie grzechów.

Mężczyzna był stary. Bardzo stary. Było w nim coś szlachetnego. Może łagodność bijąca z głęboko osadzonych oczu, które kiedyś musiały być piękne i wyraźne, ale teraz wyglądały jak spłowiałe albo pokryte cienką błonką, a może fakt, że miał na sobie długi, dobrze skrojony płaszcz, nieco podniszczony, pachnący starością i naftaliną, który mimo woli nasuwał skojarzenie z przedwojennym sznytem. A może po prostu chodziło o spokój, jakim emanował. Bo w zachowaniu mężczyzny był milczący, pełen szacunku do miejsca, w którym życie baruje się ze śmiercią, spokój. Co chwilę podnosił z podłogi wymykające się ciężkie poły okrycia. Buty na okoliczność szpitalnych odwiedzin miał wyglansowane na wysoki połysk. Estera Naumowicz – bo tak nazywała się kobieta – płakała. Co jakiś czas przestawała i szamała w dziwnym języku, w którym dało się wychwycić pojedyncze słowa niemieckiego, łaciny i hebrajskiego.

Podeszłam bliżej Ruty. Już wiedziałam, że tak się nazywa. Ruta. Ruta Wojnowska.

– Przepraszam – wyszeptałam najciszej, jak umiałam. Może nawet tylko poruszyłam ustami. – Nie wiem, co pani może

jeść i pić, ale przyniosłam sok pomidorowy i herbatniki *petit beurre*. Nie wiem, czy pani lubi takie herbatniki... Ale... – zawahałam się. Nie wiedziałam, co mam dalej powiedzieć. – Chyba wszyscy je lubią. Są takie... takie uniwersalne... i bezpretensjonalne... i bez dodatków... I może jeszcze jogurty? Zostawię pani. Są dobre. Owocowe... Lubi pani owocowe? Te zwykle to takie bez smaku... Ale mogę przynieść inne.

Odpowiedziało mi milczenie. Wsunęłam przyniesione wiktuały do metalowej szafki. Nie odwracałam głowy, ale poczułam na sobie – pierwszy raz od wejścia do tego pomieszczenia – spojrzenie Estery i ojca Ruty. Starszy pan na moment spuścił wzrok z sufitu i bacznie przyglądał się moim poczynaniom.

– Przepraszam... Jeszcze się spotkamy – dodałam jeszcze ciszej, jakbym się bała, że złożona właśnie obietnica będzie musiała zostać spełniona.

To ja – Ruta. Ciałem i duchem jestem.

*Dziwna była ta kobieta. Nie przedstawiła się. Wstała pospiesznie, zupełnie jakby chciała uciec z miejsca, w którym znalazła się nieoczekiwanie dla siebie samej. W sali numer siedem wszystko trwało w bezruchu. Zastygłe w czasie jak w dziecięcej zabawie „raz, dwa, trzy, Baba-Jaga patrzy”.*

*Mikra siostra niesie tacę z pipetkami, kieliszkami, pakietem wacików i lateksowych rękawiczek oraz jedno-razowych strzykawek. Z korytarza dobiegają jakieś podniesione głosy, ktoś biegnie, woła lekarza, słychać skrzypienie drzwi i terkotanie kół szpitalnego łóżka po posadzce. Ojciec z matką patrzą w stronę*

*wyjścia. Na moment ich oczy spotykają się, potem ona wygładza łóżko i szepcze do mnie, zaciskając coś w dłoni. Po chwili podnosi to do twarzy, dmucha i przekłada do drugiej ręki. Wsuwam się do wewnątrz siebie. Jestem ciałem. Ogarnia mnie zmęczenie. Wraca ból głowy. Chcę oderwać się od siebie, znów znaleźć się w górze. Ból przeszywa mnie na wskroś. Jestem cierpieniem. Jęk bólu wydobywa się z moich ust. Moja matka pyta: „Vos hostu mayn tokhter?”<sup>1</sup>. Co to za słowa?! Jak zapomniana piosenka. Może nie chce, by ktoś ją zrozumiał. A może tak jest jej łatwiej.*

\*\*\*

– Do widzenia – rzuciłam na odchodnym. Nie usłyszałam odpowiedzi, choć może padła w momencie, gdy mijałam się z pielęgniarką. Na plecach czułam spojrzenia szemrzącej półszepcem kobiety i starego człowieka. Wracając długim korytarzem, mijałam biegnące pielęgniarki, które trzymały kroplówki z wiszącymi wężykami rurek. Nie oglądałam się za siebie, ale nie mogłam wyzbyć się wrażenia, że ktoś mnie obserwuje.

\*\*\*

Wypadłam ze szpitala niczym topielec, który w ostatniej chwili wybił się ponad taflę wody. Pełną piersią nabrałam powietrza. Aż do zachłyśnięcia. Zrobiło mi się ciemno przed oczami. Chwilę stałam, by wyrównać oddech. Jakaś dziewczyna w białym fartuchu przystanęła obok mnie i zapytała z przesadną troską w głosie:

– Ojej! Czy pani źle się czuje? Czy mogę jakoś pomóc?

Potrząsnęłam głową.

– Nie, nie. Wszystko w porządku.



Odwróciłam się. Za mną pięła się niepozorna uliczka wyłożona plastrami betonu. Wiedziałam, że w którymś miejscu droga skręca w prawo. Do prosektorium. Naraz poczułam wielką ulgę. Ona żyje! Nie zabiłam jej! Jest w sali numer siedem!

Sięgnęłam po telefon. Zamierzałam zadzwonić do Gabrysi albo do Kornelki, chciałam córkom o wszystkim opowiedzieć. Chciałam usłyszeć, jak mnie uspokajają, jak mówią, że wszystko będzie dobrze. Teraz, kiedy już ją widziałam – Rutę, kiedy widziałam ją żywą, teraz mogłam mówić. Przysłoniłam ekran, bo nie mogłam dojrzeć spisu połączeń. Nagle poczułam, jak ktoś zdecydowanym ruchem szarpie mnie za ramię. Obróciłam się przestraszona. Za mną stała Estera Naumowicz. Znieruchomiałam. W pierwszej chwili pomyślałam, że Ruta umarła i oto jej matka stoi przede mną jak wyrzut sumienia, niczym zła wieszczka.

Kobieta uśmiechnęła się do mnie wąskimi ustami i wyciągnęła w moim kierunku dłoń, na której leżało coś owiniętego w skrawek gazety. Przymknęła powieki, jakby zamierzała dać mi do zrozumienia, że chce, bym to wzięła. Byłam kompletnie zdezorientowana. Wzruszyłam ramionami, pokręciłam głową, ale nie potrafiłam się zdobyć na żadne słowo. Nie miałam pojęcia, czego chce ode mnie ta kobieta.

– Proszę. Weź to. Na szczęście – powiedziała. Słowa, wybrzmiały z wielkim trudem, szeleściły miękko, jakby wymawiało je dziecko uczące się poprawnej artykulacji. Sz, cz, szy, czy... dż... dzi, język łamał się od tych dźwięków.

Wcisnęła mi przedmiot w dłoń i zacisnęła moje palce. Bała się, że nie przyjmę tego dziwnego podarunku albo wysmyknie mi się i potoczy w dół między kołami nadjeżdżających jeden za drugim samochodów. Zanim zdążyłam zareagować, cofnęła się i zniknęła za drzwiami szpitala.

Przez chwilę, zdumiona, trzymałam podarunek  
w zamkniętej dłoni, a potem nieoczekiwanie chuchnęłam weń,  
tak jak to robiłam ze znalezioną na chodniku monetą,  
i wrzuciłam zawiniątko do kieszeni.

W oknie sali numer siedem mignęła mi postać Estery  
Naumowicz. Zdawało mi się, że do mnie machała.

1 Co się dzieje, moja córko? (niem. jidysz).

## CZEŚĆ II

## 1.

### Ludzie z tamtych lat

Estera Naumowicz była służącą u Kalnsteinów w folwarku Wolfsburg, należącym do majątku Siede. Starsza pani, hrabina Gudrun – jedyna córka właściciela majątku Siede generała Seidlitz, żona von Kalnsteina, rot-mistrza sympatyzującego z Polakami – znalazła ją zaraz na początku wojny i przetrzymywała u siebie, o czym mało kto wiedział. A nawet jak ktoś podejrzewał, co w trawie piszczy, milczał, bo na łasce hrabiny pozostawał. Tajemnicą poliszynela było bowiem, że Kalnsteinowie oprócz robotników sezonowych pochodzących z pobliskich osad, jak Hohengrape, Jagow czy nieco odleglejszych – Berlinchen, Arswalde lub Neuwedell, zatrudniali każdego, kto do ich domu z prośbą o pracę zapukał, nawet tych, którzy po trzydziestym ósmym uciekali w popłochu przed pogromem nazistów<sup>2</sup>. Z dala od frontu, z dala od Boga i ludzi, Siede zdawało się spokojnym azylem.

Chodziły pogłoski, że sam rotmistrz hrabia Bernard był spokrewniony po mieczu ze szlachcicem polskiego pochodzenia, Oskarem Kalnsteinem-Dworeckim, miecznikiem koronnym i poddanym w Prusach Wschodnich, mających wówczas status lenna należącego do Rzeczypospolitej. Ale po traktatach welawsko-bydgoskich i przekazaniu ziem wielkiemu elektorowi brandenburskiemu Fryderykowi Wilhelmowi ów szlachcic zbuntował się przeciw jurysdykcji tegoż i stanął na czele opozycji miast Prus Wschodnich wobec wielkiego elektora. Zdradzony później przez brata, czyhającego na schedę po ojcu,

próbował uciec pod opiekę króla polskiego, ale podstępem został pojmany i przewieziony przed oblicze wielkiego elektora, by dokonać żywota – został ścięty okrutnie na rynku w jednym z miast pruskich. Po jego śmierci synowie toczyli spór o majątek. Jeden z nich za sprawą niecnie uknutej intrygi został okrzyknięty zdrajcą i stracony, drugi zaś – rzeczony Bernard – przejął z żoną Gudrun z domu Seidlitz majątek Siede z przyległym folwarkiem Wolfsburgiem, leśniczówką i młynem na potoku Rausche po niejakim hrabim Oppenheimie. Małżeństwo Kalnsteinów uchodziło w okolicy za zacne i wielkiego serca, choć nieliczni wiedzieli, że doświadczyło wielu nieszczęść, głównie za sprawą okrucieństwa wojny, która odebrała Kalnsteinom trzech synów. Najstarszy, Ludwig, został zabity w maju 1905 roku na placu Grzybowskiem w Warszawie w czasie starcia z oddziałami carskimi, którego zarzewiem stało się stracenie Stefana Okrzei. Syn Gudrun i Bernarda znalazł się tam przypadkiem wraz z przyjacielem Polakiem, którego poznał podczas podróży. Drugi syn, Heinrich, zginął podczas pierwszej wojny w pamiętnej bitwie pod Cateau, najmłodszy zaś, z którym matka wiązała nadzieje na spokojną, dostatnią starość, przeżywszy zaledwie dwadzieścia lat, umarł na nieuleczalną chorobę na odległych wyspach Mikronezji, będącej częścią protektoratu Nowej Gwinei Niemieckiej. Nie zostawił po sobie żadnego śladu, co dla nieszczęsnej hrabiny było dodatkowym dramatem, tliła się w niej bowiem nieustająca nadzieja na powrót syna.

Nic więc dziwnego, że kiedy pewnego wiosen-nego dnia – gdy roztopy działały przygnębiająco, bo jak okiem sięgnąć wszystko wokół tylko brzydło i brzydło, gdy żółte ślady zwierzęcych odchodów zlewały się z brunatną płaszczyzną ziemi nasiąkniętej niczym gąbka wilgocią i zgnilizną, gdy świat

zdawał się siny niczym umierający człowiek, a na jego powierzchni pozostały tylko najbardziej wyraziste kształty, niczym tworzące się na ciele wybroczyny z krwi, która przestała już być pompowana i zakrzepła ciemnymi plamami – wśród całej tej obmierzłości od strony ciemnego lasu nadeszła ona – Estera. Serce Gudrun, obumarłe po stracie ukochanych synów, poczęło drgać żywiej, nową tchniętą nadzieją.

\*\*\*

Gudrun, pół siedząc, pół leżąc na wyściełanej atlasowym obiciem berżerze, wpatrywała się beznamiętnie w okno, które kadrowało rozciągający się za nim świat, odcinając całą nieskończoną przestrzeń i pozostawiając tylko ów prostokątny wycinek, w którym nie było nic poza kilkoma gałęziami platana rosnącego tuż za oknem, zagląającego bezwstydnie do salonu przy każdym podmuchu wiatru, i niebem zmaglowanym z dymem uchodzącym z pobliskich zabudowań gospodarskich. Czarnym i gęstym, bo chociaż drewna do palenia było pod dostatkiem z uwagi na rozległe tereny leśne przynależne do majątku, to stary Fritz wciąż wrzucał do ognia wszystko, co mu w ręce wleciało albo co pani uznała za zbędne, i mimo upomnień, próśb czy reprimend zduna przyjeżdżającego aż z Landsbergu wciąż uprawiał ów proceder, żywiąc szczere przekonanie, że z dymem ulecą niepotrzebne rzeczy, dla których szkoda miejsca na ziemi. Gudrun, odziana w ciepłą, odszytą według najnowszej mody kaszmirową suknię z obniżonym stanem i wyrzuconą nieco bluzką, zakończoną pasem misternie haftowanym koralikami, przeglądała wyciągnięte z szyfoniery fotografie synów. Rozkładała je jak talię kart na wzór pasjansa, wpatrywała się w nie długo, po czym zmieniała konfigurację zdjęć. Przywoływała w głowie wspomnienia, nadawała im

kształt opowieści. Bóg raczył wiedzieć, ileż bólu i – paradoksalnie – ulgi przynosiło jej codzienne odtwarzanie tego theatrum. Wciąż nie umiała się pogodzić z losem. Bernard zapewne w równym stopniu czuł się zrozpaczony, ale ponieważ nie chciał ujawniać przed żoną słabości, trzymał się twardo, jednocześnie zakazując jej okazywania rozpacz i żałoby.

Gudrun obrysowywała palcem kształty postaci synów. Delikatnie, ledwie dotykając fotografii, jakby się bała, że zatrze ich rysy, rozmaże i pozostaną tylko niewyraźną plamą.

W salonie skwierczał ogień, wyrzucając raz po raz drobne iskry jak spadające z nieba gwiazdy. Gudrun widziała je przez żeliwne ażurowe drzwiczki wielkiego kaflowego pieca. W jego górnej części, koronie zwieńczonej stożkowatym daszkiem stanowiącym misterną konstrukcję wykonaną z ozdobnych glazurowanych kaflów pokrytych tu i ówdzie krakelurą przypominającą przemyślnie utkaną pajęczą sieć, widniał anioł uwięziony w obrębie ceramicznego kafla, jedyne w swym kształcie – owalnego. Nad aniołem wiły się gałązki oliwne, splatały liście ligustru, dębu, akantu, a po obu stronach dwie głowy orła, które zdawały się chronić anioła. Choć jak widać, nie do końca im się to udało, bo obok anioła widoczne były niewielkie odpryski. Jak gdyby ktoś chciał go wydłubać albo postrzępić mu skrzydła, by nie mógł już latać. Biedny, pokaleczony anioł.

Gudrun wyobraziła sobie, że każda z iskieł to gwiazda, ale zanim zdążyła pomyśleć życzenie, kolejna gwiazda spadała, zamieniona w popiół. I gasła nadzieja w hrabinie, i coraz większa gorycz w niej tężała. Gorycz tak ciężka, że Gudrun coraz trudniej było dźwigać ten życiowy balast, a do głowy przychodziła jej myśl, że niczego już w życiu nie oczekuje, więc może umrzeć. Może wtedy spotka synów, którym nigdy nie

zdażyła powiedzieć, jak bardzo ich kocha.

W pewnym momencie na zewnątrz zrobił się jakiś ruch. Zazgrzytały okiennice, zatrzeszczało, jakby coś usilnie próbowało przerwać rozmyślenia Gudrun i oderwać ją od gorzkich wspomnień. Najpierw metalicznym dzwonieniem odezwał się długi łańcuch Lupa, podwórkowego psa; zaraz po tym kundel zaczął ujadać, alarmując całą okolicę o jakimś nadzwyczajnym zdarzeniu. Na przemian – łańcuch łoskotał, pies szczekał. Naraz się uspokoił, jakby zwabiony kęsem mięsa lub obłaskawiony łagodnym głaskaniem, na które wciąż pozostawał łasy. Słysząc było tylko ciche popiskiwanie, które wyrażało najwyższy stopień ukontentowania. Na powrót zaległa cisza, ale kobieta dałaby sobie rękę odjąć, że nie był to ten sam spokój, który panował tu na co dzień – z dala od innych zabudowań gospodarskich, od głównego traktu, ciągnącego się lasem od odległego Bernsteinu do Berlinchen. Wiódł stąd obsadzony młodą osiczyną gościniec, z którego odnogami ścieliły się dróżki do owczarni, gręplarni, stajni, powozowni i innych budynków, aż do wieńczącego koniec gościńca pałacu, za którym poza niewielkim ogrodem rozciągała się dzika, nieprzebyta puszcza. O różnych porach dochodziły z niej pohukiwania, porykiwania i inne straszne głosy, co to zwykłemu śmiertelnikowi, a już na pewno wydelikacjonym damom nie pozwalały nosa poza obręb ogrodu wyściubić. Hrabina była pewna, że ze strony zwierzyny, która tak czy siak bardziej obawiała się ludzi niżli oni jej, nic jej nie grozi. Tym bardziej to, co dawało się słyszeć za oknem, napawało ją tyleż strachem, co zdziwieniem.

Powoli wstała. Odłożyła talię zdjęć i zarzuciwszy na plecy ciepły kaftan z owczej wełny, niczym prosta chłopka, podeszła do wielkiego wykuszowego okna. Pchnęła je mocno, aż szyba



zadźwięczała złowrogo, i wyszła na taras. Początkowo nic jej nie zaniepokoiło, już zamierzała wracać, gdy zza ściany, ledwie czubkiem głowy, ledwie rąbkiem zniszczonej spódnicy, wychynęła wymizerowana sylwetka dziewczyny.

– Hallo! Wer ist hier? Wer ist da?<sup>3</sup> – zapytała głośno Gudrun, starając się ukryć strach. Zrobiła kilka kroków do przodu. Otuliła się szczelniej, bo pod wpływem nagłego targnięcia chłodnego powiewu jej ciało zadrżało. – Hallo! – powtórzyła, widząc już tylko czubek zniszczonego buta. Może tajemnicza osoba zapomniała go cofnąć, a może to był wabik, który miał zaprowadzić Gudrun tam, gdzie nie było okien, a tylko niewielkie drzwi prowadziły do bocznego skrzydła, które od jakiegoś czasu stało puste?

Po kilku następnych krokach stanęła twarzą w twarz z dziewczyną. Ta stała nieruchomo. Było w niej coś osobliwego. Rezygnacja, poddanie się? Jakaś obojętność? Determinacja? Znalazły się na odległość oddechu.

– Was machst du denn hier? Wie bist du da gekommen?<sup>4</sup> – hrabina Kalnstein mówiła cicho, jakby miała pewność, że spotkanie to nie może być jawne. Obrzuciła dziewczynę taksującym spojrzeniem i zaraz zerknęła za nią, by się upewnić, że nikt ich nie widzi.

Przybyszka milczała, nie spuszczać oczu z hrabiny. Była w jej spojrzeniu jakaś buta, chociaż zarówno twarz, jak i cała jej postać zdradzały symptomy wielkiego zmęczenia.

– Mädel! Ich frage dich. Woher bist du? Ist etwas passiert?<sup>5</sup>

Zdawało się, że dziewczyna zaraz upadnie. Była blada, wręcz sina. Z jej oczu uciekł jakikolwiek wyraz, zrobiły się mętne i niewidzące. Powieki, opadające raz po raz, zdawały się unosić z coraz większym trudem. Jakby za chwilę miała zasnąć

na stojąco, przyklejona do czerwonego muru pałacu.

– Warum redest du nicht?6 – Głos Gudrun był coraz bardziej natarczywy.

W tym samym momencie dziewczyna osunęła się po ścianie i upadła. Gudrun podbiegła do niej. Chwyliła przegub jej ręki, żeby sprawdzić puls. Był ledwie wyczuwalny. Rozglądała się, desperacko szukając kogoś, kto mógłby jej pomóc. Ale wokół było cicho. Nic dziwnego, w tej części pałacu rzadko kręcił się ktoś ze służby, a stary Horst, który opiekował się ogrodem, miał nakazane, by wykonywać prace tak, aby się jaśnie pani zbyt nie naprzykrzać.

Podtrzymywała głowę dziewczyny. To Żydówka. Co do tego Gudrun nie miała żadnych wątpliwości. W ciemne włosy – widać dawno niemyte, ale splecione starannie w warkocz wokół głowy – wplątały się liście, jakby dziewczyna przedzierała się przez gęste zarośla. Mimo bladości jej cera była smągła. Żydówka była piękna. Niósł się od niej dziwny zapach nieświeżości wymieszanej z zapachem lasu, żywicy, ziół i butwiejącej zieleni. Spod niedomkniętych powiek czerniły się ciemne źrenice. Hrabina usiłowała wziąć przybłędę na ręce, ale bezwładne ciało było nie do udźwignięcia. Klepała więc ją delikatnie po policzku z nadzieją, że w jakiś cudowny sposób dziewczyna odzyska przytomność.

Naraz poczuła, że ktoś za nią stanął. Odwróciła się niespokojnie, jednocześnie usiłując zupełnie nieporadnie zasłonić sobą omdlałą dziewczynę.

Anzelm Wittchow. Serce Gudrun zwolniło. Czowała się przy nim bezpiecznie. Odkąd pamiętała, Wittchowowie zawsze byli blisko nich. Mieli niemieckie nazwisko, ale zarzekali się, że z dziada są Polakami, choć chłopak mało co po polsku mówił, a rozumiał – prawie w ogóle. Matka Anzelma, jak to bywa

w romantycznych powieściach, zmarła w czasie połogu. I ani sprowadzenie lekarza, ani przewiezienie do najbliższego nowiuńskiego szpitala w Berlinchen, gdzie za niemałe pieniądze Kalnsteinów troskliwie zajęto się chorą, nie ocaliły biednej Irmy Wittchow. I tak rodzicielka Anzelma, nie odzyskawszy przytomności, wyzionęła ducha i została pochowana na cmentarzu w Berlinchen, zostawiając na pastwę losu i młodego męża, i ledwie co porodzonego synka. Ojciec zaś – Józef Wittchow – był stajennym. Zginął banalnie, gdy syn miał zaledwie trzy lata. Sprowadzony do stajni piękny, czystej krwi arabskiej Agisan, nieopatrznie spłoszony, szarpnął się i kopnął Wittchowa tak niefortunnie, że ten, ugodzony w skroń, zmarł na miejscu.

Po śmierci ojca Anzelma przygarnięto we dworze, całkowitą opiekę powierzając Bercie. Sam Bernard dbał, by chłopakowi niczego nie zabrakło, choć zapewne niczego nie brakowało mu tak jak rodziców, mimo że Berta pokładła w nim całą swoją miłość.

– Pomóż mi! – zakomenderowała Gudrun.

Chłopak pochwycił ciało dziewczyny, które przelewało mu się przez ręce, jakby nie miało kości – gibkie i wiotkie. Było to dla niego dziwne uczucie. Obce ciało tak blisko jego ciała. Czuł dziwne ciepło rozchodzące się po nim. Dziewczyna ważyła nie więcej niż dorosła owca, nawet nie maciora. Ale z tamtymi Anzelm się nie patyczkował, podnosił je chłodno i beznamiętnie, stawiał na ławę i strzygł, nie myśląc o tym, co czują i czy czują. Tu natomiast miał do czynienia z figurą podobną tym, którymi zachwycał się podczas rzadkich i samotnych wyjazdów do pobliskiego Hohengrape. Widniały tam postacie Przenajświętszej Pani i Świętej Marii Magdaleny, która jako jedna z pierwszych miała objawiać światu zapowiedź zbawienia,

i tam wielebny polski ksiądz, Andrzej Helewski, przemawiał nabożnym głosem o sile i miłości Panny Najświętszej. To tam po śmierci opiekunki Berty jeździł Anzelm. W tym wiejskim kościółku, przyglądając się sylwetkom kobiecym, tęsknił do matki, której nigdy nie poznał, a tylko wyobrażał sobie na mocy opowieści Berty. Fantazjował też na temat kobiet, które pojawiały się od czasu do czasu, budząc w nim dziwne, niepoznane dotąd żądze. Teraz chłopak miał jakieś trzynaście lat. Za mało, by można go było nazwać młodzieńcem, ale za dużo, by traktować jak dziecko. Los pozbawił go dzieciństwa. Czasem, patrząc na niego, Gudrun gotowa była wątpić w jego wiek. Tylko znajomość jego biografii upewniała ją, że to jeszcze dziec-ko, choć siłę miał zdumiewającą, a i wyglądem bardziej przypominał młodzieńca. Wąs sypnął mu się pod nosem i głos coraz częściej brzmiał łagodnym basem, mimo że niekiedy jeszcze ton skrzekliwy niczym fałszywy akord w melodyjnej frazie pojawiał się podczas rozmowy.

– Połóż ją tu! – nakazała hrabina, wskazując ręką na szeroki szezlong, obity tkaniną w taki sam deseń co berżera, na której zdawały się jeszcze odciskać jej kształty. – Przynieś wody! Ale najpierw podaj mi sole trzeźwiące! – Machnęła ręką w nieokreślonym kierunku. Anzelm domyślił się, że idzie o zdobny flakonik stojący na gerydonie, na którym wbrew przeznaczeniu zamiast efektownych waz z owocami czy świeczników hrabina trzymała różne specyfiki.

Wykonywał polecenia jak zahipnotyzowany. W końcu dziewczyna otworzyła nieprzytomne oczy. Wciąż sprawiała wrażenie nieobecnej. Zaraz też hrabina go odprawiła. Poszedł, ale od tamtej chwili dziewczyna, która leżała na jego rękach, z głowy mu wyjść nie chciała.

2 W nocy z 9 na 10 listopada 1938 roku w całych

Niemczech doszło do pogromu ludności żydowskiej. Ta noc przeszła do historii jako „noc kryształowa” (*Kristallnacht*). Do jej następstw należały mord dokonany na ludności żydowskiej, niszczenie synagog, palenie sklepów, domów towarowych, demolowanie domów prywatnych, bezczeszczenie kirkutów.

3 Kto tu jest? Kto to?

4 Co ty tu robisz? Jak się tu znalazłaś

55 Dziewczyno! Pytam cię. Skąd jesteś? Czy coś się stało?

6 Dlaczego nie mówisz?

## 2.

### Zły czas

Był to niedobry czas. Dla wszystkich. Nie tylko dla Polaków i Żydów, ale i dla Niemców, którzy całe wieki, aż do tej strasznej wojny, żyli na terenach Nowej Marchii jak u Pana Boga za piecem. Pieczołowicie budowali swoją ojczyznę, upiększali swoje obejścia koronkami parkanów, za którymi sadzili drzewka z nadzieją, że rozrosną się w wielkie, wybujałe okazy, w cieniu których na stare lata znajdą odpoczynek po trudnym życiu.

Na widokówkach „Gruss aus Berlinchen” miasto i okoliczne miejscowości wyglądały jak małe arkadie, gdzie życie toczy się leniwie – z dala od historii, od pożogi. A już szczególnie tu, w zapomnianym przez świat Siede, było bowiem położone nieco na uboczu, w lesie. Prowadzące doń liczne zakręty, kocie łby i zwierzyna wychynająca na każdym kroku sprawiały, że trasa wiodąca przez siedlisko nie była zanadto uczęszczana. Jeśli kto podróżował z głębi Rzeszy do Landsbergu czy jeszcze dalej, na wschodnie rubieże Marchii, to wybierał wygodniejszy trakt z Arnswalde przez Bernstein i Berlinchen, ale najlepiej było – gdy podróż dłuższa – koleją do Soldin i dalej do Friedebergu, a stamtąd w jeszcze bardziej odległe zakątki. Zresztą czasy robiły się coraz bardziej niespokojne, więc rzadko kto pchał się na wschód, gdzie wojna huczała, gdzie pomór, a człowiek żył już tylko dziwną siłą rozpędu, wyzbyty marzeń, pozbawiony nadziei. Tak więc gdy front się zbliżał, rozsądek nakazywał Niemcom uciekać gdzie pieprz rośnie. W głąb

Niemiec, z dala od wojennej nawałnicy. Uciekać do rodzin, o których niewiele wiedzieli – kim są, jak przyjmą i czy w ogóle. Uciekać do miejsc, których nazw nie znali, nad którymi wisiało więcej znaków zapytania niż odpowiedzi. Był to niedobry czas. Dla wszystkich.

Tutaj, w Siede, dni płynęły monotennie. Na ogół. Czasem przejezdny wstępował języka zasięgnąć, ale to rzadko. Od jakiegoś czasu jednak zdarzało się, że ktoś przypadkiem zajechawszy, niechcący posiał ziarno niepokoju, które wprawdzie niepielęgnowane, nieżywione, bywało szybko zapomniane, ale już żyło swoim życiem. I mało kto się spostrzegł, że owo ziarno, pozostawione samemu sobie, wzrastało cicho, zrazu niepozorne i bez znaczenia aż do dnia, gdy zapuściwszy głęboko korzenie, rozpleniło się dokoła, trudne do wyrugowania.

Tamtej jesieni dało się zauważyć większy ruch na drodze. Do świąt było jeszcze daleko, a żadna inna okoliczność nie była w stanie wytłumaczyć tego poruszenia. Co dzień niemalże ciągnął przez wieś choćby jeden wóz, na którym piętrzył się pochowany w skrzyniach, pozakrywany derką, powiązany linami dobytek. Ludzie siedzieli na nim, skuleni, nie wiedząc, dokąd rzuci ich los.

W Siede było niby cicho, niby owej ciszy nie zakłócało nic poza odgłosami zwierzyny domowej, tu i ówdzie zaszczekał pies, z pobliskich obór i chlewów dochodziły porykiwania, na jednym czy drugim podwórku zapiał kogut. Ale powietrze zdawało się ciężkie jak przed wielką burzą, choć nie była to pora na burze, a i przejrzyste niebo, po którym leniwie sunęły jasne obłoki, na nią nie wskazywało.

Dziwny to był czas.

Ludzie przestali mówić na głos i coraz częściej oglądali się

za siebie. Nieufni i podejrzliwi. Ze strachem szeptali – rzucając niespokojnie rozbieganymi oczami, czy aby ktoś nie czai się gdzieś w pobliżu – o tym, że niedaleko, zaledwie kilkanaście kilometrów stąd, przybywają przymusowi robotnicy nie tylko z okupowanej Polski, ale i Francuzi, Holendrzy, Rosjanie czy Ukraińcy. Nic więc dziwnego, że pojawienie się jakiejś nowej twarzy budziło podejrzenia, bo któż wiedział, kto zacz. A jeśli uciekinier z obozu albo jaki inny przybłąda, to nikt nie chciał głowy pod topór kłaść.

Najgorzej bywało nocą. Gdy tylko za oknami rozlegały się przyciszone głosy, stukoty i rumor, w sercach niepokój wzbierał i czasem aż trudno było ślinę przełknąć, bo wielka gula tkwiła w gardle, gotowa zadusić.

\*\*\*

Okolo Nowego Roku Estera przybiegła do hrabiny cała rozdygotana. Mimo że na dworze panował przeokropny ziąb, miała na sobie lekką płócienną koszulę, pod którą odważnie odznaczały się jej krągłe piersi. W ciągu tych niemal czterech lat, które upłynęły, od kiedy Gudrun znalazła ją ledwie żywą, Estera z dziewczynki przeobraziła się w młodą kobietę.

Tydzień jeszcze nie minął, jak obchodziła urodziny, ale swoją bat micwę pamiętała jak przez mgłę. W ogóle nie bardzo pamiętała tamto życie. Nie chciała pamiętać. W oddalonym o kilkadziesiąt kilometrów Neuwedell zostawiła obrazy szczęśliwego dzieciństwa. Zabawy z Peterem Richtem. Wizyty w sklepie Salingerów, w którym oboje siadywali za kontuarem, a pani Rachel podawała im dopiero co upieczone rugelach i hamantasze, z których wyciekały gorące powidła. Trzeba było szybko zlizywać ciekące po palcach słodkie strużki, bo inaczej parzyły ręce do bólu. I tamtego dnia, po okrutnej nocy, ten sam



Peter z gładko przyczesaną grzywką, przesmarowaną tłustą brylantyną, nie patrząc ani w kierunku pani Racheli, ani w kierunku brata Estery, Jakuba, ani w kierunku jej ojca i matki, których zawsze pozdrawiał promienistym uśmiechem, ani w żadnym innym kierunku, gdzie mógł natknąć się na oczy pytające: „Dlaczego, Peter, dlaczego?”, razem z innymi rzucał kamieniami w sklep pani Racheli. I ten sam Peter, odwracając wzrok, strzelał w powietrze ze swojego nowego mannlichera-carcano, najpierw, by postraszyć, a potem, celując już z rozmysłem, by wygnać tych Żydów, którzy jeszcze jakimś cudem po ostatniej nocy ostali się w domach. Estera siedziała skulona na najniższej półce w piwnicy Richtów i przez niewielkie okno patrzyła, jak kula z karabinu Petera godzi w jej ojca. Widziała matkę, której nie pozwolono się nawet pochylić nad ojcem, pchaną lufami karabinów, razem z Jakubem, razem z panią Rachelą, jej małym Jonaszem, razem z rabinem Meirem i jego chorą córką Avivą, razem ze starym Szlomo, który wiedział o wszystkim i nawet przepowiedział ten dzień, który stał się dla niego dniem końca, i ze sławnym lekarzem Eliaszem Pelcem. Doktor Pelc uratował ojca Petera Richta, kiedy ten dostał wylewu krwi do mózgu i groziła mu śmierć, a w najlepszym wypadku trwałe kalectwo. Wówczas Eliaz zdecydował się na otwarcie czaszki i operację, która Richtowi przyniosła życie, a lekarzowi sławę w całej Nowej Marchii i daleko poza nią.

Estera siedziała tam tydzień, żywiąc się przetworami ze słoików: kwaszonymi ogórkami, owocami z kompotów i tuszonkami w galarecie. Smakowało jej i dziewczynka za nic miała wpajaną od dziecka naukę, że halacha zakazuje spożywać niekoszerne posiłki. Żyłaby tam może Estera przez całą wojnę, gdyby któregoś dnia matka Petera nie zeszła do piwnicy i nie

odkryła wszechobecnego smrodu. Najpierw pomyślała, że to butwiejące ziemniaki lub szczurze odchody, ale gdy natknęła się na ludzkie fekalia, zdjęło ją obrzydzenie. Zaraz jednak pomyślała, że nic, tylko ktoś się tu wkradł. Chwyciwszy w ręce przypadkowy drąg, wzięła się do przeszukiwania piwnicy. Jakież było jej zdumienie, gdy zza kopca ziemniaków wyjrzały wystraszone oczy dziecka.

– Estera? Dziecko! To ty? – Dziewczynka patrzyła na kobietę z nieufnością. Wciąż miała w głowie obraz jej syna. Nie ufała im – Niemcom. Nikomu. Herta Richt podeszła bliżej. Wypuściła drąg, widząc wystraszone oczy małej sąsiadki. – Chodź, dziecko. Nie bój się. Nic ci się nie stanie. – Chciała objąć dziewczynkę, ale ta siedziała sztywno. Kobieta podeszła bliżej, przeciskając się między rozstawionymi starymi gratami i kłopotami, które uzbierały się przez całe życie. Przytuliła dziewczynkę, delikatnie mierzwiąc jej włosy i gładząc brudne policzki. – Mój ty Boże! Dokąd ten świat zmierza! To jakiś obłąd! Człowiek, który od lat żył obok drugiego. Jak brat z bratem... Topi go w łyżce wody! – Przyciskała dziewczynkę do obfitych piersi, z których dobywał się coraz bardziej intensywny płacz. – Wybacz mi, dziecko! Za mojego syna, za wszystkich Niemców... Wybacz mi... Ode mnie cię krzywda nie spotka... Słyszysz mnie? Pomogę ci. Na ile mi sił starczy. Pomogę!

Estera spędziła w piwnicy prawie trzy miesiące. Dopiero gdy się okazało, że pani Herta zachorowała i coraz rzadziej schodziła na dół, by przynieść jej wodę czy uprzątnąć nieczystości, pewnej nocy dziewczynka uciekła. W ciągu dnia kryła się po oborach i stodołach, a w nocy szła do Bernstein. Miała nadzieję, że tam, u zaprzyjaźnionych Lepercheimów, znajdzie schronienie. Kiedy się okazało, że i po nich ślad

zaginął, szła przed siebie, aż w końcu, ledwie żywa, trafiła do Siede.

\*\*\*

Hrabina traktowała Esterę jak ofiarowane dziecko, które miało jej wynagrodzić stratę synów. Estera była jej wielką tajemnicą. Miała ją na własność. Ani mąż, ani nikt z majątku nie wiedział o jej istnieniu. Poza Anzelmem. Ale jego się nie obawiała, bo i dla tego chłopaka Estera była objawieniem, które za wszelką cenę pragnął zatrzymać.

Zły to był czas. I dla dorosłych, i dla dzieci, i dla kobiet, i dla wszystkich.

Hrabina Kalnstein, wyrwana z kolejnego koszmarnego snu, podniosła zmęczone powieki. Nie było nocy, by synowie nie pojawiali się w jej głowie, ilekroć zamknęła oczy. Piękni i szczęśliwi. Ich głosy rozbrzmiewały dźwięcznym śmiechem, który w każdym odcinku niekończącego się snu powtarzał się jak mantra, lecz ten sen wbrew oczekiwaniom nie przynosił matce oczyszczenia, ale przydawał bólu, bardziej dokuczliwego, niżli człowiek mógł sobie wyobrazić. Dlatego Gudrun niczego nie bała się tak bardzo jak nocy – choć paradoksalnie cały dzień na nią czekała – bo wtenczas miała ich, całą trójkę. Utrapienie i ból, rozpaczliwa świadomość straty pojawiały się wraz z okrutnym przebudzeniem.

Wytrącona z półsnu, poderwała się, przecierając ciężkie od czuwania powieki. Chwilę trwało, zanim rzeczywistość do niej dotarła.

– Frau Kalnstein! Frau Kalnstein! – Daleki głos, wymieszany z tymi ze snu, domagał się jej uwagi.

Zarzuciła wytworny peniuar, jakby sposobila się do wizyty kochanka, a nie jakiejś tam dziewczki, i podeszła do drzwi. Widok

roztrzęsionej dziewczyny zaniepokoił ją.

– Co się dzieje? Dlaczego tłuczesz się po nocy, Estero? – zapytała przyciszonym głosem, bo chociaż mąż od dawna sypiał w innej części pałacu, Gudrun wciąż liczyła się z jego wszechobecnością. I choć w majątku kręciło się wiele osób i coraz częściej zdarzało się, że Bernard Kalnstein przygarniał k o l e j n e g o szukającego pracy przybłędę, kobieta nigdy nie odważyła się wspomnieć mu o Esterze.

– W majątku jest jakieś zamieszanie. Ludzie biegają jak poparzeni. Każdy z tłumokiem. Gotowy do drogi. Wojna do nas idzie! – W oczach Estery Naumowicz widniał bezbrzeżny strach.

– Uspokój się, dziecko. Wojna trwa. Da Bóg, że się skończy, zanim do nas dojdzie – uspokajała ją hrabina, ale na niewiele to się zdało, bo Estera w jakimś rozdzierającym akcie rozpacz, teatralnym i niepodobnym do niej, przyłgnęła do kolan Gudrun, ciasno opasując ją rękami i ledwie co hamując płacz, ciągnęła:

– Chcę się pożegnać... idziemy... Znaczy ja i on. Anzelm. On Niemiec, ale kto wie, na kogo padnie? Kto się okaże zwycięzcą tej strasznej wojny? Kto się tu oстане? Idziemy w las... Tam znajdziemy schronienie...

– Ale jak to? Dokąd? – Kobieta rozkładała bezradnie ramiona. – Nigdzie nie musicie uciekać. Przecież to nasze ziemie. Od wieków. Kto przegra, kto wygra – nieważne. Tutaj – zatoczyła w powietrzu koło – jest nasza, znaczy moja ojczyzna.

– Ja nie mam swojej ojczyzny. – Choć słowa Estery zabrzmiały gorzko, nie było w nich dramatu. – Idziemy, bo kto wie, co będzie. – W tym momencie za oknem dało się zauważyć jasną poświatę, jakby błyskawica rozświetliła niebo, ale to nie była burza. Spojrzenia kobiet się spotkały. – Wojna za progiem... – powiedziała Estera. W jej głosie nie wyczuwało się

już niepokoju, jakby naraz dotarło do niej, że nie ma się czego bać. Taki widać jej los, że musi upłynąć czas, zanim w końcu znajdzie swoje miejsce na ziemi. – Niech ten wasz Bóg ma was w swojej opiece i wynagrodzi to, coście dla mnie... – kiwnęła głową w stronę okien, za którymi ciągnęły się budynki gospodarcze przynależne do majątku – i dla nich zrobili.

Widać było, że twarz hrabiny Gudrun Kalnstein zdradzała pewne zakłopotanie. Jakby nagle to ona – osierocona matka, kobieta daleka od zawirowań historycznych, w które została wmanewrowana bez swojej woli i wiedzy – poczuła się odpowiedzialna za ogrom nieszczęść na świecie. Stała w jedwabnym peniuarze, wśród spakowanych sakwojaży, powiązanych kufrów, pękatych waliz. Od jakiegoś czasu szykowała się do wyprowadzki. Nic tu po niej. Brat ponaglał ją w listach, by majątek spieniężyła i przyjechała do miasta. Może tam zazna trochę spokoju, może rozrywki jakiejś, która choć na chwilę pozwoli jej zapomnieć o całym nieszczęściu. Kiedy więc widziała, że i Estera coraz doroślejsza, coraz mniej uwagi potrzebuje, powoli dojrzewała w niej myśl, by Siede porzucić. Gdzieś głęboko tliła się w niej nadzieja, że ból przestanie tak doskwierać, że może zelży nieco, zwłaszcza gdy oddali od siebie widoki, w których stałym elementem byli jej nieszczęśni synowie. Że zaraz któryś wychynie zza węgła, zakrzyknie nagle, spsoci coś. Że wśród różnych dźwięków nagle rozbrzmi znajomy głos. Śmiech, krzyk czy zwykłe paplanie.

Gudrun cicho domknęła za Esterą drzwi. Chwilę później przez ledwie uchylone ciężkie zasłony, przeszywając wzrokiem ciemność nocy, patrzyła, jak dziewczyna znika za zakrętem gościńca.

Tej nocy widziały się po raz ostatni.

\*\*\*

W połowie stycznia hrabina Gudrun Kalnstein wyjechała do brata do Landsbergu i słuch o niej zaginął. Kamień w wodę. Majątek pustoszał. Nie było komu pilnować. Ci, co jeszcze do niedawna żyli solidarnie, pomni, że przygnał ich tu zły los, teraz wilkiem na siebie patrzyli. Przez wieś coraz częściej przetaczały się wozy załadowane do granic możliwości, tarabaniąc się po kamienistym bruku. Z meblami, dywanami, zastawami, precjozami podążały w kierunku Niepölzig i dalej, aż do Pyritz, a stamtąd zapewne w głąb Rzeszy.

Trudny i dziwny był to czas

### 3.

#### Stara Wikta z lasu

Uciekali od ludzi, od nienawiści wyczierającej z każdej szczeliny, zza przysłoniętych okien pustoszejących domów, w których ci rzuceni tu przez los nie zdążyli się zadomowić. Od spojrzeń spode łba uciekali, od nieufności, od poszeptywania po kątach. Od coraz donośniej rozbrzmiewających w powietrzu odgłosów wojny, która nie zamierzała zostawić tej części świata w spokoju. Niewiadoma przyszłość dawała się im we znaki. Jedni zagarniali, co pod ręką, i uciekali na oślep, byle dalej. Drudzy czekali do ostatniej chwili na to, kto się zjawi za progiem. Kto wróg? Kto przyjaciel? Zdarzało się, że co bardziej płochliwi mieszkańcy Siede uciekali, porzucając cały marny dobytek, ale bywało też, że ci odważniejsi, bardziej butni, bardziej łasi na bogactwo, włamywali się do pałacu Kalnsteinów, łupiąc, co się dało: srebrne zastawy, weimarskie porcelany, wazy z laki, egzotyczne bibeloty. Wyrwali ze ścian mosiężne apliki i nawet anioł uwięziony w obrębie ceramicznego kafla, jedyne w swym kształcie – owalnego, nie zdołał się uchronić przed zachłannymi łapami łupieżców, którzy zawijali wszystko w koce, prześcieradła, obrusy sprowadzone z różnych stron świata, rzucali to na wóz i ledwie uchodzili z życiem, pozostawiając w pałacu rozbebeszone kredensy, pokiereszowane szyfoniery, pokancerowane skrzydła wielkich rzeźbionych szaf, na które ze smutkiem spoglądali nobliwi przodkowie zacnych właścicieli majątku. A potem ci, których życie nie tak dawno spoczywało w rękach niemieckich

arystokratów, zatykając uszy przed hukiem bombardowań, spluwali z pogardą i uchodzili byle dalej. A gdy ciężar bogactwa zdawał się zbyt przytłaczający, dobywali łopat, szpadli i kopali pod lasem doły; zaklinając wymyślanymi czarami, oznaczali miejsce z nadzieją, że kiedy już minie historyczna nawałnica, powrócą tu i odbiorą ziemi co ich.

\*\*\*

Zima była sroga. Śnieg padał nieustannie, zasypując świat, jakby chciał zakryć całą jego brzydotę. Gdziekolwiek widać było wydeptane w białym puchu ślady zwierzyny. Tu i ówdzie pozołkłe ślady odchodów. Las żył, jakby nic się nie działo. Jakby nie dalej niż kilkanaście kilometrów stąd nie gorzała wojna, nie zmieniała się historia ludzi. Wystrzały armatnie, huk moździerzy odzywały się przytłumionym dźwiękiem, który trwał w przestrzeni długo, nie mogąc się rozproszyć i zaniknąć.

– Wstań, Estera! Wstań! – prosił Anzelm, chwytając pod boki umęczoną drogą i zimnem dziewczynę. – Nie zasypiaj!

Była ledwie żywa. Jej oczy świeciły chorobliwym blaskiem, ale nie chciała, by się nad nią litował, peszyła ją jego troskliwość. Starła się ze wszystkich sił, ale nie dawała rady, bo choć czas u hrabiny pozwolił się jej nieco odrodzić, to nie na tyle, by wcześniejsze rany poszły w niepamięć. W jej głowie wciąż pojawiały się tamte obrazy: matki, ojca i jego – Petera Richta. Nadal nie wiedziała, kto wróg, kto przyjaciel. Poza Anzelmem i Gudrun nie ufała nikomu, jednak i przy nich nie potrafiła się otworzyć. Mówiła niewiele. Dlatego tam, w majątku, chętnie przebywała wśród zwierząt, a najchętniej w owczarni. To tam poznała Anzelma. Słowa do niej nie przemówił. Jak niemy. Widać mówienie i jemu nie przychodziło łatwo. Wydawał się równie zagubiony jak Estera. Przychodził



doglądać owiec, ale to chyba był tylko pretekst, by sobie na nią popatrzeć, bo wciąż czuł na rękach jej ciężar. W głowie mu tkwiła.

Ocierali się o siebie bez słów, ale ich spojrzenia stykały się ze sobą. Coraz bardziej odważne. I coraz ufniejsze. Nie potrzeba było słów, gdy zorientowali się, że ani on, Niemiec, ani ona, cudem do życia przywrócona Żydówka, spokoju nie zaznają, gdy wojska wyzwoleńcze wkroczą do Siede.

Otulona owczymi błamami, czuła, jak siły z niej uchodzą. Nie broniła się. Chciała spać. Wszechogarniający ziąb zdawał się coraz bardziej oswojony. Nawykła.

– Nie zasypiaj! Na litość! Estera! – wołał Anzelm w przestrzeń spowitą bielą. I Bóg świadkiem, że ani przedtem, ani potem nie wypowiedział tylu słów naraz.

Skrzący mrozem świat, pokryte śnieżnymi czapami drzewa, lśniące w słońcu sopte zwieszzone z obumarłych gałęzi mamły spokojem i ciszą, która wnikała w Esterę powoli, powoli, wypełniając ją, że już o niczym nie myślała, tylko o tym, by ta cisza w niej została.

Anzelm usiadł obok. Objąwszy ją ramieniem, patrzył na nią z zachwytem. Jej rzęsy, czarne i długie, lśniły jak obsypane srebrnym brokatem. Twarz przecinała srebrna rysa zlodowaciałego koryta łąy.

– Jutro będzie lepiej – szeptał w jej włosy, sztywne od mrozu, na którym szadz skrzyła się niczym diamentowa chusta.

Zima ciężka. Las żył swoim życiem. Dawał swoim. Intruzów traktował z rezerwą.

\*\*\*

Któregoś dnia znalazła ich w lesie, przymarzniętych do siebie, stara Wikta.

– O Jezusie Nazareński! – wykrzyknęła na widok przyłgniętych do drzewa postaci i zaraz zaczęła je szturchać, tarmosić za oprószone śniegiem ubrania. – Hej! Kto wy? Żywiście? Otwórzcie oczy! No, dalej! – Wikta strzepywała z nich zamrożony śnieg. Zza pazuchy wyciągnęła skórzany bukłak i przytykając go do ust raz dziewczyny, raz chłopaka, wlewała w nich po kropli jakiś płyn. Pierwszy otworzył oczy Anzelm. Zrazu przeląkł się widoku starej kobiety, ale w tym samym momencie spojrzał na Esterę. Jej smagła zazwyczaj twarz zdawała się biała jak otaczający ich świat.

– Ratu ją! – Chłopak rozpaczliwie chwycił Wikte za nadgarstki, aż zasyczała z bólu.

– Zrobię, co się da, tylko mnie puść! – powiedziała stanowczo, choć łagodnie.

Anzelm zmitygował się, złożył ręce jak do modlitwy i błagał:

– Przepraszam, przepraszam... Niech pani ją ratuje...

Stara Wikta wyciągnęła woreczek zawieszony na szyi, z którego wysypała jakiś susz, a potem, ułożywszy dłonie w korytko, zagarnęła dziwną zawartość do bukłaka i zamieszała energicznie. Przytrzymując drugą ręką głowę Estery, wlewała jej miksturę do ust.

– Niech się nie boi – zwróciła się do Anzelma, widząc jego zaniepokojenie. – Nic jej nie będzie. Zaraz krew się w niej ruszy. – Spojrzała na dziewczynę i przekonywała łagodnie: – No, jeszcze kilka kropel. Powoli, powoli... zaraz ciepło się w tobie obudzi... No, jeszcze, jeszcze. – I nagle, jak za sprawą czarów, na twarzy Estery pojawiły się lekkie, jeszcze mało widoczne rumieńce. Po chwili otworzyła oczy. I mimo że wyzierało z nich wielkie zmęczenie, były już całkiem przytomne. Wikta, widząc jej niepewność, pospieszyła z wyjaśnieniem: – Niech będzie

spokojna. Nic jej nie grozi.

Zaczekała, aż wrócą im siły, i zawiodła ich do swojej chaty na skraju lasu. Całą drogę milczeli. Szli za Wiktą. Anzelm odgarniał ciężkie od śniegu gałęzie i coraz to oglądał się na Esterę. Mróz szczypał, kłuł cienkimi igielkami. Co jakiś czas zatrzymywali się, by wyrównać oddech, odsapnąć. Stara Wikta mamrotała coś pod nosem, a gdy kierowali na nią spojrzenia pełne znaków zapytania, uśmiechała się rzędem białych zębów – aż dziw, jak to możliwe, by miała tak piękne i równe zęby – i uspokajała ich.

– Jeszcze z pół godziny i dotrzemy do domu. – Mówiła po niemiecku, ale głos miała śpiewny i słychać w nim było miękkość, która była im zupełnie obca. Czasem wkradały się polskie słowa, ale zaraz je zastępowała.

Z trudem odgadywali sens. On wyławiał z pamięci znaczenia, ale mieszał mu się polski z niemieckim, natomiast ona wciąż truchlała na dźwięk niemieckich fraz, rzadko pozwalając im przedostać się do świadomości. Nawet lata spędzone z Gudrun nie pozwoliły na zdjęcie blokady, która uparcie tkwiła w jej głowie. Teraz silniej niż kiedykolwiek.

Wszechobecna biel i rozprzestrzeniający się w jej ciele chłód – który ustąpił na chwilę, kiedy kobieta z lasu podała jej miksturę o dziwnym smaku, lecz teraz powrócił, jeszcze bardziej przejmujący i dotkliwy – mieszały w głowie Esterze. Nie wiedziała już, gdzie jest, stopy zapadające się głęboko w śnieg nie chciały jej nieść dalej. Między ciężkimi gałęziami przemykały promienie słońca, rozpościerały się przed nią szeroko i jasno jak wielka rzeka prowadząca w nieskończoność. Zesztywniałymi palcami sięgała do kieszeni i wydobywała z nich okruszyny, paprochy, a potem rzucała je przed siebie, jakby wyzbywała się grzechów, których ani przypomnieć, ani

nazwać nie umiała. Ale wciąż i wciąż grzebała w przepastnych kieszeniach i pieczołowicie wygarniała z nich choćby najmniejsze ociupinki, by następnie puścić je z nurtem tej srebrnej rzeki, zupełnie jakby uczestniczyła w taszlich. To znów z oddali dochodziły ją odgłosy szofaru: tekiah, szewarim, teruah, tekiah, tekiah, szewarim, teruah, tekiah, gedolah... Już nie wiedziała, jaki to czas. Czy to Rosz ha-Szana? Postacie rabina Meira i chazana Lewiego w białych kiltach przesuwały się jak w kalejdoskopie między innymi, ubranymi w najelegant-sze stroje. Widziała matkę z Jakubem, razem z panią Rachelą i jej małym Jonaszem, i chorą córkę rabiego Avivę, i starego Szlomo, który wiedział o wszystkim i nawet przepowiedział ten dzień, który stał się dla niego dniem końca, podobnie jak dla sławnego lekarza Eliasza Pelca, który uratował ojca Petera Richta. A może to Szawuot? Wokół niej roztaczał się zapach owoców, kwiatów pak i zieleni – jak ostatniego lata, kiedy z Peterem Richtem brodzili po łące pełnej kwiecia, szukając świerszczy i koników polnych, a potem wracali do domu z naręczami ziół, wielkich wiech nawłoci, strzępiastych bławatków, miododajnej macierzanki. Cały dom pachniał, a oni siadywali na ganku, z twarzami jasnymi, wystawionymi wprost na słońce, i zajadali ciepły chleb upieczony z nowej pszenicy, popijając chalaw. Między kęsami Estera opowiadała Peterowi Richtowi o Moabitce Rut i bogatym Boozie, ale chłopak tylko przerzucał gorącą pajdę i rękawem obcierał ciekący po brodzie chalaw.

– Estera! Estera! – Krzyk przeciął ciszę tak gwałtownie, że pochowana gdzieś pod czapami śniegu ptasia drobnica ze świergotem poderwała się do lotu, sypiąc za sobą srebrny, śnieżny pył.

Dziewczyna leżała bez oznak życia. Stara przyklęła. Przyłożyła policzek do ust Estery, rozwarła powieki, zajrzała

głęboko.

– To już niedaleko, ale tak jej zostawić nie można – orzekła spokojnie. – Pomóż! Muszę ją sobie zarzucić na plecy.

Anzelm próbował jej wyperswadować ten zamysł i sam zabrał się do dźwignięcia dziewczyny, która gdyby nie owe błamy i kapoty ważyłaby tyle co nic, ale Wikta obrzuciła go surowym wzrokiem.

– Zostaw! Sameś ledwo żywy... A ja nie taki krzyż w życiu targałam.

\*\*\*

Wikta mieszkała w lesie od zawsze. Z dala od ludzi, od ich spojrzeń i kąśliwych języków. Z dala od historii. Nikt nie wiedział, ile ma lat, skąd się wzięła, ale jeszcze długo przed wojną cała okolica zgodna była co do tego, że jak kogo dopadła choroba albo padł ofiarą wrednego uroku, albo jak dziecko przełamane, to nie ma co ratunku po lekarzach szukać, tylko do Wikty się udać, bo ta niejednemu pomogła wywinąć się spod łopaty. Nikt nie pytał, skąd przyszła i jak się na skraju lasu znalazła. Najpierw mieszkała w skleconej byle jak ziemiance, z czasem powstała chałupa. I to całkiem przyzwoita. Niekiedy poszeptywano po kątach, że Wikta przyjechała tu z Podlasia, skąd cudem uciekła, uniknąwszy sromoty za szarlatańskie praktyki, inni zaklinali się na wszystko, że Wikta jest niedoszłą lekarką, która wdawszy się w niefortunny romans z kimś „bardzo ważnym”, najpierw oszalała i przetrzymywana była w zakładzie dla obłąkanych, a potem z niedoszej lekarki w wiedźmę się przeobraziła. Wiadomo, że ludzka fantazja dziwnymi drogami jest wiedziona, zwłaszcza gdy nie ma żadnego punktu zaczepienia.

Tak czy owak Wikta mieszkała w chacie na skraju lasu,

lecz nie było łatwo do niej trafić. Nieopodal domu wznosiło się niewielkie wzgórze – nie wiedzieć dlaczego nazwane Wzgórzem Wisielców – które urywało się nagle stromą skarpą. Kto nie znał okolicy i nie zszedł dobrą stroną ze wzgórza, mógł spaść, staczając się po porośniętych dziczą zboczach aż na sam dół, gdzie były mokradła, które pod płytką warstwą wody, pokrytej gęstą rzęślą przypominającą aksamitny zielony kobierzec, kryły maź wchłaniającą wszystko, co nieopatrznie znalazło się w zasięgu. Nawet gdyby miał to być dorodny daniel czy opasły dzik.

Zresztą ta część lasu od dziesiątek lat nie cieszyła się dobrą sławą – przypisywano jej niestworzone historie. Być może za sprawą mikroklimatu, który wytworzył się na tym podmokłym terenie, usianym licznymi mokradłami i trzęsawiskami, z kożuchami mchów, kępami splątanych korzeni, spróchniałych pni. Ten zakątek lasu spowijała niemal wieczna mgła, co tym bardziej czyniło go złowieszczy i tajemniczym. Nic dziwnego, że okoliczni mieszkańcy jak diabeł święconej wody unikali tego miejsca. „Uroczysko” – wymawiali to słowo szeptem, oglądając się za siebie, czy aby nikt nie słyszy, jakby od samego tylko mówienia nieszczęście miało na nich spaść.

Bywało, że Wikta pokazywała się w mieście w czas targów. A to po buty, a to po jaką kapotę lub naftę do lampy – to, czego sama sobie sprawić nie mogła. Rojno i gwarno było na rynku. W głowie huczało jej, twardo brzmiący wielogłos wkradał się do mózgu i rozprzestrzeniał, głuszając wszystkie myśli. Dlatego załatwiwszy, co miała załatwić, zaraz wracała do lasu. Tutaj czuła się najpewniej.

Wszyscy ją szanowali – i Polacy, i Niemcy, i potem nawet Rosjanie, którzy zaraz po zakończeniu wojny przez kilka miesięcy stacjonowali w mieście, traktując wszystko jak swoje,

wyciągając łapy po majątki pozostawione przez Niemców, po dziewczyny, po wdowy wojenne, po wszystko. Ale wystarczyło, że Wikta przeszła kogoś swym świdrującym spojrzeniem, a ten już kulił ogon pod siebie i nawet zakląć bał się w nos, tylko po odwróceniu złorzeczył i wyzywając od wiedźm i czarownic, pomstował, że kiedyś takie jak ona na stosie palono. Jak tylko jednak jakaś choroba się uczepiła, każdy pukał do domu Wikty, gotowy wszystko oddać, by tylko słabość z niego zdjęła i do życia przywróciła.

\*\*\*

Wikta ukryła ich w ciasnej izbie na tyłach domu, obok niewielkiej obórki, w której trzymała nieliczne zwierzęta.

– Niech się nie lękają – mówiła, widząc wciąż niespokojne spojrzenie mężczyzny. – Tu nikt nie zagląda. W izbie z przodu przyjmuję potrzebujących. A jak ich do życia przywrócę, idą przed siebie. Żaden się nie ogląda.

Czysta prawda! Nikt, nawet sam naczelnik, którego złamała rwa, nie śmiał się poruszyć dalej choćby na krok, kiedy Wikta w izbie z wielkim piecem, starymi meblami, pamiętającymi bodaj jeszcze czasy króla Ćwieczka, odczyniała uroki nad niedomagającym delikwentem. Najpierw strach go zdjął, gdy Wikta, przyobleczona w kolorowe chusty, coraz to wstawiała i spluwając na cztery strony świata, odmawiała w dziwnym języku modlitwy czy zaklęcia. W izbie roztaczał się zapach zawieszonych pod powałą kęp ziół, na półkach zbitych naprędce z surowego drewna piętrzyły się słoiki, pojemniki, puszki po nie wiadomo czym. Czego tam nie było! Świńska wesz na dychawicę, psie włosy na kobiece boloki. Cuda-wianki!

## CZEŚĆ III



## 1.

### Niežnośne poczucie bytu

Ranek powitał mnie bólem głowy i serią pytań cisnących się na gwałt do głowy, jakby niecierpliwie czekały w kolejce. Wydawały się zdeterminowane jak ludzie, którzy rozpychali się łokciami, nie bacząc na żadne okoliczności łagodzące: brzemiennie brzuchy, zmarszczone twarze, pokiereszowane przez los sylwetki. Nieważne, kto jakiej krzywdy doznał od życia, w kolejkowym porządku pozostawało to bez znaczenia, byle do przodu! „Potrąciłam kobietę?”, „Czy to był sen?”, „Komisariat?”, „Jagoda?”, „Starzy ludzie jak wyjęci z przedwojennego albumu?”. „To wszystko zdarzyło się we śnie?”.

– Obudź się, Irena! Przypomnij sobie, co zrobiłaś! – Jakies wewnętrzne głosy przywoływały mnie do porządku.

Zaciskałam powieki, wierząc, że to pomoże mi się zatrzymać w sennym niebycie. Ale nie pomogło. Byłam w domu. Moja sypialnia. Te same ściany pomalowane na kolor siena palona. Wybrałam go, bo kojarzył mi się ze Sieną i ubzdurałam sobie, że ilekroć będę leżała, wpatrując się w ścianę, tylekroć będę marzyła o podróży do Włoch, a w swoich mrzonkach upodobałam sobie szczególnie Toskanię. To przez Herberta, który wodził mnie za sobą po wąskich uliczkach Sieny, wdrukowywał mi do głowy detale rozlicznych fresków w Palazzo Pubblico, muzykę miasta, kolory, zapachy i smaki. Uwielbiałam ten jego szkic. Egzaltowany i trudny. Może to przez owo skomplikowanie – wielość pojęć, nazw,

nazwisk – wczytywałam się w niego wiele razy. Aż wreszcie poczułam zapach bukszpanu, zobaczyłam małe trattorie, pełne dźwięcznych wykrzykników, i wyobraziłam sobie nader wyraźnie Herberta, który wrzuciwszy do sadzawki Fonte Gaia brzęczące liry – jako wróżbę powrotu – zasypia w hoteliku Pod Trzema Dziewuszkami z poczuciem błogiego szczęścia.

Oprócz bólu głowy męczyła mnie świadomość, że właśnie zaczął się kolejny dzień mojego życia, które najwyraźniej zjeżdżało po równi pochyłej, nieuchronnie zmierzając w jakąś fatalną otchłań.

Na nocnej szafce piętrzył się stos książek, który od pewnego czasu zupełnie się nie zmniejszał. Te same tytuły. Od dołu: *Ostatnie rozdanie*, potem Potoroczyn, na nim leżały bez życia cienkie, ale równie nietknięte *Montedidio* i *Raga* J.M.G. Le Clézio, i jeszcze kilka innych pozycji. Na samej górze wymęczona Tokarczuk – codziennie brałam do ręki grube tomisko i po przeczytaniu ledwie kilku stron odkładałam. Nie miałam sił. Kiedy kładłam się do łóżka z zamiarem czytania, nie upływało nawet pięć minut i zasypiałam. Niekiedy zdążyłam klapnąć ręką lampkę nocną, by się wyłączyła, lecz najczęściej budziłam się w środku nocy i wówczas gasiłam światło. Zresztą przez to cholerne klimakterium budziłam się zaraz po północy i za diabła żywego nie mogłam usnąć. To była ta pora, kiedy rodziłam w sobie lęki, hodowałam je, pasłam do takich rozmiarów, że nie mieściły się we mnie, tylko wypełzały na zewnątrz, tak że było ich pełno wszędzie – obok mnie i we mnie. Jagoda żartowała sobie: „Przestań z tym swoim klimakterium! Od siedmiu lat o nim słyszę! Nie śpisz, bo nazbierasz sobie śmieci do głowy z całego dnia, a potem to wszystko rozgrzebujesz! Babrasz się w tym śmietniku! Nie możesz się pogodzić z wyprowadzką Wiktora! A miało być tak pięknie!”.

Próbowałam zaprzeczyć, ale znałam Jagodę i wiedziałam, że jak sobie coś wbije do głowy, to kłonicą się tego nie przegoni. Pal ją sześć! Nie będę jej przekonywać. Zazwyczaj zbywałam ją milczeniem, ale ona oczywiście nie dawała za wygraną i ciągnęła: „Jestem święcie przekonana, że gdybyś nie była uparta jak ten osioł i w tak idiotycznie teatralny sposób dumna wtedy, gdy straszył cię, że się wyprowadzi, gdybyś wówczas z nim pogadała jak z prostym, białym człowiekiem, to chłop by został! Ale ty nie! Z tą swoją dumą! Wciąż tylko pretensje i pretensje! I ty się dziwisz, że dał drapaka! Bo ja nie! Facet nie wytrzymał! Znalazł sobie młodszą laskę. Zabrał tyłek w troki i poszedł! A ty zostałam z ręką w nocniku!”. Jagoda była szczerą do bólu. Znałyśmy się całe lata i wydawało jej się, że to uprawnia ją do walenia prosto z mostu. Zwykle próbowałam powstrzymać tyradę przyjaciółki, ale wtedy dodawała: „Już ja cię znam! Prędzej dałabyś się ze skóry obłupić, niż przyznałabyś się do błędu! A teraz masz! Siedzisz sama jak palec! I bezsenność! I uderzenia! I...”, urywała Jagoda, machając w powietrzu ręką, co miało znaczyć mniej więcej, że jej gadanie i tak na nic się zda i szkoda czasu. „Powinnaś z t y m coś zrobić”, kończyła jednak po chwili.

Byłam pewna, że pod owym „tym” krył się pomysł przyjaciółki, zgodnie z którym miałabym poprosić Wiktora o powrót. Co to, to nie! Za nic! Nie zamierzam go prosić! Niech idzie w cholerę jasną!

\*\*\*

W domu panował jeszcze półmrok, choć przez nieszczelnie zasunięte rolety sączyło się natrętne światło kolejnego styczniowego dnia. Dobrze, że to sobota, pomyślałam z ulgą. Miałam cały weekend na poukładanie sobie wszystkiego.

Snułam się bezsensownie z kąta w kąt, zupełnie jakbym węszyła jakąś zmianę albo spodziewała się Bóg wie czego. Wszystko jednak trwało na swoim miejscu. Wzdrygnęłam się na myśl, że to kolejny dzień, który spędzę sama ze sobą. Mogłam wprawdzie zadzwonić do taty i zapowiedzieć się z wizytą, ale z marszu odrzuciłam ten pomysł. Byłby szczęśliwy, bo od śmierci mamy nieco przygasł i coraz bardziej doskwierała mu samotność, nie chciałam jednak martwić go swoimi sprawami, a wiem, że zaraz by coś wyczuł i drażył temat. Poza tym bardzo lubił Wiktora i zapewne – tak jak Jagoda – zmuszałby mnie do tego, bym w imię „przyzwoitości” oraz „przez pamięć matki, która w grobie się przewraca, widząc, co wyprawiam” zadzwoniła do niego i żebyśmy „przestali się zachowywać jak gówniarze i brali przykład z nich, bo przecież co jak co, ale im życie też nie płynęło bez burzliwych fal, a jednak wytrwali i wstydu nie przynieśli, ciągnąc się po sądach”. Daruję sobie.

Wróciłam do sypialni. Rozsunęłam rolety i otworzyłam okno. Uderzył mnie ostry powiew zimnego powietrza. Otrząsnęłam się i ciasniej zawiązałam pasek szlafroka. W końcu to styczeń. Chwilę obserwowałam opustoszałe podwórko. Było jeszcze wcześniej, niepotrzebnie zrywałam się z łóżka. Mogłam wrócić i otulić się ciasno kołdrą. Nie. Odwróciłam się energicznie, by pościelić łóżko.

Prawa strona łóżka była niemal nienaruszona. Gładka płaszczyzna poduszki trwała tak, jak ją ułożyłam przy ostatnim ścieleniu. Kolejny raz boleśnie uzmysłowiłam sobie swoją pojedynczość w owym wielkim łożu, kupionym na raty po wielu dyskusjach typu: nowa sypialnia czy podróż do wymarzonych Włoch – do Florencji, by omdleć z nadmiaru piękna i zatopić się, dosłownie i w przenośni, w wyśmienitych winach – albo do Paguery, gdzie świat się zatrzymał, a turyści przybywają tam, by

choć w najmniejszym stopniu odzyskać stracony w wyniku idiotycznego pędu czas.

Staęło na sypialni. Głupio wybrałam! Teraz bardziej niż kiedykolwiek docierały do mnie całymi tabunami wspomnienia nietrafionych decyzji. Naraz wydało mi się, że gdybym wybierała odwrotnie, teraz byłabym w zupełnie innym miejscu. I nie chodzi o te najdrobniejsze sprawy, jak choćby wybór sukienki.

Pamiętam, jak szykowałam się na ślub Gabrysi. Jakimś cudem udało mi się zaciągnąć Wiktora do galerii handlowej. Wchodziliśmy niemal do wszystkich sklepów. Z naręczem sukienek znikałam za kotarami przymierzalni, by za moment paradować przed nim w coraz to nowej odsłonie. Najczęściej nie wyrażał żadnej opinii – ani szczególnego zachwyty, ani szczególnej dezaprobaty. Wychodziliśmy więc ze sklepu, by po kilku krokach dać się pochłonać kolejnemu. W końcu weszliśmy do ekskluzywnego butik. Panie w jednakowych uniformach, sygnowanych logo firmy, zaatakowały nas od progu. „Czy szukają państwo czegoś szczególnego?”, zapytała rudowłosa ekspedientka o silnej konstrukcji. Zanim się odezwałam, Wiktor rzekł: „Szukamy czegoś dla żony na ślub naszej starszej córki. Czegoś bardzo szczególnego”, zaakcentował ostatnie słowo. Zdawało mi się, że wychwyciłam w jego głosie pewien przekaz, ale byłam tak zdumiona jego zaangażowaniem, że puściłam to mimo uszu. Zerknęłam tylko ukradkiem w jego kierunku, by upewnić się, że to nie jakaś gra, że w istocie jest zainteresowany zakupem kreacji dla mnie. Wyglądał na zainteresowanego.

Panie – niczym w kultowej scenie z *Pretty Woman* – jeły prześcigać się w propozycjach. Stałam w przymierzalni, raz za razem wciągając na siebie coraz bardziej wymyślne stroje. „O! Ta! Ta jest idealna! Jak dla pani uszyta. Prawda? W tej też pani

wygląda szykownie! A ta! Jest niesamowita! I jak konweniuje z pani oczami! I z włosami!” ekspedientki zasypywały mnie komplementami. Ja jednak nie byłam przekonana do żadnej z kreacji. Ale nagle do dyskusji włączył się Wiktor: „W tej niebieskiej wyglądasz bardzo ładnie! Kupmy ją!”.

Zakręciłam się na pięcie i wróciłam do przymierzalni. Rzeczywiście sukienka była niezła. Była też nietania. Dyskretnie pokazałam mężowi metkę z ceną, ale się nie przeraził. Wręcz przeciwnie. „Jest bardzo ładna i widać, że dobra gatunkowo – skonstatował ze znawstwem. – Zapłacę i chodźmy już stąd”. I wtedy nagle powiedziałam: „Kupię tamtą kremową w poprzednim sklepie”.

Kupiłam kremową sukienkę i przez całe wesele Gabrysi czułam się w niej fatalnie. Klęłam w duchu, bo przecież mogłam wybrać inaczej. I właśnie takich nietrafionych wyborów dokonałam mnóstwo.

Choćby wybór kierunku studiów. Polonistyka! Wszyscy oczy wybałuszyli, kiedy ja, laureatka olimpiad fizycznych i chemicznych, z euforią wymachiwałam indeksem. „I co ty osiągniesz po tych swoich studiach? – sarkała babcia Henia. – Popatrz tylko na swojego dziadka Władysława, świeć Panie nad jego duszą – tu babka Henia zakreśliła krzyż na piersi i gorączkowo rozejrzała się za jakimś portretem dziadka, żeby było wiadomo, nad którą duszą Pan ma świecić. – I co takiego osiągnął?! Guzik z pętelką! Jeszcze za czasów komuny to jakie takie poważanie miał od ludzi. Bo nie dał sobie odznaki partyjnej przypiąć i mimo że za karę wysiudali go z Warszawy do jakiegoś popierdowa, na zawsze pozostał rewolucjonistą. Otwierał dzieciakom oczy, prawdziwą literaturą ich raczył – Miłoszem, Gombrowiczem, a nie jakimiś dyrdymałami pisanymi przez stare głupie cioty. Zobacz! Taki Ziemiński czy Korol.

Tak się mojego Władka nasłuchali, że kiedy zaczęła się ta cała awantura w kraju, to oni pierwsi przeciw zomowcom stanęli. Tadek Ziemiński to tak oberwał, że od ran zmarł po kilku tygodniach w śpiączce! Ulicę, tę nową, na Górnym Tarasie, chcą nazwać jego imieniem. Ale to twój dziadek tak im w głowach poukładał, że potrafili oddzielać ziarna od plew i nie godzili się na żadne kompromisy. Ale co z tego, skoro nigdy mi żadnej obietnicy o Rzymie, Paryżu czy choćby zwykłej Pradze nie mógł spełnić. – W głos babki Heni wkradała się rezygnacja. – Miał tyle, co kot napłakał! A ty myślisz, Irenko, że teraz coś się zmieniło? Nauczyciel dalej będzie gołodupcem! Widać taka już nauczycielska karma! Poszłabyś na prawnika albo lekarza... O! Ci to dopiero mają! Zobacz dokoła siebie! Samochody, wille! A i tak ciągle im mało!”. Ale ja wybrałam. Bo wtedy mi się wydawało, że nic mnie tak nie wzbogaci, nie rozwinie...

Potem było mieszkanie w bloku zamiast domku jedno-rodzinnego na Poziomkowej. Bo się bałam, że do usranej śmierci będę kredyty spłacać. Ale nastąpiły dewaluacja, transformacja, socjalizm został zastąpiony przez kapitalizm i wszyscy ci, którzy zaryzykowali, całkiem nieświadomie wyczuwając nadchodzącą koniunkturę, zacierali ręce. Ja zostałam z ręką w nocniku.

A na koniec wybrałam pracę w szkole! A już na trzecim roku, kiedy przygotowywałam dla studentek felieton o literaturze niszowej i nowych trendach w poezji, zapowiadałam się na niezłą dziennikarkę. Chodziłam wtedy z Jurkiem – był popalającym marihuanę młodym gniewnym. Pisał świetne teksty do „Rozdroży Kultury”. Po samobójczej śmierci z przedawkowania, po trzech miesiącach naszego chodzenia, okrzyknięto go nawet cudownym pomiotem kaskaderów literatury.

Redaktor lokalnej gazety proponował mi etat. Wprawdzie za psie pieniądze, ale z perspektywami... Ja jednak wybrałam spokojny żywot belfra. Z widełkami. Z osiemnastoma godzinami etatu. Z wakacjami, z wczasami pod gruszą – za takie marne pieniądze, że w istocie tylko grusza pozostała. Ze wspólną wigilią przygotowywaną według infantylnych scenariuszy. Z trzynastką, z bonami na Wielkanoc i Boże Narodzenie. Kiedyś spotkałam tamtego redaktora. „O, pani Irena! Co tam u pani słyhać?”, zapytał grzecznościowo. Wzruszyłam ramionami, coś bąknęłam pod nosem. Wiedziałam, że jest właścicielem dużego wydawnictwa, które kształtuje czytelnicze gusta w Polsce. A ja... Osiadłam w dziesięcioletnim miasteczku jako nauczycielka języka polskiego. I nawet gdy zaproponowano mi pracę w gorzowskim liceum, odmówiłam. Wolałam być tu, na miejscu, choć nieraz słyszałam, że marnuję się w tej miejscinie. Ale przecież byłam już matką, żoną! Gdzieżbym sobie pozwoliła na tracenie czasu na dojazdy!

Cholerna możliwość wyboru. Szkoda, że jest wiele dróg.  
Było, minęło. Czas zatarł ślad.

\*\*\*

Z namaszczeniem gładziłam płaszczyznę łóżka. Chwilęostałam u wezłowania, jakby to ostatecznie pozwoliło mi się rozprawić ze złudzeniem, że wszystko, co się dzieje, jest snem. Świadomość rzeczywistości była bezlitosna. To, co jest w mojej głowie, zdarzyło się naprawdę! Potrąciłam człowieka! Nie śniłam o tym, że byłam w szpitalu. Ja naprawdę tam byłam. Ci ludzie – stara kobieta szmerząca pod nosem i mężczyzna o dobrotliwym spojrzeniu – byli rzeczywiści i cielesni! Tak bardzo pragnęłam, by ktoś jakimś cudownym sposobem wykasował wczorajszy dzień. Klik i wydarzenia potoczyłyby się



inaczej. Przecież dziś wszystko da się załatwić jednym przyciskiem. Klik. Klik!

Zsunęłam z ramion szlafrok i zarzuciłam Wiktorowy sweter. Stary i wyciągnięty, zamówiony kiedyś z katalogu wysyłkowego. Tysiące razy zbierałam się, by go wyrzucić, ale najpierw protestował głośno Wiktor, a teraz jakoś zrobiło się żal mnie. Sweter był sfatygowany, ale wygodny i wciąż... krył się w nim zapach Gaultiera *Le Male*. Kupiłam ten flakon – w kształcie męskiego popiersia, umieszczony w srebrnej, metalowej puszcze – na Champs Élysées. Wydałam na niego majątek! Później Wiktor używał tego zapachu przez wiele lat! Bywało, że trzeba było jeździć za perfumami aż do Szczecina. Drzewne nuty łechtały nozdrza. Nawet gdy prasowałam jego koszulę, woń perfum wydobywała się na wierzch, przebijając zapach lenora. Aż w końcu Wiktor się znudził. Najpierw zapachem. Potem mną.

W mieszkaniu było chłodno. Nigdy wcześniej nie czułam takiego ziąbu. Zza ściany dobiegały pojedyncze głosy sąsiadów, ale trudno było wyodrębnić jakieś sensowne słowa, tylko od czasu do czasu młoda sąsiadka napominała córeczkę, która bezlitośnie ujeżdżała rowerek i dzwoniła piskliwym dzwonkiem na cały dom: „Ala! Ala!”. Widać Ala jednak niewiele sobie robiła z jej uwag, bo turkotanie kół nie ustawało, a nawet momentami przybierało na sile, wprawiając w ciche drganie szyby w mojej witrynie.

\*\*\*

Mimo najszczerzej chęci nie mogłam się niczym zająć. Wszystko leciało mi z rąk. Naraz uzmysłowiłam sobie, że ten mój życiowy rozgardiasz coraz bardziej mi doskwiera. I nie dość, że nie udało mi się tego wszystkiego ogarnąć – odejście

Wiktora, żałoba ojca, coraz gorszy kontakt z dziewczynami – to jeszcze ta Ruta, która wyłoniła się z cholernej mgły i wpadła prosto pod mój samochód!

Przypomniałam sobie o starej kobiecie z sali szpitalnej. Dziwna postać. Wsunęła mi w rękę jakiś przedmiot. Chciałam przyjrzeć się temu dziwnemu suwenirowi. Usiłowałam sobie przypomnieć, gdzie go podziałam. Ostatnie wydarzenia zupełnie namieszały mi w głowie. Tak! Wrzuciłam go do kieszeni i pewnie tkwi tam niewzruszenie!

Chwilę mocowałam się z drzwiami prowadzącymi do przedpokoju, bo zahaczyły o gęstą wykładzinę, której Wiktor nie zdążył podciąć (zabierał się do tego jak do miliona innych rzeczy bez mała kilka lat i wciąż coś mu przeszkadzało). Wreszcie ustąpiły pod naporem siły. W okienku judasza zamigotało światło. Widocznie ktoś zapalił je na klatce, choć było wystarczająco widno. Po chwili doszedł mnie przytłumiony trzask ciężkich wejściowych drzwi i oddalający się stukot kroków. Zawsze tak miałam – wsłuchiwałam się w dźwięki. Wystarczał byle ruch, a ja wyostrzałam słuch. Nauczyłam się rozpoznawać kroki Wiktora, córek, Jagody. Potrafiłam niemal bezbłędnie odgadnąć, czy idzie mężczyzna, kobieta czy może dziecko. Słyszałam więcej, niż było mi potrzebne do życia. Nie raz, nie dwa wpadło mi do ucha coś, czego nie powinnam słyszeć, i zaraz potem okazywało się, że mój świat niemal stawał do góry nogami.

Pamiętam pierwsze dni w OHP. To był jakiś koszmar! Sama zresztą go sobie zgotowałam. Brakowało nauczyciela i znajoma dyrektorka zahaczyła mnie kiedyś na mieście: „Pani Ireno, a może zechciałaby pani przyjść do nas na parę godzin?”. Pytanie kompletnie mnie zaskoczyło. Maruszewska widocznie odczytała to jako wątpliwość, bo zaraz pospieszyła

z wyjaśnieniem: „Wie pani, u nas to się pani nie namęczy”. Zniżyła głos i przysłoniła dłonią usta, aby jej słowa nie trafiły w niepożądane ucho. „Nasza młodzież... to wie pani... ani do tańca, ani do różańca... Przyjdą, to przyjdą. Nie przyjdą, to też dobrze. Żadnej odpowiedzialności. Nie to co u tych pani intelektualistów. A pieniądze... – tu pstryknęła palcami – takie same. Zawsze to jakiś dodatkowy zastrzyk!”

Byłam skonfundowana tym, co powiedziała. Ale nieoczekiwanie i poniekąd wbrew sobie, bez porozumienia z Wiktorem i ku wielkiej ucieście dyrektorki OHP przyjąłem tę propozycję. Po trosze dlatego, żeby jej pokazać, że poradzę sobie z uczniami, pokażę im serce, obudzę w nich ciekawość świata. Poza tym dziewczyny radziły już sobie same, Wiktor też zajmował się sobą, a ja pomyślałam, że w istocie mam czas, a i od przybytku głowa nie boli.

Wyposażona w dobre chęci i świadoma sensu mojej misji, weszłam do klasy. A niech sobie inni gadają, niechaj drwią pod nosem i sarkają za plecami. Poszukam swoich meduz! Bo tak ich nazwałam. O meduzach zaś myślałam ciepło w kontekście znanej przypowieści zasłyszanej kiedyś od dziadka Władysława, który co rusz raczył mnie takimi powiastkami.

Pierwszą lekcję zaczynam z grubej rury. O tradycji i kulturze, o potrzebie poszukiwania własnych korzeni... Nagle przez klasę przechodzi pomruk: „Co ona pierdoli?”. Nie chciałam wierzyć, że to usłyszałam, więc ciągnęłam swój zajmujący wykład. Co niektórzy słuchali, ktoś chyba nawet kogoś zmitygował: „Zamknij japę!”. Byłam pewna, że w nowej sytuacji szwankują mi zmysły i wyobraźnia podpowiada jakieś nielogiczne zdarzenia. Ale naraz robi się zamieszanie. Padają coraz to bardziej siarczyste zwroty i frazeologizmy, których zupełnie nie rozumiem, a które jak najbardziej słyszę i wiem już

na pewno, że nic mi się nie wydaje. „Szmato!” – „Co, zdziro?!”, rozmawiają ze sobą dwie panny. Oddycham z ulgą, bo myślałam, że to do mnie. Ale nie. To ich zwykła konwersacja. Jednemu z klasowych kolegów zachciało się splunąć. Chyba w ten sposób zamierzał zademonstrować swoje niezadowolenie z przebiegu lekcji. Zaciąga więc z głębi trzewi i odchylając głowę w tył, pozbywa się dokuczliwych złogów tuż pod kaloryferem. Biorę głębszy oddech, ale wciąż trzymam fason i rozwodzę się nad tradycją, kulturą, dziedzictwem... Dobieram słowa, gestykuluję, zmieniam tembr głosu, przerzucam spojrzenie od jednego do drugiego. Nie mądruję się. Naprawdę zależy mi na moich meduzach.

W jednym kącie grają w karty, w drugim chłopak prowadzi ożywioną rozmowę przez telefon, inny leży na ławce zakryty kapturem. Dziewczyny, poubierane na czarno, w tandetnym, ostrym makijażu, totalnie mnie ignorują, nie kryjąc przy tym swej pogardy i złości. Przeszkadzam im w konwersacji. A mnie wciąż ponosi... fantazja i wizja misji... Mówię więc, przytaczam ciekawostki o satyrycznym, erotycznym, kontrowersyjnym zabarwieniu. Oho! Przez chwilę kilka spojrzeń zatrzymuje się na mnie. Co niektórzy na dźwięk słowa „seks” rozparli się na krzesłach i coraz śmielej rzucają pytania. Jeden nawet zapytał, czy ja lubię seks. Zgodnie z prawdą odpowiedziałam, że oczywiście, że jak najbardziej, że przecież seks jest niemal prymarną potrzebą, że nie powinien stanowić tabu... i takie inne mądrości. Udaję, że nie widzę, jak łysy wyrostek z ostatniej ławki wkłada rytmicznie wskazujący palec prawej ręki w kółko zrobione z palców lewej i jednocześnie wysuwa obśliniony język, imitując seks oralny. Końcówka lekcji mija. Wychodzę. Prawie zbudowana. Między dwoma budynkami stoi grupka. „Au revoir”, rzuca jeden (widać

spodobało mu się to słowo), a mnie serce rośnie, że jednak coś wynieśli z tej mojej lekcji. Idę uskrzydłona, kiedy nagle słyszę od drugiego krótkie: „Spierdalaj”. Szkoda, że to usłyszałam, bo nagle straciłam sens. Odechciało mi się pieniędzy i tego, na co planowałam je wydać. Odechciało mi się wypełniania pustki, zabijania nudy...

Jego – Wiktora – kroki też rozpoznawałam. Od lat. Lekkie, pokonujące po dwa schody, kiedy wracał do domu pełen werwy, radości, gdy wszystko szło po jego myśli, było OK; rytmiczne i wyważone, kiedy życie płynęło bez dramatów, ale i bez szaleństwa, i te ciche, na palcach, jakby tańczył w balecie, ledwie dotykające podłóża, gdy wracał od niej, aż do tych ostatnich, kiedy zatrzasnęłam za nim drzwi. Przy pierwszych stopniach zdawały się zdradzać niepewność, może nawet wahanie, ale na dole nabrały przyspieszenia, jakby chciał jak najszybciej zostawić przeszłość za sobą.

\*\*\*

Mój płaszcz wisiał na drzwiach szafy, zahaczony niedbale o kołnierz. Sięgnęłam do kieszeni. Był tam. Mały pakunek. Zawinięty w pomięty papier, zaplątany wśród pozwijanych w kulki chusteczek higienicznych.

Rozwijałam go powoli – z taką ostrożnością, jakbym spodziewała się, że ze środka wyskoczy coś, co wybuchnie albo zniknie. Kamień. Obracałam go w dłoniach, usiłując znaleźć w nim cokolwiek osobliwego. Był po prostu ładny. Zwyczajnie ładny – jak ładna bywa jakaś rzecz. Bibelot, doniczka. Coś. Tu był to kamień. Gładki otoczak. Może nieco bardziej wymuskany, bardziej kolorowy niż te, których całe mnóstwo moje dziewczynki zwoziły znad morza. Gdy podnosiły je z dna, były lśniące i rzeczywiście można było znaleźć w nich jakiś urok, ale

kiedy wyschły, okazywało się, że to tylko szare kamole, które zalegały potem w ciężkich torbach podróżnych. Kiedy babcia Henia z okien naszego mieszkania obserwowała nasz powrót do domu (na czas naszego urlopu wprowadzała się do nas, by – jak powiadała – nasycić trochę oczy wielkopańskim luksusem), pytała nie bez drwiny: „O Matko Jezusowa, a co wy w tych torbach kamienie wozicie?!”. Uśmiechałam się na tę jej spostrzegawczość i odpowiadałam absolutnie zgodnie z prawdą: „Jakby babcia zgadła. Kamienie! I nie żadne tam bursztyny! Słoneczne, pasiaste czy mleczone. Zwykłe otoczaki!”. „Oj, Ircia! Nie pozwalaj znosić do domu kamieni – ostrzegła babcia. – To zła wróżba. Kto zbiera kamienie, tego życie będzie wiodło po wyboistej drodze. A twoje i tak nie płynie gładko. Jeszcze dziewczynynek los ki diabeł zbałamuci!”.

Wtedy do głowy mi nie przyszło, by na serio brać babcine przestrogi. A w domu Gabryśka i Kornela zagarniały pamiątki z wakacji. Z początku układały je na regałach, a kiedy zdobycze przestawały już cieszyć oczy i tylko zbierały kurz, wrzucały je gdzieś na dno szuflad, gdzie pewnie tkwią do dzisiaj. Wciąż obiecywałam sobie, że wreszcie przeprowadzę w domu solidny remanent i wypieprzę wszystko, co niepotrzebnie zalega w szafach, szufladach, schowkach. Wciąż jednak była to tylko obiecywana przyszłość.

Jeszcze raz rzuciłam okiem na kamień. Szału nie ma. Wrzuciłam go do torby i postanowiłam wrócić do szpitala. Do sali numer siedem.

\*\*\*

Styczeń – do tej pory łaskawy – postanowił pokazać swoje prawdziwe oblicze. Do wczoraj można było nacieszyć oczy kolorami, ponieważ niektóre krzewy rosnące przy mijanych

posesjach, mimo że miały liście zwinięte, wymarzę i nie tak soczyste jak wiosną, wciąż się zieleniły. Dzisiaj jednak pokrywała je skrząca, mroźna powłoka. Świat był pozbawiony wyrazu, rozmazany i ponury, jakby ktoś wylał nań szaroburą farbę, zakrył kolory i popsuł kształty. Sine chmury energicznie przesuwały się po niebie, to kłębiąc się w jedną płachtę jak niedoprana pościel, to znów strzępiąc się niespokojnie, porozrywane, jakby ktoś w nieokiełznanej furii porozrzucał brudne pierze po niebie. Wiało, sypało śniegiem, mróz ściał kałuże pozostałe po deszczu sprzed kilku dni. Połyskliwe płaszczyzny kryły w sobie niecne sprawy w postaci zwichniętych kostek i złamanych nadgarstków. Ludzie przemykali pospiesznie, pochowani w nastroszonych kołnierzach. Parli do przodu, stawiając opór porywom wiatru, pragnąc jak najszybciej znaleźć się w swoich domach, pracach, sklepach – byle skryć się przed zimnem. Skulone, pokurczone ciała. O takiej pogodzie zwykło się mawiać, że jest pod psem. Zupełnie nie wiem dlaczego, bo i psa żal wygonić na taką zawieruchę. Nad moją głową przefrunęło stado gołębi. Przysiadły na desce przy wolierze zbudowanej przy pobliskim domu i gruchały niecierpliwie, jakby popędzały osobniki z przodu, chcąc jak najszybciej znaleźć się w ciepłym gołębniku.

Naciągnęłam kaptur na głowę, ledwie wyściubiając czubek nosa. Szlag by trafił! Co za cholerna pogoda! Mogłam sobie darować i zostać w domu. Na domiar złego mój samochód ciągle stał na policyjnym parkingu. W duchu złorzeczyłam całemu światu, a zwłaszcza kobiecie, która wyskoczyła na jezdnię. W pewnej chwili ugryzłam się w język. Tfu! Jeszcze tego brakowało, by ona... Im bardziej odganiałam od siebie tę myśl, tym natrętniej do mnie wracała – w coraz dramatyczniejszych realizacjach. Wyobrażałam sobie puste łóżko zasłane białym

prześcieradłem i oskarżycielskie spojrzenia pary starych ludzi z sali numer siedem. Widziałam ciało tej kobiety – przykryte całunem, spływającym po niej lekko, uwidaczniającym zarys nosa, piersi, skrzyżowanych dłoni... Byłam coraz bardziej przerażona i chciałam jak najszybciej znaleźć się w szpitalu, by przekonać się, jak jest naprawdę.

– Dzień dobry, pani Irenko! – Z mojej prawej strony usłyszałam głos sąsiadki spod trójki. Musiała mnie gonić, bo dyszała ciężko, z trudem łapiąc oddech. Na pewno się spieszyła, by wyciągnąć ze mnie cenne newsy, którymi później raczyła całe osiedle. – Popatrz, pani kochana, jak to ludzie swoich problemów nie mają i tylko za cudzymi patrzą – rzekła sentencjonalnie i takim tonem, który nie pozostawiał żadnych wątpliwości, że to był zaledwie wstęp do większej całości. Jednocześnie uważnie sondowała moją reakcję, bo zapewne od niej zależał kształt dalszej rozmowy. Nie miałam ochoty wdawać się w rozprawy z Derkowską. Wszyscy wiedzieli, że to stara plociucha i na nikim suchej nitki nie zostawi, choć zawsze głośno deklaruje: „Ja tam nikim się nie interesuję i do nikogo nie wtrącam, bo swoich problemów mam tyle, jakby się na kamieniu leęły”. Gdy przywróciła oddechowi rytm, chociaż wciąż trzymała się za serce, jakby się bała, że wyskoczy zaraz przez jej wełniany gruby golf w norweskie wzory i puchatą kurtkę, podjęła: – Wie pani, sąsiadko, co wyczynia Wańkowska z tamtego bloku. – Tu wskazała głową budynek spółdzielczy, którego pastelowe kolory przypominały bezsmakowe kaszki dla dzieci lub mdłe budynie. Nie potrafiłam zrozumieć owych wymyślnych mozaik imitujących labirynty, tych węzownic, geometrycznych tandetnych upiększeń mających wnieść świeżość do krajobrazu polskich miast. Może i było to ładniejsze niż szare, betonowe płyty, ale było widać, że nie ma tu żadnej



spójności. – Po całym osiedlu perorowała, że pani kobietę zabiła! – Derkowska przerwała moje rozważania na temat architektury. – Wprawdzie ponoć to była ta... – nakreśliła palcem kółko na czole – ta nienormalna, co to całymi dniami po mieście się wałęsa, ubrana dziwacznie i pomalowana na kolorowo. – Odczekała chwilę, jakby znów zamierzała zbadać moją reakcję. – Ma pani pojęcie, co im się w tych pustych łbach kluje? Durne toto, że matko jedyna! – westchnęła ciężko. – Ja to od razu mówiłam, żeby przestała siać ploty i do garów się wzięła. Widzi pani te jej dziewczuchy? Chude to, niewydarzone takie, blade jak, nie przymierzając, tyłek niemowlaka! A ona albo lata jak kot z pęcherzem, albo wystaje pod blokiem i tylko łypie, i nasłuchuje. A ten jej pijaczyna...

– Potrąciłam, ale nie zabiłam – przerwałam sucho jej wywód. – A pani nie ma prawa tak mówić o kobiecie. Ani o tej, ani o żadnej innej. Nieładnie, pani Derkowska.

Ruszyłam przed siebie, nie dając jej szansy na rozwój rozmowy. Niczego więcej nie udało jej się wydusić; była niepokieszona. Uciekł jej temat. W ostatniej chwili dobiegło mnie jej parsknięcie, wyrażające absolutną dezaprobatę:

– Ot, patrzcie ją! Znalazła się paniusia! Niby taka mądra i wykształcona! Męża z domu przegnała, a teraz niewinną kobietę potrąciła, co to krzyż pański dźwiga całe życie, bo najpierw ta stara wiedźma Wikta, co to na sam jej widok człowiekowi skóra cierpła, cholera wie, jakie nieczyste praktyki uprawiała w tej wiedźmowej chacie, potem ojciec i matka, dziwadła potrącone, a na koniec chłop, który całkiem jej życie spaprał... A teraz jeszcze to! Mój Boże! A ta... Brak słów, po prostu brak słów...

Przyspieszyłam kroku, by zwiększyć dystans między nami. Nie miałam ochoty wysłuchiwać jej ujadania.

Na wysokości wiaduktu kolejowego poczułam wibrowanie telefonu. Jak zwykle leżał gdzieś w czeluściach mojej torby. I choć namierzenie go za pierwszym podejściem graniczyło z cudem, nigdy z tego nie rezygnowałam w przekonaniu, że odebranie połączenia to absolutny priorytet, mogący uchronić mnie przed niewyobrażalnym kataklizmem albo pozwalający na wygranie życiowej szansy. Cóż... Głupia i naiwna! Sądziłam, że skoro nie dorobiłam się luksusów, to być może spadną one na mnie za sprawą notorycznie wysyłanych esemesów.

Wystarczyło wpisać tylko: 72642 Irena.

Stałam w świetle tunelu i oparłam się o odrapany mur. Z góry przez wyszczerbione podkłady kolejowe coś kapało. Brudna, wilgotna maź. Od czasu gdy pociąg przestał tędy kursować, wszystko niszczało, próchniało i gniło. Tory kolejowe dawno rozkradli menele. Nieco dalej, tuż za wiaduktem, urządził sobie siedlisko okoliczny element. Kogoż tam człowiek nie uświadczył! Dilerzy, pijaczki, bezdomni, wagarowicze, którzy właśnie w tym miejscu wkraczali w mętłą dorosłość. Zaledwie kilka metrów za tym przybytkiem straszyły odrapane mury doszczętnie zrujnowanego dworca kolejowego. Serce ścisnęło się na samą myśl o nim. W całej Nowej Marchii nie było piękniejszego! Misterna budowla z czerwonej cegły, której fasada budziła podziw zarówno mieszkańców, jak i przyjezdnych. Na piętrze znajdowały się mansardy z lukarnami zdobionymi frymuśnymi zazdrostkami – zapewne pokoiki gościnne dla tych, którzy do miasta zawitali w interesach. Gzymsy nadokienne z dekoracyjnymi zwornikami przydawały budynkowi uroku. Zimą lub w jesienną słońce w holu z wielkim ceglanym piecem można było porozmyślać przed drogą przy herbacie, latem zaś człowiek chętnie przysiadł przy stoliku na zewnątrz, pod chroniącymi od słońca markizami, i czekał albo

na przyjazd, albo na odjazd pociągu. Iluż to pożegnań, rozstań i powrotów był świadkiem ten dworzec, ile losów ludzkich odmienił!

Zesztywniałymi od mrozu dłońmi grzebałam w torbie, klnąc pod nosem. Jest! Zmrużyłam oczy, by odczytać litery na wyświetlaczu. Wiktor. Chciałam dać sobie chwilę, by nie pomyślał, że czekam na jego telefon, uzmysłowiłam sobie jednak, że trochę już to trwa. Wystraszyłam się, że zaraz się rozłączy, a ja nie będę miała śmiałości, by oddzwonić. Może z powodu tego wypadku, a potem jeszcze męczącej nocy chciałam go usłyszeć.

– Tak? – rzuciłam, starając się brzmieć jak najbardziej oschle.

Mój mąż jednak zdawał się zupełnie to ignorować.

– Czy to prawda?! – wrzasnął. – Do jasnej cholery, Irena, coś ty nawyprawiała?! Zabiłaś kobietę?! Całe miasto huczy! Nie widziałaś jej? Po co w ogóle jechałaś samochodem? Przecież wszędzie masz rzut beretem! Co się z tobą dzieje?!

Nie zamierzałam opowiadać mu całej historii. Nie przez telefon. Poza tym rozdrażnił mnie jego ton. Jak zwykle – pełen wyższości. Lawina pytań i żadnych szans na odpowiedź.

– Nie mam czasu – ucięłam. – Idę do szpitala.

Byłam wściekła za ten atak. Co on sobie wyobraża? Wyniósł się, a teraz dzwoni, jakby nigdy nic, i oczekuje, że zacznę mu się wyplakiwać w rękaw? Albo tłumaczyć, błagając o zrozumienie i pomoc? O nie! Sama sobie tego piwa nawarzyłam i sama je wypiję. Do ostatniej kropelki! Do dna!

– Irena! Przyjadę wieczorem do domu! Czekaj na mnie! Słyszysz?!

Jasne, że słyszałam. Ale nie odpowiedziałam. Rozłączyłam się. Nie zapytałam, co z Natalią. Czy się nie rozchoruje. Albo

czy nie będzie miała w tym czasie ochoty na przykład na wypad do kina w Gorzowie. Powiedział: „Przyjadę wieczorem do domu!”. Do domu. To wciąż był nasz dom. Wrzuciłam telefon do torby.

Za skrzyżowaniem skręciłam w lewo. Na pasy, bo naraz nazjeżdżało się samochodów i jak na złość żaden nie zamierzał zwolnić. Cholerne dupki! Łatwo im siedzieć w ciepłym aucie! Musiałam się cofnąć kilkanaście metrów do przejścia. Czekając, aż przejedzie sznur aut, rozglądałam się jak na meczu tenisowym: lewo, prawo, lewo, prawo. Musiałam wysunąć stopę na jezdnię, bo kierowcy mieli klapki na oczach – rwali prosto, nie patrząc na boki. Stojąc i drżąc z zimna i wściekłości, pomyślałam o tym, jaki ładny jest ten nasz Barlinek. Chociaż między drzewami martwo wisiały wygasłe łańcuchy tandetnych lampek świecących różnymi barwami, miasto było naprawdę klimatyczne. Czasem lubiłam zapatrzeć się na stare kamienice, a szczególnie na tę, która patrzyła wprost na mnie, gdy ze swojej ulicy wychodziłam na główną. Była największa w zabudowie. Dziwnie wyglądała w sąsiedztwie tych odrestaurowanych i wymuskanych. Odrapane lizeny, wybrakowane elementy naczółków, poszarpane gzymy. Klęłam w duchu na opieszałość urzędów, które pozwalały na taki stan rzeczy. Ale nawet niszczący ząb czasu nie odebrał uroku miastu, które z wolna pozwalało na to, by w zapomnienie odchodziły historyczne zaszłości. Mało kto myślał o tym, co polskie, co pozostałe po Niemcach. Ludzie się przemieszali i rzadko kto już dociekał, kto nasz, a kto obcy. Zapomniane genealogie murszały w pożółkłych albumach i postrzępionych dokumentach. Spoczywały na miejskim cmentarzu, pod tym samym niebem, wśród tej samej kojącej ciszy. I niby nikt nikomu w metrykę nie zaglądał, ale pamięć tożsamości była wciąż żywa. Nie do zatarcia. Nie do

wycięcia. Od czasu do czasu zamiast „ta Kozubowa z Krętej” czy „Wejchertowa z Górnej” wrywało się spod skrzącej skrywanej niechęci: „ta Żydówka, co to z tym starym Niemcem” albo „ta wysuszona Niemra, co to mieszka samiuteńka jak panisko w tej pięknej ceglanej willi z podłużnymi oknami, z wielkim kamiennym kartuszem obramowującym datę 1878”.

Wreszcie udało mi się przekroczyć rwącą rzekę samo-chodów. Najpierw zatrzymał się czerwony na twarzy kierowca tira, który nie wypuszczając z ust papierosa, uśmiechnął się krzywo kącikiem i dłonią zaprosił mnie do przejścia. Siwa para skłębiona z oparami spalin unosiła się z podwozia, pozostawiając za sobą ciężki zapach. Po przeciwnej stronie z piskiem opon przystanął młody chłopak w sportowym, stuningowanym peugeocie. Bębnił niecierpliwie w kierownicę, jakby zamierzał dać mi do zrozumienia, że powinnam przyspieszyć, może nawet przefrunąć, bo on przecież nie ma czasu. Posłałam mu pełne ignorancji spojrzenie, ale tak mnie wkurzał, że najchętniej zatrzymałabym się na środku jezdni i pokazała mu środkowy palec.

Zaraz za skrzyżowaniem z Mickiewicza na Szpitalną, pomiędzy ogołocionych o tej porze roku koron dębów rosnących szpalerem wzdłuż ulicy ukazały się szpitalne zabudowania. Droga pięła się nieco pod górę. Zostawiłam za sobą budynki nowoczesnego Europejskiego Centrum Spotkań i niewielki plac zabaw, na którym młoda matka uczyła małego berbecia wspinać się po drewnianej drabince. Potem szybko przebiegała na drugą stronę, by odebrać go ze ślizgawki. Dzieciak piszczał z radości, nic sobie nie robiąc z paskudnej pogody. Byłam pełna podziwu dla tej kobiety. Ileż trzeba mieć w sobie determinacji, by w taki dzień marznąć na placu zabaw. A może akurat wracała z przychodni, która mieściła się nieopodal?

Im bliżej byłam szpitala, tym większy czułam ciężar, jakby coraz trudniej było mi walczyć ze wzmagającą się wichurą.

## Kamienie mają moc

Świetlówka wciąż dzwoniła, wibrując delikatnie. Oni – Estera i Anzelm – siedzieli w nienaruszonych pozycjach niczym odlana z wosku para. Pielęgniarka wtoczyła do sali metalowy wózek. Kółka terkotały zajadle, dudniąc nieprzyjemnie w uszach.

– No, babciu, turlamy się! – rzuciła w powietrze, chwytając pod ramiona zwinięte w kłębek ciało. – Jasia! – zawołała do krępej salowej. – Na raz! – Rozkołysały pacjentkę, jakby to była dziecinna zabawa, ale sprawnie przerzuciły ciało na wózek.

Mężczyzna nakreślił na czole znak krzyża. Zaczekałam, aż wózek wyjedzie z sali, i bokiem, niemal ocierając się o framugę, wsunęłam się do środka. W powietrzu unosił się chemiczny zapach lekarstw i jakichś środków dezynfekujących. Przez okno widać było, jak wiatr szarpie nagimi konarami drzew. Gdzieś na gałęzi chybotął pojedynczy liść, ostatkiem sił trzymając się traconego życia.

Wyglądali tak jak poprzednio – niczym zatrzymany obraz. Zastygli w czasie. Dla uprawdopodobnienia brakowało tylko wypłowiałej sepii i skrzypliwej muzyki z patefonu z wielką tubą w kształcie stożkowatego, żebrowatego kielicha, z korbką z drewnianą toczoną z mahoniu rączką. Miałam wrażenie, że czekają na ponowne uruchomienie obrazu. Na to, by ktoś wydobył ich z tego bezruchu.

Dygnęłam nieśmiało, jakbym zapomniała, że nie jestem już dziewczynką, ale mocno dojrzałą kobietą. Matką dzieciom,

niebawem babcią wnukom, była żoną i... kochanką... Nie. Nigdy nie byłam kochanką. A szkoda. Bo doświadczyłam w życiu tylu oskarżeń, że czasem myślałam: Głupia jesteś, Irena! Z tym swoim anachronicznym podejściem do miłości i wierności! Z tymi swoimi wyobrażeniami, zasadami! Kto dziś kocha tak jak ty? Nikt! Zupełnie nikt. Dzisiaj kocha się za coś, z jakiegoś powodu, ze względu... Na dzieci, na opinię, na status... Zawsze znajdzie się jakiś powód. Oprócz miłości. A wierność? Przecież już samo to słowo głupio brzmi! Tak. Ja potrafiłam kochać. Może dlatego nigdy nie szukałam nikogo poza Wiktorem, choć w naszym małżeństwie nie zabrakło chwil, kiedy mniej lub bardziej mierziło mnie to, w jaki sposób mnie traktował. Byłam jego własnością. Nie żeby robił mi jakąś krzywdę, bo na to w życiu bym nie pozwoliła. Albo żeby mnie nie szanował. Ale stopniowo, małymi kroczkami ograniczał moją przestrzeń, aż któregoś dnia spostrzegłam, że tak naprawdę zacisnął się wokół mnie okrąg, a w nim on, nasze córki, moja praca, dom, nasze urlopy – spędzane zawsze razem – i niewiele więcej. A, była jeszcze Jagoda! Tyle że ona niemal siłą przerwała ten kordon! Kiedy zaraz po ślubie nie odpowiadałam na jej telefony, bo jakoś tak się złożyło, a podczas przypadkowego spotkania na mieście wymigiwałam się nadmiarem obowiązków i brakiem czasu, Jagoda w końcu wparowała do naszego domu bez żadnej zapowiedzi. Zanim zdążyłam się zdziwić, wykrzyczała od progu: „Ty mi tylko, Irka, raz, ale to wyraźnie, patrząc mi w oczy, bez żadnego ściemniania powiedz, że masz mnie serdecznie gdzieś, że nie masz dla mnie czasu, że naszą przyjaźń od dziecka, od kołyski – bo przecież nasze matki żyć bez siebie nie umiały i wszyscy się śmiali, że nawet w jednym czasie w ciążę zaszły i to kto wie, czy nie z jednym – można o kant dupy rozbić! I powiedz mi szczerze,



że... że już nie jestem twoją przyjaciółką! To sobie pójdę w cholerę i nie będę zawracać Wisły kijem! No?!”. Wyrzuciła z siebie nadmiar powietrza. Jej duże piersi falowały, jakby płynęły po burzliwej wodzie i niosły w nieograniczoną przestrzeń wypowiedziane niemal na jednym wydechu słowa. A potem ponownie wzięła oddech i dokończyła swoją tyradę o mojej niewdzięczności i o tym, jak bezwolnie dałam się zamknąć w pałacu ze złotymi klamkami, jak Wiktor mnie zniewolił, jak wyzbyłam się dotychczasowego życia, jak za nic mam gorące przysięgi, które składałyśmy sobie solennie, zarzekając się, że nie ma takiej opcji, by cokolwiek nas rozdzieliło. Z tym pałacem trochę przesadziła, ale reszta nie była tak całkiem od rzeczy. I wówczas uświadomiłam sobie, że poza całą tą kolejną kiepsko odegraną kwestią aktorską, w czym zresztą moja przyjaciółka celowała, tak naprawdę było w jej wystąpieniu coś autentycznego. Po części miała rację. I zapewne musiało ją to nieźle uwierać, skoro przyszła do mnie. Ba! Wparowała z takim impetem, że o mały włos drzwi nie wypadły z zawiasów, kiedy rzuciła nimi, nie bacząc na nic.

Skończyło się tak, że przyklejone do siebie wyłyśmy jak bobry, to składając samokrytykę, to znów wzajemnie obarczając się winą. Na ustanowienie deklaracji wiecznej przyjaźni poszło jakieś pół litra ginu lubuskiego i litr seven up.

Tylko Wiktor podpatrywał nas z boku, zdumiony tym, jak Jagodzie udało się przerwać okowy jego terytorium, wtargnąć, zagarnąć mnie bez jakiegokolwiek próby konsultacji z nim. Zdumiony tym bardziej, że przecież do tej pory to on nadawał kształt naszemu życiu, on określał naszą przestrzeń, a tu naraz wyłom, który nie poddał się jego jurysdykcji.

Z czasem jednak wszystko wróciło do wcześniejszego stanu – aż do pamiętnych wczasów kilkanaście lat temu, które o mały

włos skończyłyby się rozwodem. Ostatecznie na kilka tygodni wyprowadziłam się z dziewczynkami do rodziców.

Było to kilkanaście lat temu. Byliśmy nad morzem, w Międzyzdrojach. Dziewczynki już spały, a my wybraliśmy się na spacer. Upał nieco zelżał. Ulice wypełniały się ludźmi. Obserwując przetaczający się tłum, miało się wrażenie, że powietrze kipi seksem. Starzy, młodzi, ładni, brzydki – sunęli wolno, przylgnięci do siebie, jakby ktoś spętał ich niewidocznym sznurem. Tyle miłości w jednym miejscu! Wiatr od morza powodował, że dokuczliwy za dnia upał teraz dawał odpór. Przyjemnie było tak iść. Bez dziewczynek, które absorbowwały nieustannie. Szliśmy objęci niczym bohaterowie romantycznej komedii i mimo że miałam świadomość kiczu tej sytuacji, mnie też udzielił się wieczorny nastrój. Wtulałam się w Wiktora, podpatrując nie bez zazdrości, jak robią to inne kobiety, którym faceci nie szczędzili czułości – gładzili je po pośladkach, muskali ustami ich opalone ramiona. Tu i ówdzie za wielkimi szybami otwartych na oścież kawiarenek i restauracji majaczyły postacie podrygujące żywiołowo lub zmysłowo się kołyszące. Zamierzaliśmy wstąpić gdzieś, wypić jakiegoś drinka, posiedzieć chwilę nad morzem i wrócić do pensjonatu jak Bóg przykazał. I tylko z kochaniem mieliśmy pewien kłopot, bo pokój w pensjonacie był malutki i każdy ruch budził dziewczynki, które rozwierały zaraz ślepią i tarabaniły się do naszych zsuniętych łóżek. W ostateczności zamykaliśmy się w łazience, ale cienkie ściany i bulgoczące złowieszczą rury skutecznie nas zniechęcały. Na domiar złego już pierwszego dnia tak poparzyłam sobie plecy i uda, że każdy ruch przynosił mi niewyobrażalne cierpienia. Nie pomagały ani serwatka

wyzebrana w miejscowej mleczarni, ani alantan. Jedyne wyproszone od właścicielki pensjonatu mięsisty liść aloesu przynosił pewną ulgę.

I gdy tak szliśmy, nagle w okolicach muszli koncertowej zaskoczyło nas wołanie:

– Irena? Wiktor? Irena! Wiktor!

Obejrzeliliśmy się za siebie.

– Ewka? Darek? – wykrzykiwaliśmy na przemian, głośno wyrażając zdziwienie pomieszane z radością. Dziwne! Bo znaleźliśmy się kupę lat, ale w Barlinku nigdy specjalnie nie przepadaliśmy za swoim towarzystwem. A tu nagle!

– Irka! – Darek Tomasik nie krył entuzjazmu i zachowywał się tak, jakby nie było przy mnie Wiktora. Oczy mu się świeciły. Poczułam się trochę nieswojo. Kątem oka zerknęłam na męża. Pojedynczy nerw jak przypadkowy tik przebiegł po jego czole, ale zaraz, jakby nigdy nic, zaczął się witać z Ewką, obejmując ją serdecznie. Panowie podali sobie ręce; potrzęsali nimi, choć wyczuwało się w tym geście pewną sztywność.

– Może skoczmy na jakieś piwko? Co, Ewula? – Darek zwrócił się do żony, bezpardonowo poklepując ją po pośladku.

Ewka zaśmiała się głośno. Widać taki gest zupełnie jej nie przeszkadzał. Odwzajemniła klapsa i pospieszyła z deklaracją:

– No pewnie! Jak szaleć, to szaleć! – Wykonała kilka ruchów imitujących dość odważny taniec.

Byłam pewna, że oboje mają lekko w czubie, i chyba trochę im zazdrościłam tego luzu.

Poszliśmy do Aurory. Dzisiaj to dość ekskluzywna restauracja, ale wtedy była to taka sobie knajpka. Dość schludna, trzeba przyznać, ale bez szału. Trochę podrasowana, ściany wymalowane w jakieś esy-floresy, wymyślne lampiony pod zdobionym kasetonami sufitem. Po ścianach tańczyły świetlne

gwiazdki, wielka kula dyskotekowa srebrzyła się jak rybia łuska. Młody chłopak z trzydniowym zarostem przygrywał na pianinie. Leciały amerykańskie standardy: *Mona Lisa*, *Too Young*, *Unforgettable*. Grał dobrze! Pochylony nad klawiaturą, z przymkniętymi oczami, kołysał się lekko. Widać bawiła go muzyka, bo na jego twarzy raz po raz pojawiał się uśmiech. Czasem poruszał ustami, podśpiewując pod nosem.

Zamówiliśmy po jakimś modnym, ekskluzywnym drinku. Szumiało nam w głowach. Morze, alkohol. Chłopak z trzydniowym zarostem, rozochocony naszym entuzjazmem, zaczął grać *Smile*. Darek podszedł do niego i rzucił mu zwinięty banknot, a potem, wyraźnie rozochocony, zaprosił mnie do tańca. Noc była gorąca. Czułam jego palce naciskające na moje łopatki, przesuwające się raz wyżej, raz niżej. Byłam wstawiona. Kołowało mi się w głowie, moje ciało było jak z plasteliny. I było mi przyjemnie. Może dlatego że Wiktor już dawno nie był wobec mnie tak szarmancki, a może dlatego że Darek trochę przypominał Wiktora z przeszłości. Namiętnego, wciąż głodnego mnie, niecierpliwego.

Nagle mój mąż przerwał tę sielankę.

– Musimy wracać – oświadczył stanowczo.

Próbowałam tłumaczyć, że dziewczynki już śpią i żeby nie przesadzał, ale jego nieprzejednane spojrzenie mówiło jasno: „Rusz się! Wracamy! Bez dwóch zdań!”.

W tym momencie Tomasik mnie objął. Jego prawa ręka wisiała tuż nad moją piersią, a palec wskazujący delikatnie gładził moje ciało.

– Ale co ty się, facet, tak spinasz? – siląc się na lekki ton, zwrócił się do Wiktora, który w tym czasie wywinął się z rąk nieźle już wciętej Ewki. – Są wakacje, jest morze, są kobitki... Daj upust! – lekko bełkocząc, wyciągnął rękę w kierunku

Wiktora, jakby chciał poklepać go po twarzy.

Mój mąż szybkim i ostrym ruchem powstrzymał ten gest. Jednocześnie drugą ręką chwycił mnie mocno za nadgarstek i pociągnął gwałtownie. Obydwaj mężczyźni trzymali na ustach uśmiech, choć atmosfera aż puchła od ich wzajemnej niechęci.

– Zatańczmy – zaproponowałam, próbując rozładować napięcie, ale Wiktor warknął tylko:

– Wracamy!

Wiedziałam, że z mojego romantycznego wieczoru wielkie nici.

W pośpiechu zebrałam ze stolika swoje rzeczy. Zaraz też zjawiał się kelner z etui, w którym krył się horrendalny rachunek. Wiktor szybko oszacował nasze wydatki, rzucił pieniądze na stół i pociągnął mnie w stronę wyjścia.

– Ty... ty... z takim śmieciem... – syczał przez zaciśnięte zęby, ledwie zdążyliśmy wyjść za róg. – Żeby cię obmacywał jak jakąś dziwkę...

– Przestań! – usiłowałam zbagatelizować sprawę. – Niepotrzebnie dramatyzujesz. Nic takiego się nie stało!

– Chciałam go wziąć za rękę, ale był tak zawzięty w swojej furii, że strzepnął moją dłoń. Poczułam lekkie pieczenie i odsunęłam się. Szedł krok za mną. Miałam wrażenie, że się nakreca.

– Nic takiego! Nic takiego! – przedrzeźniał mnie, coraz bardziej wściekły. O mały włos nie włożył ci łapy w majtki, a ty mi mówisz, że to nic takiego! Ja sobie nie życzę! Rozumiesz?! Nie życzę sobie ani żebyś z kimś tańczyła, ani żebyś pozwalała się komuś dotykać czy głaskać. Nawet na siebie patrzeć! Rozumiesz?! Bo jak nie, to...

– To co?

Na chwilę zapadło złowrogie milczenie.

– Nie chciałbym się dowiedzieć, że coś cię łączy z tym

dupkiem! Bo chyba bym cię zabił!

– Zabij! Do cholery! No zabij! – stanęłam na środku ulicy i krzyczałam, nie zważając na mijające nas osoby, które z zainteresowaniem przyglądały się nam, czekając zapewne na bardziej drastyczne sceny.

Wiktor podszedł do mnie. Nie przeszkadzała mu gromadząca się wokół nas widownia. Obecność gapiów w jakiś sposób mnie uspokajała; wątpiłam, by mojego męża było stać na taką sensację, by ryzykował zszarganie opinii człowieka nadzwyczaj spokojnego, jaką się cieszył.

– Nie prowokuj mnie – syknął. – I chodźmy stąd, bo robisz z siebie pośmiewisko!

Całą drogę do pensjonatu wykrzykiwał mi do ucha groźby na przemian z wyzwiskami, raz po raz szarpiąc mnie za ramię.

Kiedy wbił mi paznokcie w łopatki tak, że poczułam ból, a rano zobaczyłam na skórze krwawe ścieżki, postanowiłam natychmiast wracać do domu. Zgarnęłam do walizek kilka swoich ciuchów, parę zmian odzieży dla Kornelki i Gabrysi i wprowadziłam się do mamy.

Przyszedł po tygodniu. Skrył się za naręczem kwiatów, żebym nie zdołała zobaczyć, że nic się w nim nie zmieniło. Trochę ochłonął, ale żadnej skruchy, żadnego skamlenia. Wróciłam z nim jednak. Dla dziewczynek. Dla świętego spokoju. Tamtego wieczoru długo rozmawialiśmy.

– Gdybym cię zdradziła, nie zostałabym z tobą nawet godziny więcej. Bo zanimby do tego doszło, musiałabym mieć wiele motywów, dla których spróbowałabym, szukałabym. Sądzisz, że wpadłabym do łóżka byle komu? – perorowałam hardo. Wiktor słuchał. Moje słowa wyraźnie napawały go zdumieniem, ale pozwolił mi kontynuować. – Zapewniam cię, że facet, z którym bym się przespała, musiałby być tego wart.

I musiałby mi udowodnić, że jest tego wart. I... jestem pewna, że w tym układzie byś przegrał. Po prostu. Natomiast ty... Ty zdradziłeś mnie niejednym razem. A mimo to wciąż jesteś ze mną. Nie jesteś desperatem. Wiesz, do czego wracasz. Dla ciebie rachunek jest prosty. Umiesz wybierać, więc masz pojęcie, co byś stracił.

– Co ty za bzdury opowiadasz? – zapytał wówczas, ale dziwnie się uspokoił.

Nie wiem, dlaczego teraz sobie o tym przypomniałam.

\*\*\*

– Dzień dobry – powiedziałam cicho. Tak cicho, że właściwie mogłam nie mówić nic.

Żadne z nich nie drgnęło. Ona leżała nieruchomo, ledwie widoczna. Wydawała się bardziej blada niż poprzednio. Bałam się na nią patrzeć. Zlewała się z kolorem kołdry. I tylko ciemne włosy, rozrzucone po poduszce, odcinały się od starmoszonej pościeli. Wyglądało to tak, jakby dziecko niewprawną ręką okoliło niedokładnie twarz ciemną farbą, pozostawiając gdzieś-gdzie cienkie niczym nitka, pojedyncze pociągnięcia pędzla. Pomyślałam, że muszą jej przeszkadzać te niesforne kosmyki pałętające się wokół ust i nosa. Dziwiłam się, dlaczego ich nie odgarnie. Sama odruchowo odrzuciłam do tyłu włosy, bo ich łaskotanie okrutnie mi doskwierało. Podpięłam spinką luźny kędzior. Przyszło mi nawet do głowy, żeby i jej w tym pomóc, ale szybko porzuciłam ten pomysł. Wydawało mi się, że przez twarz Ruty przemknął grymas bólu. Skupiłam wzrok. Nie. Była wręcz posągowa. Zatrzymana w kadrze. Za to jej matka przypatrywała się czemuś, co zdawało się niewyraźne albo

dalekie. Zupełnie nieświadomie powiodłam wzrokiem tam, gdzie zawieszona było jej spojrzenie. Obydwie kobiety były jak nieobecne.

To ja – Ruta. Ciałem i duchem jestem.

Widzenie pierwsze – Ptasi Król

*Świat z góry przybiera dziwne kształty. Dokoła mnie są ludzie. Niektórych znam, jak na przykład tego chłopca, który macha rękoma, jakby rozgarniał kłębiące się przed oczami tumany dymu. Czarnego i gęstego. Widzę jego oczy, pełne strachu, i otwarte usta, z których nie wydobywa się krzyk, ale ciche, ledwie słyszalne rżenie. Jestem lękiem. Jestem przeszłością, która boli.*

*Są tylko on i ptaki. I może dla nich został w tym domu na strychu, pośród starych pudeł pełnych zapomnianych rzeczy. Ze starych skrzyń, z jakichś pokaleczonych listewek sklecił klatki dla ptaków, w niczym nieprzypominające foremnych wolier, jakie mają wytrawni gołębiarze. Te są koślawe i bezkształtne. Ale to zupełnie nie przeszkadzało ptakom, które zlatują się zewsząd wciąż i wciąż, czyniąc rwetes na całą okolicę. Gdy już zdawać by się mogło, że stado osiąga stan, pojawia się on. Stoi na zewnątrz budynku i niczym dyrygent wielkiej orkiestry czyni ruchy, którym towarzyszy jakby kląskanie, jakby turkot. Wywołuje ptaki ze strychu. Najpierw wychodzi jeden i krąży wokół domu, a chwilę potem wyfruwają pozostałe, by kołować nad siedliskiem, kreślić ósemki. Lecą na przestrzał nieba,*



*tworząc formację klucza, by po pewnym czasie ponownie pojawić się na niebie, zrazu jako ledwie dostrzegalne punkciki, a potem, z sekundy na sekundę, przeobrazić się w ornitomorficzne kształty. Na koniec powracają taką samą chmarą na strych. Jestem ptakiem.*

*\*\*\**

*Jestem pamięcią. Zachodził tam, do tego ptaszowiska, zawsze, ilekroć miał dość świata i ludzi. One czekały na niego. Siedziały na zmurszałych żerdziach, mieszkały w klatkach, gniazdowały gdzie który sobie upodobał. I kiedy był już na strychu, ustawał ptasi jazgot. Wyglądało to jak pełna oczekiwania, napięta cisza mająca miejsce tuż przed wielkim koncertem, kiedy ruch ręki ma zapowiedzieć jakieś zdarzenie muzyczne. Tu podnosił dłoń i wszystkie ptaki zlatywały się do niego, siadały na rozłożonych ramionach, na głowie, tuż przy nogach. Istny ptasi król!*

*Pewnego razu wracałam z matką do domu. Szłyśmy inną drogą niż zazwyczaj. Od strony nowego osiedla na Górnym Tarasie i dalej między nowymi willami w dół, zaraz za dawną cegielnią. Nagle z zarośli wyłonił się Juruś. Zapewne mieszkał gdzieś w okolicy. Nie zdziwiło mnie to, a wręcz jakoś pasował mi jego wizerunek do tej okolicy. Jego dom był niemal w linii prostej przez las do naszego domu. Pamiętam nawet, że pomyślałam sobie o tym, że tak jak ja jest odludkiem i nawet na takim samym odludziu mieszka.*

*– Cześć, Juruś! – krzyknęłam do niego, machając ręką. Wiedziałam, że mi nie odpowie, ale nie wiedzieć dlaczego, ucieszył mnie jego widok. I wtedy matka rzuciła okiem w jego stronę. Naraz zamarła. Jej twarz... Pociągnęła mnie mocno za rękę, wyklinając w dziwnym języku. Nie rozumiałam, co mówi,*

*ale uścisk matki był na tyle mocny, że szybko ruszyłam za nią.*

*Szłyśmy drogą, której nie znałam. Zupełnie, jakby chciała zmylić ślad. Jakby bała się, że ktoś pójdzie za nami do naszego domu, skrytego przed ciekawskimi oczami, domu mającego własną historię.*

*– O co chodzi? – próbowałam wyciągnąć z matki jakąkolwiek informację.*

*Ona jednak tylko obrzuciła mnie karcącym wzrokiem i pociągnęła za rękę. Co chwilę sprawdzała, czy nikt nas nie śledzi.*

*Potem już nigdy nie szłyśmy tamtędy, nawet jeśli trzeba było nadrobić drogi.*

*\*\*\**

*Teraz widzę, jak stoi w oknie, gdzie sięgają pożądliwe języki ognia. Lubieżne, odważne, chępliwe. Jestem krzykiem.*

*Lubiłam go. Lubiłam go, bo tak jak ja chyba zawsze był pojedynczy. Starszy ode mnie. Dwa, może trzy lata. Chodziliśmy do jednej szkoły. Z czerwonej cegły. Tuż przy jeziorze. Z sali numer osiemnaście na trzecim piętrze, gdzie mieli lekcje tacy jak ja i on – inni – rozciągał się rozległy widok na jezioro, którego porośnięte szuwarami brzegi były ostoją i lęgowiskiem różnego ptactwa. Zamiast słuchać, jak nauczycielka od polskiego wychwala ziemię ojczystą, ujętą w wymyślne strofy, gapił się przez okno i dałabym sobie głowę uciąć, że widział tam swoje ptaki kręcące ósemki, które czekały na niego, na jego znak, na to, by wyszedł. A potem ciągnęły się za nim sznurem – prosto do domu.*

*Nie mówił, choć chłopcy upierali się, że słyszeli, jak*

*rozmawiał z ptakami. Dlatego krzyczeli za nim Ćwir-Świr  
lub Ptasi Król.*

*\*\*\**

*Widzę go teraz. Cały dom zajął ogień. Stado gołębi  
hurmem, gruchając, turkocze żarliwie, wyfruwa spod dachu. Aż  
dziw, gdzie one wszystkie mogły się tam podziać, na tym strychu.  
Ale nie odfruwają, tylko krążą ponad chmurami siwego dymu.  
Otoczywszy go kręgiem, wyglądają, jakby na kogoś czekały.  
Może czekają na Jurusia. Bo może nie chciały go tam zostawić  
samego. Bo kto by się nim zajął. Matka ciągle poza domem.  
Lasowi oddana, wiatrem gnana. Nierzeczywista. Jestem  
popiołem. Wiatr rozwiewa mnie po świecie.*

*\*\*\**

*Jestem czasem, który zagubił się we mnie. Wspomnieniem  
niejasnym jestem...*

*Ja i Juruś. Wracaliśmy wielokroć tą samą drogą. Przy  
jeziorze. Zważając na uwite w zaroślach gniazda, by nie płoszyć  
wylęgłych na świat ptasich istnień. Nie mówiliśmy nic.  
Odczytywaliśmy znaki ze spojrzeń, z grymasu ust. Na brzegu  
trącaliśmy wodę przypadkowo znalezionymi kamyczkami.  
Z trajektorii rzutu i kręgów tworzących się na tafli jeziora  
odczytywaliśmy nasz los. Nijak potwierdzony. Na granicy  
absurdu. I stało się tak, że nasze spotkania były rytuałem  
powtarzanym przez lata. Nawet wtedy, gdy Juruś poszedł do  
zawodówki na górkę, a ja uczyłam się w liceum ekonomicznym –  
choć po podstawówce nikt pojęcia nie miał, co ze mną robić,  
bo żaden porządny zawód do mnie nie pasował, ani sklepowa,  
ani do biura, tylko bohomyzy były mi w głowie. W końcu  
zdecydowano po rozmowie z matką, że szkoła ani nie zaszkodzi,*

*ani nie pomoże. **Takiej jak ja.***

*Czekał na mnie, schowany za rosnącym kasztanem, niepewny, czy pójdę z nim. Szliśmy. W letnie, parne dni chowaliśmy się w zatoczce ukrytej w trzcinach. Ja rysowałam. Uwalniałam uwięzione w głowie obrazy, stłamszone nieszczęśliwie, a on słuchał głosów z zarośli. Kwileń i pisków, gruchań i tokowań. Kochaliśmy się, choć żadne słowa o miłości między nami nie padały. Nie było wokół nas słów.*

*Wciąż czuję pod palcami jego sztywne jak zboże włosy, kiedy leżał na moich kolanach z oczami wpatrzonymi w niebo. Patrzyłam na niego z góry. Palcami obwodziłam zarys oczu, nosa, warg, którymi nigdy nie poruszył w miłosnym wyznaniu.*

*Wówczas nie miałam pojęcia, że Juruś wyglądał identycznie jak Peter Richt – ten sam, który jednym strzałem zamienił świat mojej matki w piekło.*

*Widziałam go. Powiodły go ptaki do nieba. I teraz widzę jego płową czuprynę, która przy blysku zamienia się w złoto. Rudzielec – tak o nim mówili. Bzdura. Miał włosy jak dojrzałe zboże w słoneczny sierpniowy dzień.*

*Jestem pamięcią, co wieczna jest i zniszczyć jej nic nie zdoła.*

\*\*\*

– Dzień dobry – powtórzyłam nieco głośniejszym głosem i chrząknęłam znacząco, by zwrócić na siebie uwagę. Nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że uczestniczę w jakiejś dziwnej scenie z pogranicza realności. W pewnym momencie chciałam poszukać poza tą salą kogoś, kto uszczypnąłby mnie i utwierdził w przekonaniu, że wszystko, co się teraz dzieje i co się wydarzyło w ciągu ostatnich dni, to najprawdziwsza prawda. Samochód. Wypadek. Policjanci. Szpital. I ci ludzie... jak z innego świata. I ona...

Przestraszyłam się, że naprawdę tracę zmysły. Ale nie. Zbyt boleśnie odbierałam widok leżącej wciąż nieprzytomnie kobiety. Szpitalny zapach pomieszany z wonią starych ubrań oraz specyficzną mieszanką lasu i ziół uderzał w nozdrza. Panoszący się we mnie niepokój, drzenie rąk i uderzenie gorąca przywiodły mnie do rzeczywistości. W pewnym sensie odetchnęłam z ulgą. Że nie zwariowałam. Że wszystko jest de facto. Choć Bóg mi świadkiem, bardzo chciałabym to zmienić.

Stara kobieta chyba wyczuła mój strach, bo odwróciła lekko głowę. Widziałam tylko jedno oko, którego źrenica osadziła się w samiutkim kąciuku. Miała ostry i surowy profil. Przypominała wszystkie baśniowe Baby-Jagi, którymi jak świat światem straszono dzieci. Było w niej coś tak przejmującego, że wzdrygnęłam się, jakbym wciąż była małą dziewczynką.

– To moja córka, Ruta – oznajmiła cicho, jakby chciała w ten sposób uzasadnić swoją obecność.

Uśmiechnęłam się lekko, bo nic innego nie przychodziło mi do głowy. Nawet przez ułamek sekundy nie wątpiłam w to, że jest jej matką. Ba! Już poprzedniego razu domyśliłam się tego. I nawet nie trzeba było szczególnie się przypatrywać, nietrudno było bowiem odnaleźć podobieństwo. Do obojga. Ruta była repliką swojej matki, choć niewątpliwie różnica wieku musiała zrobić swoje. Twarz chorej była gładka, nie przecinały jej żadne rysy. Było w niej też coś z ojca – byłam tego pewna, choć za nic nie umiałam wskazać tych stycznych. Może owa posągowość, nieruchomość; żadnych gestów, grymasów, jakiegokolwiek wyrazu zdradzającego emocje. Oboje byli hieratyczni, jak wyrzeźbieni w marmurze, przy czym ona miała odcień niemal biały. Nie mogłam pozbyć się natrętnej myśli o śmierci.

Przyłapałam krótkie spojrzenie matki Ruty. Czekwała na moją reakcję.

– Wiem. – Skinęłam głową, nie zrzucając z ust uśmiechu. Chciałam zapytać, jak się czuje, czy coś się zmieniło, czy Ruta odzyskała przytomność, ale kobieta mnie uprzedziła.

– Nic jej nie boli – powiedziała, a potem dodała:  
– Kamienie robią swoje. Mają moc... – W jej głosie pobrzmiwała satysfakcja. Mówiła jak ktoś, kto po wielu trudach wreszcie przekonał swoich adwersarzy, że ma rację, że wyszło na jego, postawił na swoim.

– Proszę? – Byłam pewna, że nie dosłyszałam jej słów.

– Kamienie – powtórzyła, ale zaraz znów zamilkła. Może zastanawiała się lub chciała nabrać powietrza, bo w jej zapadniętych piersiach niewiele mieściło się zapasu, by dużo mówić. Zdałam sobie jednak sprawę z tego, że słuch mnie nie zawiódł, że dobrze usłyszałam, chociaż wciąż nie miałam pojęcia, o co jej chodzi. Pomyślałam nawet, że może jest niespełna rozumu albo to starość namieszała jej w głowie. Nie żebym widziała w tym coś złego. Babcia Henia nieraz powiadała, że starość jest okrutna. Odbiera człowiekowi, co najpiękniejsze: urodę, pamięć, a w zamian pozostawia często cierpienie, samotność i niemoc. – Tylko każdy musi znaleźć odpowiedni dla siebie – podjęła matka Ruty. – Nie najpiękniejszy, ale swój.

Mówiła powoli, ważąc każde słowo. Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że nie przychodzi jej to łatwo. I wciąż nie byłam przekonana, czy na pewno powiedziała to, co chciała powiedzieć. Było w niej jakieś wahanie. Szukała słów. Ważyła je. Zupełnie jak ktoś, kto używa dawno zapomnianego języka. Znałam to uczucie. Miałam tak, gdy ileś lat po studiach chciałam powiedzieć coś po angielsku. Wydobywałam z pamięci słowa, ale zawsze któreś zdawało się nietrafne, gubiłam sens, aż w końcu przestawałam się wysilać.

Popatrzyłam na Esterę, nie kryjąc zdziwienia. Jakie kamienie? Jaka moc? Dopiero po chwili dostrzegłam wokół zarysu ciała Ruty niewielkie wybrzuszenia. Cała jej postać obłożona była kamieniami! Równo. Jeden przy drugim. Wyglądały jak wielkie paciorki różańca nanizane na niewidzialny sznur. Stara mrugnęła do mnie porozumiewawczo, jakby chciała utwierdzić mnie w przekonaniu, że dobrze widzę. Wciąż nie umiałam uchwycić związku między tym, co słyszałam, a tym, co widziałam.

– Nic jej nie będzie – odezwała się znowu. W jej tonie były spokój i jakaś dziwna pewność, że inaczej być nie może, że jest tak, jak ona mówi, że jej słowa są prawdziwe. – Ona zwyczajnie odpoczywa od tego ziemskiego życia, od ludzi... Tyle zła wokół. Trudno dokądkolwiek uciec. Najlepiej w sobie. Zamknąć się w sobie. Odpocząć. Kamienie chronią ją od złego. Ich energia łączy się z jej energią. Musi oddać im pamięć. One przyjmą. Mają w sobie pamięć pierwotną... Dlatego są ciężkie. Czasem nie do podźwignięcia – nagle zamilkła. Włożyła ręce pod cienką kołdrę i zaczęła kolejno wyjmować kamienie. Zamykała je ciasno w dłoni, chuchała w nie, a następnie ponownie układała przy ciele córki. Było w tym coś mistycznego. Magiczny spektakl, którego nie śmiałam przerywać. Kiedy skończyła, pochyliła głowę i przymknęła oczy. Było widać, że mamrocze coś w jakimś obcym języku, lecz nie byłam w stanie jej zrozumieć. Naraz wydało mi się, że kobieta zapadła się w siebie, zapomniała o tym, że wciąż tu jestem i uparcie czekam na jakieś informacje.

Stałam między tymi ludźmi i czułam się jak intruz, który wtargnął w czyjąś intymność. Nic tu po mnie.

Za oknem wiatr nie ustawał. Ciężkie, ołowiane chmury zasnuły niebo. Wyglądało to tak, jakby ktoś zawiesił na

zewnątrz zasłone z lejącego materiału. Powiewy wciąż szarpały nią, marszczyły, odkrywając raz po raz białobury świat, ukazując tańczące w powietrzu pojedyncze liście, dziwnym trafem uchowane na drzewach po minionej jesieni.

– Ale z tobą jest źle – rzekła nagle kobieta, nie podnosząc wzroku. – Kiepsko. Życie ci się rozkrusza, ściera się w pył. Musisz mieć w sobie cierpliwość i twardość kamienia. Ten, który masz, da ci to. – Znowu mrugnęła jak ktoś, kto prowadzi jakąś potajemną grę i ma pewność, że jego rozmówca zna szyfr.

Odruchowo dotknęłam torebki, by namacać kamień, który wrzuciłam tam niedbale. Wyczułam jego owal. W pierwszej chwili chciałam go wyjąć i spytać, czy ma na myśli właśnie ten kamień, ale uznałam to za totalną bzdurę. Zbeształam się za tę naiwność. Ja. Pragmatyczka. Twardo stąpająca po ziemi. Ta, która jak mało kto mierzy siły na zamiary. Chłodnym okiem racjonalisty potrafi ocenić zdarzenia. Teraz przez jakąś starą szarlatankę daję się wmanewrowywać w jakieś szemrane zabobony! Bzdety! Kamień! Energia! To wszystko jest idiotyczne! Jak tylko stąd wyjdę, wyrzucę ten kamień. Słucham jakichś majaków, jakbym nie miała innych problemów. Chciałam się dowiedzieć, w jakim stopniu uszkodziłam Rutę, co jej jest, czy wyzdrowieje, czy będzie mówić, chodzić, myśleć... Chciałam usłyszeć, że kobiecie z wypadku nic nie jest, że to tylko zwykłe potłuczenie, że zaraz się obudzi. Zrobią jej badania, prześwietlą, a potem wstanie i pójdzie do domu. Przecież to niemożliwe, żeby stało się coś strasznego. Przecież nie jechałam szybko. Przecież zaraz po uderzeniu usiadła całkiem przytomnie. Przecież, do cholery, nie mogę mieć takiego paskudnego pecha! Przecież wyłoniła się z mgły! Jak jakiś duch, zjawa! Nie chcę do końca życia być odpowiedzialna za jej kalectwo! Budzić się i zasypiać z poczuciem winy,



cholernie ciężącej odpowiedzialności!

Stara kobieta odwróciła lekko głowę. Jej wzrok prześlizgnął się po mnie, na moment zawisnął przy mojej dłoni wsuniętej do torebki. Wydawało mi się, że dostrzegłam lekki uśmiech, błakający się gdzieś w kąciku jej ust, i chyba dlatego szybko wyciągnęłam rękę. Splotłam dłonie przed sobą, nie wiedząc, co mam z nimi począć. Estera siedziała odwrócona do mnie plecami. Była bardzo szczupła. Zarys wystających łopatek i paciorki kręgo-słupa odznaczały się pod grubym swetrem.

– Byli doktorzy. Dużo ich. I starzy, i młodzi. Całkiem tacy gładcy na twarzach, nienaznaczeni ludzkim cierpieniem – odezwała się znowu tym samym tonem, w którym wyczuwało się wysiłek. Zniżyła głos, chociaż i tak ledwie ją rozumiałam. I nawet z ruchu jej warg nie mogłam czytać, bo uparcie tkwiła w swojej pozycji, wciąż dotykając sterczących na pościeli niewielkich pagórków.

– I co? Coś mówili? Coś wiadomo? – spytałam dość nachalnie. Miałam tego świadomość, ale tak bardzo chciałam wiedzieć, uspokoić się. Zyskać pewność, że nic się nie stało. Lekka stłuczka. Ot, tyle. Jakiś mandat. Może nawet grzywna. I tyle. Bo po cóż tyle zachodu? Trzeba żyć. A tak? Od wypadku żyłam jak w amoku. Ona, ta stara Żydówka, miała rację. Życie mi się rozsypało. Już wcześniej traciłam kontrolę nad wieloma sprawami, odpuszczałam wiele rzeczy. A teraz ten wypadek. Czara się przelała. Tylko tego mi brakowało. Do końca życia będę się zmagać z wyrzutami sumienia. Nic już nie będzie takie jak kiedyś.

Wpatrywałam się w plecy kobiety, czekając na ciąg dalszy. Ale ona znów zaczęła się zachowywać, jakby mnie nie było. Z uporem maniaka gładziła wybrzuszenia na łóżku, co jakiś czas wznosiła głowę, jakby szukała jakiegoś poplecznictwa w niebie.

Byłam zdezorientowana. Złość narastała we mnie jak spieniona fala. Bałam się, że jeszcze jeden jej ruch, gest, spojrzenie, a odwrócę się na pięcie, trzasnę drzwiami i ucieknę. Niech się dzieje co chce! Będę czekać na wezwanie sądowe, stawiać się na rozprawach, wysłuchiwać oskarżeń, wytrzymywać wzrok osiedlowych plotkar. Poniosę wszystkie konsekwencje. Byle z dala od tych starych, zmurszałych dziwadeł, po których czort wie czego się spodziewać. Skupiłam się na tym, by wyrównać oddech. Serce szarpało się w mojej piersi. W myślach liczyłam do dziesięciu. Zawsze pomagało. Przy dziewięciu łąpałam dystans do zdarzeń. Obrazy jak kolaże przewijały się w mojej głowie. Starłam się ze wszelkich sił odzyskać właściwą perspektywę. Tak! Mogłam przecież pójść do dyżurki! Zapytać! Ale nie miałam takiego prawa... Zresztą co miałabym powiedzieć? „Dzień dobry. Nazywam się Irena Podkowińska. To ja przejechałam tę kobietę. A teraz przyszłam, by zapytać, jak się czuje, co jej dolega, i może jeszcze przeprosić”. Absurd! Już widziałam te spojrzenia – pełne wyrzutów. Zanim przekroczyłabym próg szpitala, wszyscy w nim trąbiliby, że to ja. O nie! Na to nie miałam siły. Liczyłam na Esterę. Miałam nadzieję, że wreszcie z tych enigmatycznych wypowiedzi uda mi się wyłuskać choć kilka logicznych zdań.

– Postali nad nią. Podumali. Coraz to który wzruszał ramionami. Kręcili głowami... – odezwała się, jakby ktoś nagle wyrwał ją ze snu. Przyszło mi nawet do głowy, że ta stara Żydówka celowo dozuje mi szczątki informacji, że to jej zemsta. Tak zamierza mnie ukarać za krzywdę swojej córki. – Podawali sobie jej rękę, jakby oglądali jakiś okaz. I każdy dotykał, obracał, aż się bałam, że połamię jej palce. I jak będzie wtedy malować te swoje bohomyzy? A potem rozwierali jej powieki, świecili w duszę małymi latarkami – ciągnęła, a ja czułam się

tak, jakby ktoś opowiadał mi niestworzoną historię, podobną do tych zasłyszanych od babci Heni, która miała taki dar opowiadania, że nawet najzwyczajniejsza historia w jej ustach zamieniała się w niezwykłą opowieść, której słuchało się z rozdziawionymi ustami. Estera modulowała głos, a w jej oczach pojawiały się błyszczące refleksy. Wyglądała jak złowróźbna wieszczka. Przeszył mnie dreszcz, zapewne dlatego że wciąż czaił się wewnątrz mnie styczniowy chłód. Kobieta zaś relacjonowała dalej: – Ich twarze stawały się coraz bardziej ogłupiałe i pytań na nich wiele. A potem... potem najwyższy z nich, chyba jakiś ich najważniejszy, bo kiedy mówił, wszyscy wpatrywali się w niego jak w święty obraz, to właśnie ten podrapał się po głowie i... – Odwróciła głowę w stronę drzwi. Nie byłam pewna, czy chciała, bym ją widziała, czy też upewniała się, że nikt postronny jej nie słucha. Wtedy dokończyła: – ...Rzekł, że nic jej nie jest. Żadnych złamań, żadnych ran. I krew dobra. I wszystko dobre. I on też się dziwił, że ciało zdrowe, jak przynależy... a ona nie chce się obudzić. I znów jak na komendę kiwają głowami, patrzą na siebie. Jeszcze po kogoś z kliniki ze Szczecina czy z Poznania dzwoniли. Ale... – Rozłożyła ręce, jakby to ona stawiała diagnozę, która wymyka się jej medycznej wiedzy. – Bóg raczy wiedzieć, co jest. – Zrobiło mi się jej żal. Gdybym znalazła w sobie więcej odwagi, może podeszłabym bliżej, może nawet objęłabym ją ramieniem. Ale nie potrafiłam. Zawsze byłam kiepska w pocieszaniu, choć w duchu mocno przeżywałam cudze krzywdy. – Nic, tylko ja tak sobie myślę – odpoczywa! Tyle ją spotkało! To i ma od czego wytchnienia zaznać! – powiedziała żywiej. Nagle wyciągnęła spod pościeli jeden kamień. Podała mi go na otwartej dłoni. – Ciepły! Bo życie w nim jest... Jej życie. W twoim też. Wyczuź go. Pozwól, by przemówił... Jeśli

połączysz go ze sobą, będzie ci służył. Ochroni cię przed złem, przyciągnie do ciebie miłość, szczęście... No, weź! – Wciąż wyciągała do mnie dłoń. – Przekaż mu swoje myśli, niech go przenikną, niech dotrą do niej... – Wzdrygnęłam się, bo to, co mówiła, było kompletnie niedorzeczne, ale wzięłam kamień do ręki. Nie żebym przejęła się jej słowami, ale coś mi mówiło, że nie mam prawa robić jej przykrości. Kamień jak kamień. Zamknęłam go ciasno w dłoni. Rzeczywiście był ciepły. Poczułam, jak dziwny prąd przeszywa moją rękę i zaraz jakby ktoś przesuwiał gorącym rysikiem wzdłuż żyły. Pewnie to od tego nagłego chłodu, który ogarnął świat. I jeszcze od przemęczenia. Przecież nie mogłam dopuścić do siebie myśli, że w tych otoczkach o zupełnie przeciętnym wyglądzie tkwi jakaś magiczna moc. – Czujesz? – spytała, wpatrując się we mnie. W jej spojrzeniu było coś frapującego. Może przez to, że na tle tej wysuszonej, pomarszczonej twarzy jej oczy zdawały się świecić żywym blaskiem. Nie było w nich owej mętności, braku wyrazu, co zdarza się u ludzi starych, o których powiada się, że mają wypalone oczy.

Uśmiechnęłam się półgębkiem i oddałam kamień Esterze. Odłożyła go na miejsce. Poprawiła pościel. Wydawało mi się, że znów do mnie mrugnęła. Przypomniało mi to babcię Henię, która zawsze teatralnie przymykała oczy, ilekroć przyszłam do niej z jakimś problemem. Nie mówiła nic, tylko patrzyła na mnie, a gdy skończyłam, jej powieki opadały szybko i zaraz się podnosiły, a ja odczytywałam w tym spojrzeniu zapewnienie: „Będzie dobrze, Irena. Będzie dobrze”. I było!

Pamiętam, jak kilkanaście lat temu Wiktor wrócił do domu wcześniej niż zazwyczaj. „A to co? Święto lasu, że tak wcześniej? A ja jeszcze z obiadem w polu”, rzuciłam przez ramię. Cisza. Byłam pewna, że wpadł do domu tylko na chwilę

i zaraz pojedzie z powrotem do firmy. Ostatnio rozrastała się, powstawały nowe agendy, coraz to nowe produkty pojawiały się na rynku. Wiązało się to z całym cyklem marketingowym, za który był odpowiedzialny. Czasem biadolił, że wszystko na jego głowie, ale pod tym narzekaniem kryło się poczucie własnej wyjątkowości i niezbędności. Nie chciałam mu dokuczać, choć korciło mnie, zwłaszcza gdy znikał na całe dni, a często i na noc, żeby rzucić mu w nos, że nie ma ludzi niezastąpionych. „Nie musisz się spieszyć. Nie jestem głodny”, odpowiedział mi tamtego dnia. Coś mnie zaniepokoiło w jego tonie. Był nienaturalnie spokojny, pozbawiony energii. Odwróciłam się. Odłożyłam ziemniaka i obierak, wytarłam rękę w zawieszoną na relingu ścierkę. Dopiero wtedy zauważyłam, że twarz mojego męża wyglądała jak odlana z wosku. Był bez wyrazu. Rysa na czole, która pojawiła się niedawno (żartowałam, że to znak jego starzenia się, ale w rzeczywistości zmarszczka była wynikiem ciągłego marszczenia się, gdy mrużył oczy), teraz pogłębiła się, co dodawało mu grozy. Wzmogło to moją czujność. W żołądku poczułam zaciskający się supeł, który pojawiał się zawsze, ilekroć zdarzyło się coś złego. Był jak fatalny barometr. Bałam się spytać, co się dzieje. Pomyślałam o mamie, choć wtedy jeszcze nie była tak chora. Rak pojawił się dużo później. Poza tym nawet gdyby, to dlaczego on miałby wiedzieć wcześniej. Kolejno przeleciały mi przez głowę dziewczynki. Tak! Na pewno któreś coś się stało. Kornela. Jej zawsze coś się przydarzało. „Co się stało? Nie trzymaj mnie w takim napięciu!”, dłużej już nie mogłam wytrzymać. Wtedy Wiktor, nie patrząc na mnie, rzekł: „Wyrzucili mnie. Właściwie sam się wyrzuciłem”. Pomyślałam sobie, że to jakiś głupi żart, że chce mnie zdenerwować. „Ale jak to? Co ty mówisz? Przecież bez ciebie... Nie żartuj...”. Przerwał

mi: „Zapewniam cię, że jestem jak najbardziej daleki od żartów”. Wtedy dotarło do mnie, że stało się coś złego. Naprawdę złego. To był bardzo trudny czas. Mieliśmy więcej długów niż włosów na głowie. Nowe mieszkanie, dziewczyny na studiach. Ale najgorsze było jego milczenie. Całymi dniami przesiadywał przed telewizorem i milczał. Nie miałam komu się wyzalić. Zresztą nie chciałam. Właśnie wtedy chodziłam do babci Heni. Bo ona nigdy nie moralizowała, nie wypominała jak moja mama, kiedy coś wyszło nie tak, jak planowałam, a ona radziła inaczej. Babcia Henia tylko przytulała mnie do swoich obfitych piersi, uśmiechała się, a jej oczy mówiły: „Będzie dobrze, Irena. Będzie dobrze”. I było. Wkrótce Wiktor został prezesem Metpolu, spłaciliśmy mieszkanie szybciej, niż zakładał plan kredytowy. Było dobrze.

\*\*\*

– Ojoj! – usłyszałam za sobą głos pielęgniarki dyżurnej. – Kochaniutka! Prosiłam, żeby nie cudować! Tu jest szpital i proszę mi uwierzyć, mamy sprawdzone metody leczenia! Proszę natychmiast pozbierać te kamienie, bo będę zmuszona poskarżyć się ordynatorowi. – Korpulentna dziewczyna z tlenionymi włosami chwyciła energicznie rękę Ruty, odkręciła kurek wen-flonu i zaaplikowała lek. – Matko Święta! Co to za kamienne kręgi? – wykrzyknęła z oburzeniem. Odkryła pościel i szybkimi ruchami zaczęła zagarniać kamienie do ręki. Podawała je matce Ruty, a ta, zanim wrzuciła je do parcianego worka, chwilę przytrzymała je w ręce. Miała przy tym zamknięte oczy, jakby bała się, że coś może zakłócić to niezwykle „badanie” struktury, temperatury, kształtu. – I to już któryś raz z rzędu! Skaranie boskie! – zrzędziła siostra. Byłam pewna, że skierowała te słowa do mnie, bo

odwróciła głowę i patrzyła na mnie, szukając zrozumienia. Spuściłam wzrok, ponieważ – jakby wbrew sobie – to nie z pielęgniarką się solidaryzowałam, lecz z tą starą kobietą i z tym milczącym mężczyzną, którzy niczym nieugięci strażnicy nie odstępowali chorej na krok.

W cienkim, przezroczystym wężyku wolno płynęło lekarstwo. Patrzyłam, jak sączy się leniwie. Trudno było uwierzyć, że te pojedyncze krople, jedna za drugą, są w stanie zmienić cokolwiek, potwierdzić odwieczną prawdę o drażeniu skały. Pielęgniarka, jakby czytała w moich myślach, podregulowała przycisk na plastikowej rurce i przez chwilę sprawdzała przepływ leku. Potem bardziej do siebie niż do kogoś rzekła:

– Przyspieszymy trochę, bo trzy dni będą zlatywały... A tu szkoda życia na leżenie... Prawda? – Spojrzała na starszą kobietę. – Mama niech przytrzyma trochę głowę chorej, to szybko poprawię łóżko. – Zręcznie wygładziła płaską poduszkę, strzepnęła okruchy. Na koniec zmierzyła Rucie ciśnienie, z kieszonki na obfitej piersi wyjęła długopis i zapisała coś na karcie włożonej w metalową tabliczkę.

Ona – Ruta – poddawała się wszystkim tym zabiegom zupełnie bezwolnie, jakby była manekinem albo szmacianą lalką. Łączyła w sobie dostojeństwo i miękkość. Mogła mieć równie dobrze czterdzieści lat, jak i dwadzieścia kilka. Była bez wieku. Patrząc na jej rodziców, trudno było uwierzyć, by owe dwadzieścia lat było możliwe, ale z drugiej strony... Czterdzieści lat! To już spory bagaż doświadczeń! Musiałby się zaznaczyć na jej twarzy, odbić na sylwetce... Czas, nawet najbardziej łagodny, musiał pozostawić ślad. Musiał, lecz nie zostawił. Z niewiadomych przyczyn oszczędził ją.

Kiedy pielęgniarka wyszła, Estera po raz kolejny do mnie

mrugnęła, zupełnie jakbyśmy były sojuszniczkami w jednej sprawie.

– Niech każdy robi swoje... – szepnęła bardziej do siebie niż do mnie i zaczęła po kolei wyciągać kamienie z woreczka. Nie zamierzałam jej powstrzymać. W końcu to matka i córka. Co mi do tego. Gdy skończyła, strzepnęła dłonie, a potem je uniosła. Znow jakby chwyciła niewidzialne sznurki. – Ona tu jest. – Skierowała wzrok gdzieś między ścianę, na której wisiał święty obrazek, a okno. Potem przycisnęła palec do ust. I znow uniosła ręce. – Ciii... Ona... tu jest... Nie sama... Są wszyscy... Oni nigdy nie znikają. Słyszę ich wszystkich.

To ja – Ruta. Ciałem i duchem jestem.

Widzenie drugie – Hanusza

*Widzę Hanuszę. Piękna jest. Smagła. O skórze lśniącej jak złota żmija. Gładkiej i aksamitnej. Zupełnie jak ta Esmeralda z katedry Najświętszej Marii Panny w Paryżu. Niesie z sobą zapach lasu. Niesie z sobą popiół i krew! W oczy ludzi urodą kłuje, w mężczyznach takie pożądanie rozbudza, że ujrzawszy ją, chuci swej powstrzymać nie potrafią i z niechęcią na swoje żony – podeformowane, pomęczone po porodach – spoglądają. Las jej domem i jej samotnością. Jak roślina bez korzeni, niesiona wiatrem, jest tu i tam.*

*Powiadają, że to Cyganicha, którą przeklęto na wieki za to, że się z Niemcem spoufalila, a i od Polaków przybyłych tu ze wszystkich stron świata dobra nie zaznała i nie zazna. I nic jej*



*przed nienawiścią ludzi, co to noszą w sercu i żywią nie swoją pamięć, nie może uchronić. I może nie to jest jej największym grzechem, że Cyganka i że ładna. Ale to, że ten Niemiec, którego tu za nią przygnał los, winien jest śmierci wielu Żydów. Że już od dziecka ani okiem nie mrugnął, gdy będąc w Hitler-jugend, miał do Żydów strzelać. Jak do kaczek celował. Tylko paf, paf! I padali ludzie na progach swoich domów.*

*Widzę ją i widzę jego. Jestem pamięcią. Przeszłością niedającą się wymazać jestem. Na nią natrafił dwa razy. Co już można by poczytać za przeznaczenie. Pierwszy raz w czterdziestym drugim roku, gdy zobaczył ją w transporcie wiozącym Cyganów do getta w Łodzi. Akurat wracał z Neuwedell<sup>7</sup>. Z krótkiego urlopu, który dostał na okoliczność śmierci matki. W Kreuz<sup>8</sup> czekał na pociąg do Posen<sup>9</sup>. Na stację wtoczyła się ciężka lokomotywa ciągnąca niekończący się sznur wagonów, w których jechali Cyganie. Tabor się zatrzymał. Jeden ze strażników, popychając lufą swojego manlichera drobną dziewczynę, wyklinał najgorszymi słowami. On przyglądał się tej scenie z dziwnym zainteresowaniem. Dziewczyna przypomniła mu sąsiadkę. Żydówkę. Mieszkali obok siebie.*

*Jestem pieśnią dzieciństwa.*

*W pamięci rysowały się obrazy sprzed kilku lat, lecz zamazane i wyblakłe, jakby minęły całe wieki. W uszach ozwały się dźwięki wyliczanki, jaka towarzyszyła grze w drejdel: „Ajndł bajndł cykier sztajndł, inki pinki leguminki, będzie Iwan pasał świnki, erste klas, cwajte klas, ty, zajączku, dalej w las”. Nieprzyjemne uczucie rozpierania w okolicy mostka nakazało wziąć głęboki oddech. Starał się odegnać natrętne wspomnienie. Przeszedł nieco dalej, lecz ta scena nie dawała mu spokoju. Może to przez matkę. Gdy otrzymał wiadomość o pogarszającym się stanie jej zdrowia, zaraz wystarał się o urlop. Był pupilem*

*gruppenführera Wolfa i załatwienie tak błahej sprawy przyszło mu nader łatwo. Bo też nikt tak jak on nie potrafił w białych rękawiczkach, bez śladu złości, bez klątw i złorzeczeń, wysłać do czarta gnuśnych Cyganów, brudnych Żydów czy leniwych Polaków. Z szarmancką galanterią zapraszał na śmierć. Bez mrugnięcia okiem. Dżentelmen w białych rękawiczkach.*

*Matka była nieprzytomna. Lekarz nie pozostawiał żadnych złudzeń – jej godziny były policzone. Peter żałował, że nie ma Eliasza Pelca, który uzdrowił jego ojca; tylko on uleczyłby matkę. Ale nie było go. Nie było nikogo z nich: pani Racheli z małym Jonaszem ani rabina Meira z jego chorą córką Avivą, ani starego Szlomo, który wiedział o wszystkim i nawet przepowiedział ten dzień, który stał się dla niego dniem końca, ani rzeczonoego sławnego Eliasza Pelca. Ani też jej – Estery.*

*Widzę peron. Oprócz zawiadowcy i kilku rozprawiających o czymś mężczyzn nie ma tu nic zajmującego. Do chwili gdy ten gburowaty żołnierz nie wywleka jak truchła z wagonu dziewczyny, klnąc pod nosem i kolbą popychając skuloną postać w niczym nieprzypominającą człowieka. Nie było nic szczególnego w tym obrazie. Zwyczajna wojenna rzeczywistość. Może poza spokojem, jaki malował się na jej twarzy. Młody oficer przystaje, zaintrygowany zdarzeniem. Jest pewien, że dziewczyna w czymś zawiniła i ów strażnik z dystynkcjami zaledwie sturmmanna zamierza się z nią rozprawić. Spomiędzy wagonowych desek śledzi ich kilkadziesiąt par oczu, dzikich i wystraszonych. Ale żaden głos stamtąd nie dochodzi.*

*Jestem lękiem. Strachem przeszywającym na wskroś, odbierającym oddech.*

*Na peronie słyszeć tylko świszczące sapanie lokomotywy, ciężkie jak oddech umierającego. Widzę Niemca. Nie ma pojęcia, co go tknęło, ale podchodzi do szeregowego. Nie bardzo*

*zależy mu na prezentacji. Zresztą epolety oberführera zwalniają go z wszelkiego tłumaczenia.*

*– O co chodzi z tą Cyganką? – pyta tonem zdradzającym wyższość. – Dokąd ją prowadzisz?*

*Podwładny salutuje, stuka obcasami, przyjmuje postawę i recytuje:*

*– Ta suka napłuła mi w twarz, gdy starałem się uciszyć brudnego Cygana rzępolącego na skrzypkach! Ścierwo! – W tym momencie kolba karabinu uderza dziewczynę w twarz, nieopodal oka, które z miejsca podbiega krwią. I tylko czarna niczym węgiel źrenica wskazuje, że to wciąż jest oko. Dziewczyna natomiast nawet nie drgnie.*

*Jestem bólem i wstydem.*

*W tej chwili zawiadowca daje sygnał do odjazdu.*

*– Zostaw ją mnie! Zrobię, co trzeba! – nakazuje Richt.*

*Strażnik zastanawia się chwilę, ale zaraz macha ręką w powietrzu. Dźga karabinem dziewczynę w okolice piersi, klnie pod nosem i wraca do pociągu, który już wolno toczy się po torach. Tak to to, tak to to, tak... Spod żelaznych kół tryskają iskry.*

*– Jak ci na imię? – pyta łagodnie, gdy znikają za rogiem okazałego budynku dworcowego.*

*Ona milczy, łypiąc nieufnie na oficera.*

*Jestem opowieścią!*

*Na dworze zmierzcha. Ostatnie promienie słońca oświetlają pobliskie budynki. Po drugiej stronie Wilhelmstrasse słabym światłem tlą się okna Cafe Diele. W budynku Zentralhotel, przylegającym do kawiarni, nie ma nikogo, jakiś pojedynczy cień snuje się po recepcji, której okna wychodzą na główną arterię miasta.*

*– Pójdziemy tam. – Niemiec wskazuje ruchem głowy hotel.*

*Dziewczyna przystaje. Nie rozumie sytuacji, w jakiej się znalazła, lecz wie, że cokolwiek się stanie, jest zupełnie bezwolna wobec losu. Właściwie jest jej wszystko jedno. Od kiedy hitlerowcy zapakowali Sintich do ciężarówek, a potem wysypali ich jak śmieci w Arnswalde i poganiając kolbami, pozamykali w wagonach, była pewna, że to kres.*

*Na końcu ulicy dostrzegają policyjny patrol. Peter szybko, ale bez oznak paniki zdejmuje wojskowy płaszcz i zarzuca na ramiona dziewczyny. Podnosi wysoko kołnierz, by ukryć jej twarz. Obejmuje ją i przygarnia do siebie. Wyglądają jak para kochanków. Przyspieszają kroku, by jak najszybciej znaleźć się w hotelu.*

*Właścicielka – starsza Niemka o kamiennej twarzy – zdaje się w ogóle nie zwracać uwagi na gości.*

*– Heil Hitler! – pozdrawia ją Peter, dając tym samym wyraz lojalności wobec Führera, którego ogromny portret wieńczy główną ścianę pomieszczenia. Hotelarka jest jednak całkiem obojętna. Beznamiętnym gestem podaje klucz do pokoju. Richt jest jej wdzięczny za ten brak zainteresowania. – Proszę przynieść do pokoju coś do zjedzenia i wino. – Mruga porozumiewawczo, choć frau Minge tego też nie raczy odnotować.*

*– Będzie z tym pewien kłopot, bo kuchnia o tej porze już nieczynna – rzecze sucho.*

*Peter Richt rzuca zwinięty rulon banknotów i sobie właściwym tonem oznajmia:*

*– Liczę, że coś pani wymyśli.*

*Widzę pokój hotelowy. Jest duży, lecz przytulny. W powietrzu unosi się intensywny zapach, który łaskocze nozdrza i czyni pomieszczenie dusznym mimo uchylonych w oknach lufcików. Może od bukietu kwiatów lawendy*

*sterczących dumnie na sztywnych łądyżkach. Po prawej stronie od okna stoi okazała sekretera. Nadstawa jest otwarta, górna część mieści jakieś książki o szlachetnie wyglądających grzbietach, natomiast część dolna wygląda tak, jakby właśnie ktoś od niej odszedł, zostawiwszy kartkę i pióro zatknięte w finezyjnym kałamarzu stojącym na marmurowej podstawie. Skrzynia mebla, wyłożona markieterią w typie Boulle, kryje szuflady i wygląda na bardzo cenną. Po przeciwnej stronie stoi wielkie łoże małżeńskie, perfekcyjnie zasłane żakardową narzutą w stylu angielskim – w takiej samej kolorystyce co ciężkie zasłony zebrane przy ścianie mosiężną klamrą. Obok na toaletce stoi emaliowana miednica z lekko wyszczerbionymi brzegami. W lustrze obijają się ich sylwetki. Gdyby popatrzeć na nich z boku, można by odnieść wrażenie, że oboje są zażenowani swoją obecnością oraz miejscem, w którym znaleźli się dziwnym zbiegiem okoliczności. I o ile mężczyzna mniej zajmuje się miejscem, a bardziej trapi go myśl, jak ma wyjaśnić tej Cygance niezbyt roztropnie odbitej żołnierzowi, po co przywiódł ją do tego hotelu, i co ma dalej z nią począć, o tyle ona wodzi wzrokiem po pokoju, który wydaje się jej baśniową komnatą, o jakiej nie słyszała nawet podczas najbardziej wyrafinowanych bajął Mury. A nikt, zupełnie nikt z Sintich w taborze, nie śmiałby zaprzeczyć temu, że Mura wielki dar miała do cudownych opowieści. Szeptano między sobą, że młodość spędziła w domach bogatych gadziów w Szczecinie, tańcząc na ucztach i spotkaniach, do czasu gdy niczym Salome zażądała może nie tyle głowy, ile serca syna znanego podówczas przemysłowca. Ten zaś, by uchronić pierworodnego przed czarem Cyganichy, przegnał ją, nakazując opłacanej przez siebie żandarmerii zaszczenie całej gminy osiedlonej na peryferiach miasta. Ale to dzieje tak dawne, że byle dzieciak mógłby zakwestionować ich*

*wiarygodność.*

*– Nie wiem, co zrobiłem. Chyba mnie jakiś diabeł opętał – mężczyzna mówi jakby do siebie. Wciąż boi się spojrzeć w jej stronę. Wyobraża sobie nawet, że dziewczyna ucieka. Znika. Rozpływa się jak przerwany sen.*

*Ale ona nagle odzywa się cicho:*

*– Mówią na mnie Hanusza, ale mam na imię Cytryna. – Trze wierzchem dłoni zranione miejsce. Twarz wokół oka nabrzmiała i widać teraz tylko niewielką szparkę.*

*– Cytryna? Co to za imię? – pytanie zawisa w powietrzu. Wzrusza ramionami, kręci głową. – Dla mnie będziesz Esmeraldą. Wiesz, kim była Esmeralda? Słyszałaś o Wiktorze Hugo? Paryżu? – Dziewczyna milczy. – Połóż się. Ja przedrzemię na fotelu. Nie wiem, dlaczego to robię. Nie wiem. Doprawdy powinienem pozwolić, by ten gbur cię zastrzelił... Albo sam powinienem cię zabić.*

*Widzę, jak na ułamek sekundy w zdrowym oku Cyganki pojawia się cień lęku. Ale zaraz jego miejsce zajmuje hardość, która zdaje się mówić: Zabij!*

*Jestem nadzieją, która nie ma prawa się pojawić.*

*\*\*\**

*Pamiętam ich. Wciąż są w moich myślach.*

*Spędzili w Zentralhotel cztery dni. Potem ona skryła się nieopodal Berlinchen, a on wrócił do Posen.*

*Kiedy zawierucha wojenna odchodziła i świat próbował normalnieć, Peter Richt odszukał Esmeraldę. To był ów drugi raz. Nie pytał o nic. Ona też nie była ciekawa. Lata minione poszły w niepamięć. Kamień w wodę. Żyli razem. A kiedy na świat przyszedł Juruś, historia upomniała się o Petera Richta. I już ani on za przeszłość, ani ona za teraźniejszość kary nie*

*mogli uniknąć. Bo wiadomo, że człowiek drugiemu najgorsze  
świństwo wybaczy i zapomni, ale prawdziwej miłości darować  
nie umie. Dosięły ich pamięć i nienawiść ludzka. Stara  
Brechtowa, co to mieszkała w mieście od zawsze, rozpoznała  
w nim esesmana, który w czasie wojny w okolicy Bóg raczy  
wiedzieć po kiego diabła zjawiał się pod osłoną nocy i tak samo  
znikał, dolala oliwy do ognia, bo Cyganichy i tak nikt w okolicy  
nie trawił. Ludzkie języki odebrały mu życie, a ją – Hanuszę  
Esmeraldę – wystawiły na złorzeczenia i pogardę. I za nic mieli  
to, że z miłości tych dwojga pogardzanych taki Juruś znalazł się  
na tym bożym świecie. Bogu ducha winien.*

*Jestem winą i karą.*

*Wciąż to widzę...*

*Za przeszłość matki i ojca dymem niczym kadzidłem  
oczyszczającym Juruś zapłacił cenę najwyższą.*

*\*\*\**

*Matka i ojciec... I ona. Plącze się przy mnie. Świat za  
oknem jak na fotografii. Strzępki obłoków rzucone na niebo  
niczym kłębki waty. Wszystko jest transparentne. Jestem  
teraźniejszością. Na obrzeżach umysłu przetwarzam świat. Sny  
zmiksowane z rzeczywistością.*

*Chcę dotknąć jej ręki, ale tylko zaciskam dłonie. Są ciężkie  
i puste. Czuję, jakbym rozgarniała zwały bagna, by dotrzeć do  
dna. Chcę się uwolnić.*

*Tkwię w przeszłości.*

*7 Drawno.*

*8 Krzyż.*

*9 Poznań.*

### 3.

#### Opowieść Estery

„Pozwól mi pójść na pole zbierać kłosa za tym, który będzie mnie darzył życzliwością”

*Biblia Tysiąclecia, Rt, 2,2*

Ledwie za pielęgniarką zamknęły się drzwi, a szpitalny korytarz wypełnił się ich przeciągłym jękiem, Estera już misternie gładziła poukładane wokół córki kamienie. Przez twarz kobiety przebiegł nerw, ledwie widoczny, ale pozostawił po sobie napięcie. Wyglądała tak, jakby nagle przed jej oczami pojawił się jakiś obraz. Skuliła się w sobie, ramiona jej opadły. Była naprawdę bardzo stara i bardzo zmęczona.

Anzelm obserwował to w milczeniu. Może by i co powiedział, ale co miał mówić? Jak miał nakazywać jej, by przestała, skoro sam wciąż miał w pamięci tamten czas, kiedy Estera, całkiem jak teraz ich córka, leżała na tyłach Wiktowej chałupy i choć żadnej choroby znaleźć u niej nie można było, to leżała jak ta Śpiąca Królewna z dziecięcej baśni długie letnie miesiące. Ileż to razy zachodził do niej, by oparty o framugę drzwi, postać i popatrzeć na nią z nieprzemijającym zachwytem jak na tę Przenajświętszą Panią w zapomnianym kościele w Hohengrape. I tak jak wówczas, tak i teraz w ogóle się nie odzywał. Bo mimo że czas położył na nim już niemal dziewięćdziesiąty krzyżyk, to język wciąż miał sztywny, nieskory do gadania, a słowa, których pełno miał w głowie – i to jakich pięknych!, jakich wyszukanych! – nijak nie chciały



przemienić się w dźwięki.

Stara chyba czytała w jego myślach, bo naraz odezwała się cicho głosem, w którym pobrzmiwały dziwna tęsknota, smutek, a może nuta nadziei:

– Ja też tak miałam... I widać żyję. Niedaleko pada jabłko...

Jej oczy zaciągnęły się dziwną mgłą, jakby ktoś powlókł je mleczną farbą.

\*\*\*

Był rok czterdziesty piąty. Znowu zima! Estera nie była pewna, czy to wciąż ta sama zima. Ta pełna bieli, chłodu i strachu, w czasie której uciekali z Siede. W nieznane, przez ostępy leśne, popychani neodpartą siłą przetrwania. Z dala od ludzi. Wszystkich. Zupełnie pogubieni w życiu, nie mając żadnej pewności, kto przyjaciel, kto zaś wróg najzagorzalszy. O świecie wiedzieli tyle tylko, ile przypadkiem przedostało się do ich uszu w majątku Kalnsteinów. A ileż tego mogło być, skoro oboje jak ognia unikali innych? On czasem skinął głową do któregoś z robotników folwarcznych, ale trzymali go na dystans, nie ufali mu, bo – jak szeptano między sobą – ani z niego Polak, ani Niemiec. Ot, ni pies, ni wydra, w żaden sposób takiemu zaufać nie można! Mało co mówił. Chował się gdzieś po obejściu. Ze zwierzętami najlepiej się dogadywał. Ona natomiast od samiotkiego początku, gdy los ją rzucił do majątku Gudrun, robiła wszystko, by na nikogo się nie napatoczyć. Poruszała się po obejściu jak cień. Znikała bezszelestnie, gdy tylko wyczuła kogoś w pobliżu. Bała się ludzi, dźwięków – niczym płocha zwierzyna. Uciekała zaraz do swojej facjaty, którą Gudrun przystosowała do jej potrzeb. Anzelm odświeżył ściany, zniósł ze strychu łóżko po którymś z młodych Kalnsteinów, komodę,

którą hrabina sprowadziła niegdyś z Prowansji, a która zupełnie nie konweniowała z obecną aranżacją salonu. Tam, na górze, Estera chowała się przed światem. Lubiła wyglądać przez niewielkie okno, stąd bowiem ponad drzewami porastającymi dziedziniec rozciągał się widok na las i jeszcze dalej, aż po horyzont, na rozległe łąki, gdzie o zachodzie zapadało słońce, zupełnie jakby ktoś wsuwał je do wielkiej kieszeni, pozostawiając na niebie czerwone, ogniste rozlewiska. Nie potrzebowała nikogo. Oprócz hrabiny. To z nią – bywało – zamieniła kilka słów. Ale nigdy o wojnie, bo obie nienawidziły wojny z całego serca. Zarówno z jedną, jak i z drugą obeszła się ona niezwykle podle, osierocając je z tych, którzy byli im najdrożsi.

\*\*\*

Estera leżała. Pod wielką puchatą pierzyną. Sztywnymi jeszcze palcami ugniatała lekuchny puch, natrafiając na ostre stosiny, które niechcący wpadły podczas darcia pierza do czerwonej wsypy dobrego gatunku, zdobytej przez Wiktę od młodej Niemki z miasta. Już w kilka dni po zakończeniu wojny Heidi Frank przybiegła do Wikty zalana łzami, by ta pomogła jej synkowi. Dzieciak leżał kilka tygodni rozpalony, najpierw w szpitalu miejskim, ale gdy za progiem miasta gorzała wojna i Ruskie szykowali się, by objąć komendanturę, Niemka zabrała chłopca do domu. Za słaby był na podróż, choć co niektórzy powiadali, że i tak, i tak nie przeżyje, więc lepiej niech kobieta zbiera manatki i uchodzi. Heidi Frank nawet słyszeć nie chciała, by w obcy świat ruszać z chorym dzieckiem, została więc w domu przy Feldstrasse, opustoszałym już ze wszystkiego, co dało się w pośpiechu zapakować na wóz pełen dobytku innych uciekinierów. Zdana na siebie i na los. Dom stał nieco na

uboczu, osłonięty od drogi szpalerem rosnących świerków, które przed wojną teść Heidi chciał wykarczować, ale syn, młody Eugen Frank, przeciwstawił się, tłumacząc to spokojem, ucieczką od wścibskich oczu i świeżym zapachem świerku. Z czasem drzewa całkiem zasłoniły dom i tylko wydeptana ścieżka zdradzała jego istnienie. Teraz, gdy wojna rzuciła na miasto czerwone jarzmo, położenie domu zdawało się dla Heidi zbawienne. Jednak i tu wreszcie coraz głośniejszy słychać było śpiew pijanych czerwonoarmistów i warkot silników. Oszalała ze strachu o siebie i o dziecko, któregoś razu zawiązała chorego w stare palto i ciemną nocą zniosła go do chaty Wikty. Kilka dni chłopak przeleżał w ciemnej izbie obok nieświadomej niczego Estery, co i rusz poddawany sekretnym praktykom Wikty. Ta naznosiła do izby kamieni, poukładała je wzdłuż ciała chłopaka i Estery. Co jakiś czas przychodziła i zamykała w zwiniętej dłoni kolejne minerały, deliberując nad nimi. Nocą wносиła je przed chałupę, by wchłonęły w siebie moc księżyca, potem zaś otulała je gałgankami, by energia się nie mieszała, i na powrót układała, tworząc z nich obrys ciała.

Wreszcie któregoś dnia chłopak powiódł po obejściu przytomnym wzrokiem. Patrzył na wybiałkowane wapnem ściany ozdobione kolorowymi motywami, na wyciosane z drewna figurki, które nie przypominały żadnego ze świętych, jakich chłopak znał z kościoła, na podwieszane u powały kępy suszonych ziół: szaławii, lawendy, werbeny, warkocze czosnku, cebuli, powiązane kłaczka tataraku, perzu, korzenie prawoślazu i innych roślin. Odurzający zapach podrażnił nozdrza, tak że wątlym ciałem dziecka targnęło kichanie, i chłopiec z płaczem zawołał matkę. Był to całkiem zdrowy płacz, w którym za grosz nie znać było ciężkiej choroby. Heidi Frank chciała nieba przychylić starej Wikcie, lecz ta tylko zżymała się, słuchając

o jakiejś zapłacie.

– Idźcie i szukajcie swoich, bo tu dla was miejsca nie będzie. Młoda jesteś i ładna. Im – tu stara skinęła głową gdzieś ponad wszystkim – na oczy się nie pchaj. – Niemka z wdzięczności pozostawiła Wikcie czerwoną jak krew wyspę. Bo i na co jej była, skoro Bóg raczył wiedzieć gdzie i pod czym przyjdzie jej spać.

Estera jednak nadal pogrążona była w głębokim śnie.

– Widać jeszcze nie jej pora – rzekła Wikta do Anzelma, widząc pytanie w jego oczach.

\*\*\*

Obrazy przesuwwały się w głowie Estery. Coraz to inne. Zupełnie jakby z talii wysypały się komuś karty z różnymi scenami, postaciami, krajobrazami. Z dynamicznej mozaiki usiłowała sklecić jakąś spójną całość, ale wciąż coś umykało, jeden element zastępował kolejny i następny, i następny. Żadnego punktu zaczepienia. Rozbieganym wzrokiem przesuwiała po izbie. Niewielkie okno z rozpiętymi płachtami żakardowej tkaniny na wystruganych z robinii kołkach przesączało niewiele światła, wzrok Estery musiał się długo przyzwyczajać, by w tej nieobznajomionej przestrzeni wychwycić coś znanego. Ale mimo wszelkich wysiłków, mimo szperania w myślach niczego, co mogłoby być jej bliskie, w tej izbie nie znalazła.

– No! Czas już na ciebie, dziewczyno – usłyszała głos jakby z bardzo daleka. Był zupełnie obcy. Dochodził jednak z naprzeciwka, za ledwie na wyciągnięcie ręki. – Widać nieźle cię życie przycisnęło, skoro potrzeba ci było tyle czasu, by wrócić – dorzuciła Wikta. Jedną ręką opierała się o framugę, w drugiej trzymała wielką warząchew, którą akurat mieszała

w garnku pełnym kwiatów kocanki, dzwonków i innych roślin. W świetle drzwi wyglądała jak z innego świata.

Estera wzdrygnęła się w panice wielkiej, gotowa do ucieczki, ale zaraz zrozumiała, że nie da rady. Ciało, choć w środku zdawało się już całkiem zdrowe, słabe było jeszcze i niezborne. Ledwie uniosła głowę, a już mroczki tańczyły jej przed oczyma i musiała z powrotem legnąć na poduszce, by świat wrócił na swoje miejsce.

– Nie masz co się lękać – uspokajała Wikta, widząc jej niepokój. Przystąpiła kilka kroków i znalazła się tuż przy dziewczynie. Zajrzała jej głęboko w oczy, jakby miała zamiar dosięgnąć jej duszy. – Tyle czasu tu przeleżałaś bez życia, że gdyby miało ci się stać co złego, to... to już by było po tobie. Jesteś u mnie. Wikta jestem. Różnie na mnie wołają i cuda-niewidy wymyślają... Jak to ludziska. Muszą sobie po swojemu świat poukładać, swój porządek ustalić. A czego nie umiejemy objaśnić lub prawdy nie mogą poznać, to zmyślą. Byle tylko luki w głowie nie zostawić. – Wikta wolnymi ruchami zbierała kamienie. Każdy z nich przytrzymała chwilę, jakby badała jego ciepłość, a potem obracała w dłoniach, gładziła, sprawdzała, czy aby na żadnym nie powstała rysa, czy nie rozpękł się od środka od tej energii wyciągniętej od dziewczyny, bo jeśli tak, to już nic po nim, do niczego się nie przysłuży. A jeśli któryś był cieplejszy niż inne, pocierała go rękami, jakby czekała, aż odda resztę ciepła. Potem zagarnęła z łoskotem wszystkie do wielkiej kieszeni fartucha. – Całe lato przespałaś. On już od zmysłów odchodził. Nie było dnia, by nie zaglądał – mówiła wolno i spokojnie, niepewna, czy Estera rozumie jej słowa. – Coraz to podchodził do łóżka i modlił się. Chyba... sama nie wiem – wzruszyła ramionami na dowód owej niepewności – bo słowa żadnego usłyszeć się nie dało. Tylko

chowal głowę w splecionych dłoniach i tkwił tak nieruchomo. – Zamyśliła się, jakby z wahaniem, czy mówić dalej, czy w ogóle warto mówić. Spojrzała, czy dziewczyna nie zasnęła, ale ta wpatrywała się w nią coraz bardziej przytomnie, więc stara mówiła: – Czasem noc go zastała. Nieraz myślałam, że przysnął, bo bywało, że świt go nachodził. Żal serce ściszał na ten widok. Trzeba mieć nie lada szczęście w życiu, by być tak kochaną... – westchnęła nostalgicznie, jakby nagle coś jej się przypomniało. Coś odległego, tak dalekiego, że już nie bolało, a tylko ćmiło gdzieś w dołku obok serca. Odzywało się tępym rwaniem jak zrosnięta kość, co to niby twarda, ale gdy wilgoć i ziąb, daje o sobie znać.

Estera przymknęła oczy. Była pewna, że to jakiś dziwny sen i wystarczy, że jeszcze raz zaciśnie mocno powieki i na powrót je otworzy, a sen zniknie. Rozpłynie się jak wszystkie inne, które śniły się jej w tym czasie.

– Dochodź do siebie, dochodź. Toż nieblisko masz. Tyle czasu... – pokiwała głową i odwróciła się do wyjścia. Zanim jednak zniknęła w sieni, rzuciła przez ramię: – Idę po niego! Niechaj już dłużej się nie frasuje... Ma, co swoje.

Leżała nieruchomo. Wciąż nie wierzyła, że to dzieje się naprawdę. Wytężała słuch, wciągała zapachy. Robiła wszystko, by oddzielić sen od jawy. Szukała w pamięci czegokolwiek, co pozwoliłoby nadać sens owym zlepkom wspomnień, związałoby w logiczny ciąg napływające do głowy obrazy. Jak na diabelskiej karuzeli kręciły się przed nią postacie matki i ojca, Herty Richt z panią Rachelą, jej małym Jonaszem, razem z rabinem Meirem i jego chorą córką Avivą, razem ze starym Szlomo, który wiedział o wszystkim i nawet przepowiedział ten dzień, który stał się dla niego dniem końca, i ze sławnym lekarzem Eliaszem Pelcem, który uratował ojca Petera Richta.

A zaraz za nimi Gudrun i Anzelm... I wszyscy odwracali od niej twarze i oddalali się, tworząc wielobarwny miraż jak suknia derwisza. Tylko jego twarz była nieruchoma...

Stał nad nią. Widać było, jak wzruszenie pojawia się na jego twarzy, jak z trudem powstrzymuje napływające do oczu łzy...

– Ty? – spytała. Ledwie zdołała wydobyć dźwięk ze ściśniętego gardła. Wyciągnęła dłoń, próbując dotknąć jego twarzy, by sprawdzić, czy nie jest kolejnym odcinkiem tego niekończącego się snu.

– Ja – odparł cicho. I to było wszystko, co rzekł. Bo co i jak miałby jej powiedzieć, skoro słowa splątały się w jego głowie, myśli nie dawały się wyrazić. Twarz miał chłodną, pod nosem jeszcze szklily mu się topniejące płatki śniegu. Kilkudniowy zarost dodawał mu lat. Pachniał żywicą i mrozem. Coraz wyraźniej rysował się w jej pamięci jego obraz. Wracał z szeregiem wspomnień: matka, Neuwedell, Peter, Herta, Siede, Gudrun... Anzelm. Wracał z tajonym bólem, którego nie mogła już ujarzmić. Wracał z zimowym krajobrazem, z nieprzebytą bielą. Wracał z chłodem przeszywającym ciało na wskroś, kłującym milionem drobnych igieł. – Nic nie mów – uprzedził ją, widząc, jak składa usta, by wydobyć słowa. – Potem, wszystko potem...

Chwilę jeszcze postął, przestępując z nogi na nogę, aż w końcu, spokojny jak nigdy dotąd, powiedział:

– Pójdę podłożyć ogień.

Jakby to była normalna rzecz. Jakby nie było tej pustej przestrzeni wielu miesięcy. Tak trzeba.

Mróz wymalował na szybach pióropusze paproci, zupełnie takie, jakie rosły tuż przy majątku Kalnsteinów; zrywał je, by odgonić od siebie i od niej złośliwe gzy, kiedy siedzieli na skraju

lasu, patrząc na pasące się nieopodal owce.

\*\*\*

Utkwili w chacie Wikty na dobre.

– Krzywda wam się tu nie dzieje – zapewniała, widząc w ich oczach pytanie: Co dalej?

Polubiła tych dwoje młodych ludzi. Każde z nich było z innego świata, ale każde jednakowo dzikie i zahukane. Czuła, że ani jedno, ani drugie wielkiego szczęścia w życiu nie zaznało. Samotne dusze. Odszczepieńcy. Jak ona.

\*\*\*

Dobrze im było u Wikty, ale dużo czasu upłynęło, zanim Estera, położywszy się, snem spokojnym do rana przetrwała. Wciąż jeszcze, gdy zamykała oczy, nachodziły ją koszmary. Leżała więc z szeroko rozwartymi powiekami i nasłuchiwała dźwięków. Nie bała się żadnego chrzęszczenia gałęzi w lesie, chrobotania pod podłogą, żadnych burz, grzmotów, błyskawic – to ludzkie głosy niestrudzenie napawały ją niewyobrażalnym strachem.

Z Anzelmem niewiele rozmawiali, raczej przypatrywali się sobie ukradkiem. A kiedy ich spojrzenia się krzyżowały, jedno i drugie płonęło rumieńcem i zaraz wracali do swoich zajęć. Język bardziej jej był potrzebny, by pozbyć się lęków i wydawać jemu dyspozycje: Niech zrobi, niech idzie, niech przyniesie.

Zawsze jednak przy tym się czerwieniła. On uśmiechał się pod wąsem na to jej polskie gadanie, ale nie odpowiadał. Szedł, choć i bez jej poleceń wiedział, co ma robić. Kiwał głową, wzruszał ramionami, mrugał – opanował cały zestaw gestów, które pozwalały mu porozumieć się z kobietami, z którymi dzielił przestrzeń.



Z czasem jednak Estera coraz lepiej rozumiała po polsku, głównie w rozmowie z Wiktą, która przekonywała, że bezpieczniej mówić w języku nowych osiedleńców niżli znienawidzonych Niemców. Uczyła ją polskiego, każąc powtarzać wszystko, jak małemu dziecku.

– To jest tasznik. Popatrz, powąchaj. – Podsuwała dziewczynie chybotliwą łądyżkę z rozetowymi liśćmi i białymi kwiatkami niczym mała miotełka. – Powtórz: ta-szszsz-nik, ta-szszsz-nik-przy „sz” szumiąc przeciągle i szeleszcząc jak liście w lesie. Esterze płątał się język, głoski miękkie, więzły w gardle, zlepiały się i drżały, ale stara cierpliwie nakazywała: – Jeszcze raz. – Układała teatralnie usta i zwijała język, jakby była instruktorką teatralną, a nie zwykłą Wiktą, która zna się na ziołach. – Zapamiętaj, tasznik dobry na krew, na żółć, na kobiece bóle. A to ośła stopa. – Podawała żółty podbiał jak maleńkie słońce. – Powtórz. A to wilcza jagoda. Wil-czczczcz-a ja-go-da-skandowała, przesadnie wymawiając „cz”.

– Paskudne to... Jak zaraza. Płód spędza, śmierć przynosi... Trzymaj. Tylko delikatnie. – Wkładała w dłonie Estery kulki wielkości małej wiśni, czarne, lśniące perły, ale zaraz odbierała je i nakazywała ręce myć i do oczu nie przykładać.

A potem Wikta nazywała jej świat po skrawkach, po kawałeczkach, tak że robił się coraz większy, rósł w Esterze nowymi dźwiękami, kolorami, kształtami, wychodził poza nią, poza Gudrun i niewielką przestrzeń Siede.

Anzelm całymi dniami kręcił się po obejściu, wyszukując robotę. Do miasta rzadko zachodził, bo wszystkie sprawy załatwiała Wikta, a poza tym nie lubił zostawiać Estery samej. Wciąż płocha była i dzika. Wiedział, że nic tego nie zmieni.

Taka jej natura. Człowiek pokiereszowany za młodu, poobijany jak skorupka jajka, co to w środku miękkie i gotowe w każdej chwili się rozlać i zostawić po sobie tylko lepką plamę, nie odrodzi się tak łatwo. Wciąż będzie nosił w sobie tę jątrzącą zadrę, toczącą ciało i głowę niczym złośliwy rak. Estera wciąż nie umiała się uwolnić od wspomnień, które z każdym świtem odradzały się w niej na nowo. Nieraz, bywało, przyłapała ją Wikta na tym, jak zadumana, nieobecna, z grymasem wykrzywiającym twarz zapadała się w sobie. Głucha i ślepa na wszystko. Domyślała się stara, że nielekkko było dziewczusze i choć młoda, krzyż na jej barkach ciężki. Nie nagabywała, nie męczyła pytaniami. Będzie chciała, sama opowie – a jak nie, to nie. Wikta była mądra, jej też życie nie szczędziło trosk. I podobnie jak Estera nieskora była się nimi dzielić. Rozumiała, że nikt nie ma prawa rozliczać nikogo z jego historii, spierać z emocji. Czasem człowiek jak studnia. Wpadnie taka troska, plum!, i przypadnie, ugrzęźnie na dnie. I żeby nie wiadomo co, to nijak na powierzchnię wydostać się nie może, tylko zakorzenia się i wrasta w żyły, pętle i trawi od środka. Bez końca.

\*\*\*

Chałupa, która nie poznała męskiej ręki, pozostawiała wiele do życzenia. Trzeba było połatać dach, wymienić zmurszałe dechy, uszczelnić okna, podciąć drzwi, które ciężkie były i solidne, ale trochę się zacinały i niemożliwie skrzypiały przy każdym ruchu, nieprzyjemnie drażniąc ucho. Wreszcie trzeba było ogrodzić teren, zaznaczyć wyraźnie terytorium – granicę między chatą Wikty a resztą świata, który zakradał się coraz bliżej pod próg Wiktowej chaty.

– Niech no posłucha! – zwróciła się Wikta do Anzelma,

gdy którąś noc nie ustawały głosy wokół chałupy. Zrazu wydawało jej się, że to zwierzyna dzika, ale zbyt dobrze знаła las, by szelestów leśnych od ludzkich kroków nie odróżnić. – Trzeba chałupę ogrodzić. Coraz więcej nowych w mieście. Nie zawsze jestem w stanie poznać swego. Do tej pory żyłam sama, to i strachu nie miałam. Bo i o co? O te marne parę lat życia, co to i tak niewiele warte? Ale teraz... Wy młodzi... Świat przed wami... A na nim, wierzaj mi, chłopaku, tyleż samo nienawiści co miłości. A kto wie, czy nie więcej...

Do miasta zjeżdżali ludzie ze wszystkich stron świata. Szukali lepszego życia, lecz szybko okazywało się, że wszechobecny chaos niweczył nadzieje wielu. Świat składał się ze zdarzeń, które nijak nie chciały się wprząc w logiczny ciąg, w jakikolwiek porządek. Dominowało poczucie bezładu, anarchii i niepewności. Brakowało wszystkiego. Życie było ciężkie, pracy nie za wiele, a jeśli już coś się trafiło, to za psie pieniądze; często nie było czego do garnka włożyć. Na sąsiada liczyć nie można było, bo jeden na drugiego wilkiem spoglądał. I mimo że czas wciąż płynął, a huk armat zamilkł, to trudno było się doszukiwać braterstwa czy choćby życzliwości względem siebie. Do tego dochodził lęk, że Niemcy wrócą i upomną się o swoje. Cicho, z trwogą opowiadano sobie o zaszytych w lesie oddziałach Werwolfu, to znów o zbiegłych Żydach, którzy wygłodniali, pozbawieni majątku i godności, zdeterminowani, upominali się o swoje, mordując dzieci, zagrabiając, co się napatoczy, wetując sobie lata pogardy. Z głębi Polski docierały złowieszcze meldunki o masowych gwałtach, rabunkach Sowieców. Byli więc tacy, których koniec wojny nagle odurzył, poczuli wolność wyrażającą się brakiem poszanowania jakichkolwiek praw. Byli i tacy, którzy bałagan historyczny postanowili wykorzystać. Rozpoczął się okres krwawych,

czasem zadawnionych porachunków, okres szabrowników, którzy w wojnie znajdowali usprawiedliwienie swoich niecznych czynów. Przeszłość i przyszłość nie istniały.

Mało to razy zdarzało się, że z nagłą płonęły chałupy albo leciały szyby z okien, demolowano budynki jeszcze niezagospodarowane, jakby nagle rodził się w głowach niszczycielski szal. Toteż nic dziwnego, że w ludziach przepędzonych częstokroć przez cały kraj, w ludziach pokiereszowanych, z jątrzącymi ranami po stracie najbliższych, w ludziach umęczonych wojną wciąż tliły się wzajemna niechęć i nieufność, a i bieda dnia codziennego nie pomagała. Co odważniejsi zapuszczali się w głąb lasu na grzyby, jagody lub upolować jakąś zwierzynę, choć lęk ich nie opuszczał, bo las coraz straszniejszy się wydawał. I to nie za sprawą dzikiej zwierzyny, lecz ludzi, którzy sobie zeń ostoję uczynili.

Anzelmowi dwa razy nie trzeba było powtarzać. Pomyślał, pokręcił się i zaraz siadał za chałupą, schowany przed niechcianymi spojrzeniami, i strugał płot z dawno powalonej przez piorun dzikiej gruszy. Wybierał co zdatniejsze kawałki. I strugał. Z taką pieczołowitością, jakby to były figurki, w które trzeba tchnąć ducha, a nie zwykłe sztachety. Każdy kawałek drewna traktował z lubością, wygładzał wszelkie karby, odsłaniał coraz piękniejszy flader. Na niektórych rydelkiem wyrzynał misterne znaki, koronkowe wzorki, jakby to nie był zwykły płot, przy którym chwast porośnie i pies łapę podniesie, ale jakieś relikwie, które mocą swą miały Esterze bezpieczeństwo zapewnić. Od momentu kiedy dawno temu poczuł jej wiotkie ciało na swoich rękach, była mu najdroższa. Droższa niż Najświętsza Paniienka, niż wszystkie świętości, które mu ojciec nakazywał czcić. Nieraz nocą śnił, jak dotyka jej skóry, gładzi krągłe piersi, które unosiły się lekko i falowały

przy każdym ruchu; czasem bywało, że wybudzał go koszmar, w którym tracił ją z oczu i niczym Orfeusz błąkał się w poszukiwaniu. Przemierzał szuwały, mokradła, w których mu ginęła. Bez jednego słowa skargi. Bezgłośnie. Zrywał się wówczas, a potem siadał przy jej łóżku. Patrzył na nią, wodząc w powietrzu ręką, jakby odrysowywał jej kształty, o niczym innym nie marząc, tylko o tym, by się przebudziła, by zagarnęła go do siebie. By już tak było do końca świata.

\*\*\*

Pewnej nocy, jakoś na przednówku, straszny huk odezwał się nieopodal chałupy. Raz i jeszcze raz, i kolejny. Niebo pojaśniało, jakby oświetliły je miliony żyrandoli, takich jak u Kalnsteinów w salonie, dających takie światło, jakby zawsze był dzień. Jasny i słoneczny. Z początku myśleli, że to jakaś nawałnica. Burza z piorunami rozdzierającymi niebo. Ale kto to widział, by o tej porze roku burze szły przez Polskę? Wprawdzie na zewnątrz wiatr targał gałęziami, miotał nimi na prawo i lewo, ale nic poza tym. Ani kropli deszczu, ani błysku na niebie.

Roztrzęsiona jak osika Estera poderwała się na równe nogi.

– Wojna... – powiedziała cicho i zaraz zatkała usta dłonią, jakby się wystraszyła, że słowo wypowiedziane się spełni.

– Gdzie tam! Już dawno po wojnie – uspokajał ją Anzelm.  
– Pewnie kłusownicy natrafili na jakiś niewybuch.

Szybko jednak wdział na siebie portki i sweter, który Wikta wydziergała dla niego z grubej owczej wełny, wsunął nogi w buty – też któregoś razu przytargane z miasta, zapewne z demobilu, po Niemczech, wysokie, solidne, sznurowane, z futrówką z prawdziwego kozucha – narzucił ciężką kapotę i stanął przy oknie, dyskretnie odsuwając zasłonę. Potem przebiegł do drugiej izby, do kuchni, do sieni, a następnie wrócił

do Estery, która wciąż stała w tym samym miejscu jak zamurowana.

Byli sami w chałupie, bo akurat zdarzyło się, że Wikta wyjechała gdzieś pod ruską granicę. Nie pytali po co, a i ona nie kwapiła się, by plany swoje im zdradzać. Może pojechała szukać straconego czasu, a może odezwał się w niej zew, co to jej nakazał, nie zważając na wiek, na rozsądek, zwinąć manatki i ruszyć w podróż.

Świat za oknem był dziwnie niespokojny. I to nie przez łopotanie gałęzi poddanych wichurze. Anzelm czuł, że ów niepokój nie jest sprawą natury. Ta bowiem, mimo swej nieprzewidywalności i siły, była mu znana i jako takiej się jej nie obawiał. Po chwili przyzwyczajone już do ciemności oczy zaczęły wyławiać spośród ogołoconych z liści krzewów pojedyncze kształty, które zbliżały się w kierunku chaty.

– Zostań! Schowaj się pod łóżko! Za nic się nie porusz, dopóki nie wrócę! – nakazał.

Estera wsunęła się cicho pod skrzynię łóżka, ostrożnie, by nie zahaczyć o wystające suche sęki, które raniły skórę do krwi. Przyłgnęła do chłodnej ściany. Spod paleniska pieca zaciągnęła drewnianą skrzynię i położyła przed sobą. Zapach świeżego świerku pomieszany z suchymi trawami wypełniającymi siennik drażnił nozdrza. Ścisnęła mocno nasadę nosa, by nie kichnąć. Drżała na całym ciele. Była pewna, że oto urzeczywistnia się sen, który śniła miesiącami, który nie dawał jej spokoju. Wiedziała, że przeszłość do niej wróci. Karuzela z postaciami. Matka i ojciec, Herta Richt z panią Rachelą, jej małym Jonaszem, rabin Meir ze swoją chorą córką Avivą, razem ze starym Szlomo, który wiedział o wszystkim i nawet przepowiedział ten dzień, który stał się dla niego dniem końca, i sławny lekarz Elias Pelc, który uratował ojca Petera Richta.

Wiedziała, że wszyscy oni wrócą. Chciała się modlić, ale żadne słowa się w niej nie zachowały. Powtarzała tylko, poruszając bezgłośnie ustami: „Boże, Boże, Boże, Boże...”, wierząc, że jeśli jest jakikolwiek – ten z jej dzieciństwa czy ten z obrazka świętego wsuniętego w róg obrazu wiszącego w pokoju Gudrun, do którego Niemka modliła się z twarzą schowaną w dłoniach, by stłumić cichy szloch – to wreszcie spełni obietnice i otoczy ich opieką.

Anzelm wziął do ręki kuty żeliwny pogrzebacz. I choć haczykowane zakończenie – dawniej spiczaste, ostre, teraz zetłale przez ogień – nie stanowiło groźnej broni, zapewne mogło służyć do walki. Wyszedł do sieni. Czuł, jak rośnie w nim strach. Nigdy w życiu się nie bił, nigdy nie skrzywdził nikogo, a teraz, wiedząc, że ona tu jest, gotowy był zabić każdego, kto nastawałby na jej życie. Gniew rozprzestrzenił się w nim, płynął korytarzem żył, wzburzony, przyspieszał rytm serca. Zdawało mu się, że jego bicie słychać w całym domu. Mięśnie spinały się i rozluźniały na przemian, jakby chciały się przygotować na nieuchronną walkę. Na jego czoło wystąpiły chłodne krople potu. Otarł je łokciem. Rzucił okiem w kierunku izby, by upewnić się, że Estera jest schowana. Wzrok, przyzwyczajony do ciemności, odróżniał zarysy kształtów. Dom tkwił w niepewności.

Na zewnątrz znów rozległ się szelest. Zbliżał się i po chwili cichł. Widocznie ktoś przystanął. Anzelm był pewien, że jest ich kilku. Przyłożył ucho do drzwi wejściowych, odgarnął zasłonkę na niewielkim świetliku. Teraz już bez trudu dostrzegł majaczące w ciemności postacie, które wyłaniały się zza krzaków, zza niewielkiej komórki, w której rąbał drwa. Było ich trzech lub czterech. Szum lasu łagodniał i coraz wyraźniej słychać było niosące się w leśnej głuszy szepty. Anzelm

wsluchiwał się w nie. Niewiele rozumiał z tego szemrania, był jednak pewien, że nie jest to żaden z języków, które znał lub kiedyś słyszał. Z miękkości i śpiewności, dającej się wyczuć nawet w owym stłumionym szepcie, wnosił, że zapewne są to Sowietci. Poczul nowy silny przyływ krwi, jakby ktoś podał mu zastrzyk adrenaliny. Naraz wszystkie opowieści Wikty o bestialstwie bolszewików, o zbiorowych gwałtach, okrutnych mordach uformowały się w jego głowie w makabryczne obrazy. Odganiał je od siebie, nie pozwalając, by zawładnął nim strach. Mimowolnie zaciskał jednak pięści na pogrzebaczku. Był jeszcze ciepły od paleniska.

Anzelm cofnął się o krok, bo przypomniał sobie, że przy ścianie postawił skrzynię z dłutami, rylcami, toporkiem i nożami do ciosania drewna. Na oślep wyciągał narzędzia, uważając, by nie zabrzczały, i chował je po kieszeniach. Utrwalał sobie w myślach ich położenie, aby w odpowiedniej chwili sięgnąć po właściwe.

Naraz ogromne uderzenie szarpnęło drzwiami. Na szczęście ciężka drewniana blokada obroniła się przed naporem.

– Otpuskat’! Bystro! Niemiedlienno! Otkrywajtie! – odezwał się chrapliwy głos. Towarzyszyło mu agresywne łomotanie w drzwi. Deski prężyły się i drgały pod wpływem uderzenia.

– Kto wy? – zapytał Anzelm, chociaż był pewien, że prawdziwa odpowiedź nie padnie. Wszak nie była to pora żadnych odwiedzin.

– Szukamy faszystów! – odpowiedział ten sam głos.

– Tu ich nie ma. Sam jestem. – Anzelm używał prostych słów, bo pozwalały mu mówić wyraźnie, bez oznak obcości. Nie spodziewał się jednak, że nocni przybysze odejdą. Gorączkowo myślał o obronie, a zwłaszcza o niej. Błagał Najświętszą



Panienkę, by dodała mu sił, a jeśli przyjdzie mu się złamać, to niech chociaż uratuje ją i od niechybnej poniewierki uchroni. W tej samej chwili po chałupie rozszedł się dźwięk tłuczonego szkła. Wielki jak kloc mężczyzna rzucił się ku Anzelmowi, mierząc prosto w twarz, i dopadł do drzwi, by odbezpieczyć rygiel. Zanim Anzelm się otrząsnął, do środka wpadło kolejnych dwóch bandytów. Podniósł łom, który chwilę wcześniej wypadł mu z ręki, i zamierzył się na największego z przeciwników, lecz w tym samym momencie spadły na niego kolejne ciosy. Agresorzy okładali go pięściami, tłukli kijami, kopali. Leżał na deskach, zwijając się z bólu. W ustach poczuł metaliczny smak krwi, lewe oko traciło możliwość widzenia, pulsowało gorącem.

– Wowa! Chwat’it! Bo ubijesz sabaku! – rozkazał największy z bandytów, zapalając wiszącą pod sufitem lampę. Rozejrzał się po chałupie z ciekawością, jakby znalazł się w sali muzealnej. Drażnił zrywał wiszące u powały kępy ziół, wiązki korzeni. W pomieszczeniu zapachniało łąką, lekki zielny pył wolno opadał na sprzęty. – Czto takoje? Eto łącz’uga wied’my? – Chwył wiechę ziół i potrząsając nią nad głową Anzelma, śmiał się diabolicznie. Wtórowali mu kompani, od których szedł smród ropy pomieszany z wódką. Jeden z nich kaszłał uporczywie. Był to astmatyczny kaszel, który mieszał się ze śmiechem.

Estera leżała jak przybita do muru. Po jej plecach ciągnął chłód od ściany.

Wzrok bandyty padł na bluzkę wiszącą na haku przymocowanym między kaflami pieca.

– Gd’e wasza suka! Nu gawari! I to czto?! – Przyłożył do nosa bluzkę Estery, zakrył nią niemal całą twarz. Głośno pociągał nosem, wciągając jej zapach. Było w tym coś ohydneho, perwersyjnego. Pocierał bluzką szyję, tors... – Gd’e

ona? – Pochylił się nad Anzelmem i zajrzał mu głęboko w oczy.  
– Nu, skązi, pożałujsta! Moj drug! – usiłował nadać głosowi łagodną dobrotliwość. – U nas niet wr'emieni! Nu, dawaj!

Wodząc ostrzem krótkiego noża po szyi, nakazał tamtym dwóm, by przeszukali chałupę. W jednej chwili z szaf wyleciały ubrania, pościele, serwety. Z drugiej izby i z kuchni dochodziły odgłosy tłuczonych naczyń, szcęk rzucanych garnków, miotanych bezlitośnie.

– I czto? – zawołał, siadając ciężko na łóżku. Nogami przyduszał do podłogi leżącego Anzelma, który nie mógł się poruszyć. Gorąca fala bólu i wstydu przeszywała jego ciało. Lepka krew z poranionego czoła, płynąca strużką bokiem twarzy, sklejała mu włosy, wlewała się do ucha. Obrzękła powieka zsunęła się na oko, całkowicie zasłaniając obraz. Przegrał. Przegrał! Nie zdołał wykonać nawet jednego ruchu. Był gotowy na śmierć. Byleby tylko ją dobry Bóg ocalił. – Nie chcesz gawar'it'?!

Czubek ciężkiego buta ugodził go w krocze. Anzelm zawył i skulił się w sobie, przytrzymując obolałe miejsce splecionymi rękoma.

– W mieście... W szpitalu... – wystękał. – Rodzi...

– Stiepan! Zd'es' kto ni-bud'.

Dom dzwonił rzucanymi talerzami, skomlał odgłosami zniszczenia, darcia, łamania, kruszenia, szarpania – szaleńczej, bezsensownej furii.

Ten, którego nazwano Stiepan, siedział z szeroko rozsuniętymi kolanami, wciąż nie zdejmując nogi z Anzelma. Wydawał się spokojny, ale to były pozory. Dyszał ciężko. Nagle jego wzrok padł na stojące tuż za drzwiami buty. Szturchnął nogą leżącego, by utorować sobie drogę. Podniósł jeden but. Obracał go w rękach, włożył do środka dłoń. Wyjął, powąchał,

otrząsnął się jak pies, który chwycił trop. Zeskrobał z podeszwy kilka grudek błota.

Wtedy Anzelm ukradkiem sięgnął do kieszeni, a potem z nadludzką siłą dopadł Sowietę, mierząc ostrym rylcem w szyję. Ten jednak obrócił się gwałtownie i metalowy szpikulec trafił w wielkie, muskularne ramię. Jęknął, ale zaraz się odwinął, trafiając Anzelma w splot słoneczny. Ten zakołysał się i padł na podłogę, a po chwili przyjął serię rozwścieczonych kopnięć.

– Ty swołocz! Gd'e ona! Skażi! Nu! Sc'erwiec!

Rozkazał swoim przybocznym spalić chałupę; sam nie przestawał bić.

Estera przez niewielkie prześwity w skrzyni widziała zakrwawione ciało Anzelma. Wahala się chwilę, ale wreszcie postanowiła wyjść. I tak była pewna, że nie ujdzie z życiem. Spalą chałupę, porąbią. Gdzieś w niej zatliła się nadzieja, że być może za cenę hańby, za poniżenie uda się jej ocalić jego. Natrętny głos z głębi umysłu powtarzał, że czas wypełnić los, urzeczywistnić sny, w których wszyscy są już TAM. Czekają na nią. Matka i ojciec, Herta Richt z panią Rachelą, jej małym Jonaszem, rabin Meir ze swoją chorą córką Avivą, razem ze starym Szlomo, który wiedział o wszystkim i nawet przepowiedział ten dzień, który stał się dla niego dniem końca, i sławny lekarz Elias Pelc, który uratował ojca Petera Richta.

Gdy wysuwała się spod łóżka, wystający sęk rozdarł jej koszulę. Trzymała w garści jej postrzępione krawędzie, usiłując zakryć nagie ciało. I stanęła przed tą bandą. Jak objawienie. Jak duch. Z podniesioną głową, z oczami wpatrującymi się hardo w bandytów. Już nie chciała być tamtą małą dziewczynką, która z perspektywy niewielkiego piwnicznego okna patrzyła na śmierć.

– Zostawcie go! – powiedziała twardo.

Cała trójka odwróciła się w jej kierunku. W spojrzeniu pojawiło się zdziwienie, które zaraz ustąpiło miejsca niepohamowanej chęci, pożądaniu. Wzrok Stiepana prześliznął się po kobiecej postaci od stóp do głów. W izbie rozległ się gwizd podziwu, ten, którego wołano Wowa, mlasnął oblesnie, aż biała ślina ściekła mu po brodzie. Obaj bandyci, znajdujący się dotychczas za plecami największego Sowiety, postąpili do przodu. Ten jednak ledwie ruchem nakazał im pozostać na miejscu. Powoli podszedł do kobiety. Palcem wskazującym podniósł jej brodę. Natrafił na opór. Estera nie spuszczała z niego wzroku. Zatopiła spojrzenie w jego ciemnych źrenicach. Była w niej buta, jakiej nigdy dotąd nie czuła. Mężczyzna pogłaskał ją po twarzy, obrysował kształt ust, wsunął palec nieco głębiej, by poczuć wilgoć. Posłał jej lubieżny uśmiech i w tej samej chwili poczuł ostre zęby, które wpiły się w jego skórę. Szarpnął rękę, sycząc głośno. Ogarnęła go zajadła wściekłość. Oblizwał zranione miejsce, żeby nasycić się smakiem krwi. Rozdarł jej sfatygowaną koszulę, a potem z impetem wymierzył kobiecie policzek.

– Ty suka! Ty Jewrejskaja suka!

Estera zachwiała się i opadła na łóżko. Poszarpana koszula z rozsypanymi na pierzynie błękitnymi kwiatkami niczym kwietna majowa łąka odsłaniała białe piersi. Rosjanin przełknął ślinę, widać było, jak na żylastej szyi poruszyła się w górę i w dół wielka grdyka. Wyglądała jak pożarty przez węża gryzoń, wystający pod skórą, dopóki nie rozpuszczą go soki trawienne. W kącikach jego ust zebrała się ślina. Zawładnęła nim chuć, której nic już nie mogło powstrzymać. Chyba tylko śmierć. Drżącymi z rozochocenia palcami rozpinał rozporek zszarganych spodni. Drugą ręką pociągnął porwaną koszulę, a potem legł na niej, zatykając dłonią usta, pełne krzyku

i złorzeczenia. W jego lędźwiach odezwała się niecierpliwość, łaskotało go w podbrzuszu, wokół penisa napinały się mięśnie. Już tylko chwila dzieliła go od spełnienia...

Jej było wszystko jedno. Wiedziała, że już nic nie ochroni jej przed przeznaczeniem. Widziała nad sobą kołyszącą się lampę, w której paliła się tylko jedna świeczka. Płomieniem rozbuchanym, jasnym niczym diabelski ogień. Z podłogi dochodziło ciche rżenie. Była pewna, że Anzelm umiera. Bardzo chciała być przy nim, niechby razem przeszli przez to piekło. Spleceni rękoma.

– Nu! Dawaj! Suko! – Kwaśny oddech bandyty tuż przy jej twarzy budził w niej wstręt. Przyduszona ciężarem, oddychała z trudem. W okolicy ud poczuła szorstkie przyrodzenie, które za chwilę gwałtem miało w nią wtargnąć. Z całych sił zaciskała nogi, ale wielkie łapy bez trudu poradziły sobie z oporem. Mężczyzna sapał oblesnie. Stojący pod ścianą bandyci przyglądali się tej scenie, trzymając ręce w spodniach. Jeden z nich gładził penisa, gotowy do działania. Niewidzące spojrzenia, wygłodniałe, rozpasane, czyniły ich podobnymi do zasadzającej się na przynętę dzikiej zwierzyny, której niepohamowany instynkt nie jest w stanie odwieść od ataku.

I wtedy w drzwiach stanęła Wikta. Obrzuciła pomieszczenie wzrokiem. Zanim bandyci zorientowali się w sytuacji, padły strzały. Jęk wydobywający się z gardeł oprawców zmieszał się z rumorem upadających ciał, wokół których rozlała się kałuża krwi. Stiepan podniósł się na łokciach, ale zanim zdążył wykonać jakikolwiek ruch, Wikta strzeliła mu w nogę. I jeszcze raz. Krew rozbryzgnęła się po ścianie, splamiła pościel. Wąski strumień płynął po nogach Estery. Dziewczyna ponadludzką siłą wydostała się spod Rosjanina. Chwyciła rozerwaną koszulę, starając się zakryć gołe ciało. Przycupnęła

przy Anzelmie. Rąbkiem materiału próbowała wytrzeć jego zakrwawioną twarz, zdrapać schnące strupy.

– Wy chuże German’cow! – rzuciła z pogardą Wikta. Z rozwianymi włosami, z rękoma wyciągniętymi przed siebie i trzymającymi pepeszę wyglądała jak nie z tego świata. Niczym wojowniczką. Aż dziw, ile determinacji było w tej niedużej kobiecie.

Wyciągnąwszy ze stojącego pod ścianą kosza gruby jak powróż jutowy sznur, którym wiązała gałęzie, korzenie, a bywało, że i bydło zaciągała do obejścia, spętała nogi i ręce bandytów, a potem, popychając nogami, przesuwała ich aż pod drzwi sieni – wśród wyzwisk, złorzeczeń i przekleństw. Oporządziwszy Anzelma, przy pomocy Estery wyturlała łajdaków na zewnątrz i splunęła z obrzydzeniem.

– A teraz odpoczne – westchnęła i usiadła ciężko, jakby wróciła po ciężkiej robocie w polu. – Rano pójde do miasta, by zabrali to tałatajstwo – dodała, widząc niepokój w oczach Estery. – Nic się nie bój, już oni się z mych pęt nie wyplączą. Prędeż zwierzyna, łasa na świeżą krew, poszarpie ich i dokończy to, czego mi sumienie nie pozwoliło zrobić, niżli się uwolnią. Zaraz też napoję ich korzeniem kozłka, by posnęli. Daj Bóg, psubratom, by obudzili się w piekle.

Anzelm leżał na łóżku. Obity, granatowy. Twarz miał zniekształconą, ale nietrudno było dostrzec błakający się na niej spokój. Szybko zasnął. Estera przesiedziała przy nim do rana. Okładała go gałgankami umazanymi w naprędce przygotowanej przez Wikte miksturze z żywego gnata, żywokostem zwanego, z wroniego sadła i innych specyfików, których miała co niemiara, a o których działaniu wyczytywała ze starych inkunabułów, pisanych jakimś dziwnym językiem, bodaj cyrylicą, bo ani Estera, ani tym bardziej Anzelm pisma takiego

nie znali.

\*\*\*

Długo po tej nieszczęsnej nocy ropiały rany, bolało serce i sen spokojny znów nie chciał przychodzić. Estera całe noce spędzała przy łóżku Anzelma. Bała się odejść choćby na krok, by nie móc usłyszeć, czy czegoś mu potrzeba, czy poduszkę podsunąć, strzepnąć pierzynę. W końcu została przy nim. Noc w noc. Z czasem rany się zagoiły, pogruchotane kości pozrastały. Życie zdawało się toczyć według pór roku, według przyrody. Coraz spokojniej.

Czasem Wikta zastawała dziewczynę pogrążoną w myślach daleko od chaty. I wówczas niczego nie pragnęła tak jak zdjęcia z niej brzemia, które jej ciążyło, odbierało radość, nie pozwalało żyć.

– I czego się smuci! Niech patrzy: świat jest piękny – zagadnęła któregoś razu. – I życie jest potrzebne, i śmierć, i wojna, i pokój... I szczęście, i choroby...

– Wojna? Komu potrzebna wojna? – odparła Estera.

Wikta zamyśliła się głęboko. Jej oczy zamgliły się, jakby odleciała gdzieś daleko, gdzieś ponad las, ponad miasto, ponad teraźniejszość. Jakby była tam, w puchatych obłokach, zza których prześlizgiwały się promienie słońca niczym nieśmiało wychylająca się z absurdu mądrość.

– Wojna jest po to, by prochy uszlachetniły ziemię, by ta zachowała wieczną pamięć. Jeden ginie, by inny mógł żyć. Dusza świata syci się wojnami, a ziemia żyźni się ich ofiarami.

Estera nie rozumiała, o co starej chodzi, lecz w jakiś dziwny sposób słowa Wikty porządkowały chaos pojawiający się raz po raz w głowie dziewczyny.

\*\*\*

Siedziałam w sali numer siedem. Mężczyzna chyba przysnął, bo w szpitalnej ciszy, przerywanej czasem bulgotaniem w rurach lub cichym pluskaniem płynącej w kroplówce cieczy, słyhać było lekkie pochrapywanie, któremu w niemal idealnych interwałach towarzyszyło ledwie słyszalne pogwizdywanie. Matka Ruty siedziała wyprostowana, zupełnie jakby ktoś przymocował ją do niewidzialnej podpórki. Gdyby nie szeroko otwarte oczy, wciąż tak samo zamglone, zaciągnięte mleczną mgłą, pomyślałabym, że to figura. Prawdziwie woskowa figura, jak te, które ostatniego lata widzieliśmy w Międzyzdrojach. Jak żywe, a jednak bardziej martwe niż cokolwiek innego. Wymuskane, gładkie, pozbawione choćby najmniej istotnych oznak życia.

– Pójdę już – powiedziałam i zaraz uświadomiłam sobie, że tak naprawdę nikogo nie obchodzi, co zrobię. Czy pójdę, czy zostanę. Ona leżała. Z tymi swoimi włosami, które chyba jako jedyne w tej sali wciąż zdradzały wolę życia. – Przyjdę jutro – dodałam, chcąc zapewnić o swojej obowiązkowości wobec Ruty, swojej powinności, chęci powetowania wyrządzonej krzywdy.

– Pamiętaj o kamieniu – odezwała się kobieta. – Czerp z niego. Nie daj się rozkruszyć... Rozproszonego po świecie pyłu nic nie jest w stanie poskładać do kupy...

Uśmiechnęłam się półgębkiem na to dziwne gadanie.

– Do widzenia! – powiedziałam, wycofując się do wyjścia.

– Bywaj! – odparła Estera. Już przekraczałam próg, gdy ponownie zagadnęła: – To moja córka, Ruta. – Zakryła usta ręką, tak jak się czyni, by przekazać komuś wielką tajemnicę.

– Wiem, wiem – odpowiedziałam, tym razem nie zwlekając, i uśmiechnęłam się. Bardziej do siebie niż do niej, bo



ona już wróciła do swojej pozycji. Muzealny eksponat z wosku. I już znikalam za drzwiami, gdy znów miałam wrażenie, że w twarzy chorej coś się zmieniło. Nerw ledwie dostrzegalny mignął po twarzy. A może to mrugnięcie moich oczu zmąciło ów nienaruszony obraz...

## CZEŚĆ IV

# 1.

## Spotkanie

Chłód przybierał na sile. Drobny śnieg z deszczem zacinał ostro. Zwłaszcza tu, w okolicy szpitala, który położony był na niewielkim wzniesieniu. Właśnie tu ów ziąb wydawał się bardziej dokuczliwy. Tuż przed szpitalem, w kierunku miasta, po lewej stronie rozciągał się niezagospodarowany plac, pozostałość po dawnych ogródkach zakładowych. Wiatr hulał tam swobodnie, nawiewając tabuny sypkiego, drobnego śniegu. Widać zima po ciepłym grudniu wreszcie dawała o sobie znać. Daleko za położonymi nieco niżej opustoszałymi ogródkami działkowymi rozciągał się las. Pamiętam, że gdy dziewczynki były małe, niemal co niedziela chodziliśmy tam całą rodziną na spacer. Przechodziliśmy nad jezioro parkiem Laskera – teraz tak go nazwano, bo wtenczas był to po prostu park nad rzeczką, gdzie w powszednie dni miejscowi pijaczkowie rozsiadywali się, z dala od wścibskich oczu, i popijali bełty, żaląc się na swój kiepski los. A latem w wolne soboty urządzano zabawy na dechach. Zdarzało się, że przystawaliśmy nieopodal i przyglądaliśmy się nielicznym parom płasającym w rytm muzyki wygrywanej przez jakiś miejscowy zespół. Solistka zrobiona na Ostrowską, z postrzępionymi blond włosami, wyśpiewywała głośno *Meluzyno, Meluzyno*, ludzie stojący na obrzeżach kwadratu, którzy nie mieli odwagi wyjść na scenę, kołysali biodrami, podrygiwali i nie szczędząc złośliwości, komentowali poczynania roztańczonych par. „Patrz, jak ona się rusza! Jakby była z Sabatu! A on! Sztywny jak kij od szczotki!”.

Na nikiem nie pozostawiali suchej nitki.

Kornelia z miejsca ruszała do tańca. Szarpała siostrę za rękę i na siłę ciągnęła ją na drewnianą scenę. A kiedy Gabrysia wzbraniała się, chowając wstydliwie za ojca, szła sama i wirowała wokół własnej osi, śmiesznie wyginając ciało. Zabawna była w tych swoich popisach. Tańczący rozstępowali się, robiąc jej miejsce, albo brali ją w kółko. To nieco ją onieśmiało, więc po kilku ostatnich wygibasach przybiegała do nas. Szliśmy dalej. Wzdłuż brzegu, na drugą stronę ulicy. Skrajem lasu, między starymi domami, zachowanymi jeszcze po Niemcach. Dziewczyny szczebiotały, a nam było zwyczajnie dobrze. Mijaliśmy rzędy podupadających szop, komórek jak na wiejskich podwórkach i odprowadzani ujadaniem psów uwiązanych łańcuchami do rozlatujących się bud, wspinaliśmy się na wzgórze, by kolejny raz zachwycić się Pałacykiem Cebulowym i ponarzekać na niegospodarność miasta. Stąd, między zaroślami, roztaczał się widok na jezioro, z wieloma zatoczkami okolonymi trzcinami i sitowiem, w których były niezliczone lęgowiska perkozów, łysek i kaczek wodnych. Wystarczył nieznaczny ruch, a podrywały się z wrzaskiem, histerycznym kwileniem i hurmem wzlatywały pod niebo.

Popadająca w ruinę budowla kiedyś zapewne musiała być przepiękna. Istny pałac! Przed wojną mówiło się o nim Willa Dülfera – od nazwiska właściciela, ale później, ze względu na baniaste kopuły wieńczące symetryczne wieże po bokach, nazwano go Pałacem Cebulowym. Miejscowi podtrzymywali legendy, jakoby podczas wojny mieszkały tam kochanki Göringa, Himmlera, a co niektórzy dawali sobie rękę uciąć, że nawet samego Hitlera. Szlag mnie trafiał, gdy pomyślałam o tym, że Niemcy potrafili to wszystko utrzymać w tak idealnym stanie. Na wszystkim im zależało. Miasto było piękne.

Na starych widokówkach, na tablicach stojących w różnych miejscach widać było urok-liwe uliczki, wymuskane kamienice. Nic dziwnego, że przedwojenni Niemcy upodobali sobie Barlinek i nazywali go perłą Nowej Marchii. Nie brakuje ich tu do dzisiaj. Jedni przyjeżdżają, bo blisko i pięknie, ale kto wie, ilu jest takich, którzy szukają śladów własnej przeszłości. Często widuję całe grupy snujących się po ulicach i rozglądających wokół, dyskutujących żywo, wymachujących rękami. Zdarza się, że pojedyncze osoby, które albo odłączają się od grupy, albo przyjeżdżają prywatnie z mapami i aparatami, krążą po mieście, zachodzą do muzeum, rozpytują. Przystają na rogatkach ulic i patrzą, patrzą, patrzą, jakby wypatrywały kogoś bliskiego, jakby czekały, że przeszłość powróci. Czasem zapewne długo muszą grzebać w pamięci, by odnaleźć ślady, które dawno już się zatarły, spłowiły. A czasem z politowaniem kręcą siwymi głowami, bo od czasu ich naprędce podjętej ucieczki niewiele się zmieniło. Niektórym kamienicom dano nowe życie, a innym czas niełaskawy pozwala na powolne dogorywanie. Całkiem jak w przypadku Pałacyku Cebulowego, górującego nad miastem i z dumą patrzącego na rozciągającą się w dole błękitną połąć Jeziora Barlineckiego.

Teraz budynek przedstawiał pożałowania godny obraz. Mieszkali tu jacyś ludzie, którym miasto z braku innych lokali odstąpiło „pałacowe komnaty”. Nikt jednak nie dbał o nic. Własność niczyja. Obdrapana elewacja, stare deski podtrzymujące zadaszenia, łuszcząca się farba na nadmurszałych okiennicach – wszystko wołało o pomstę do nieba. Czas robił swoje. A dodatkowo chaszcze, nieprzebyte krzaczyska, w których gęstwie można było znaleźć niemal wszystko: od starych opon po zdezelowane sprzęty, butelki, papiery.

– To skandal, żeby takie cudo marniało! – sarknął Wiktor.

A potem obchodził pałac dokoła, zaglądał do środka, jakby był fachowcem od renowacji budynków.

\*\*\*

Przypomniałam sobie nagle, że to tam pierwszy raz ją zobaczyłam. Rutę. W pałacu przez jakiś czas prowadzone były różne zajęcia. A to koło taneczne, a to warsztaty plastyczne. Wyeksmitowano mieszkańców, a budynek oddano poradni psychologicznej i organizacjom związanym z kulturą. Było tam też OHP. Pałac zaczął żyć nowym życiem. Coś jak dom kultury, jak świetlica środowiskowa, choć pieniędzy na remont nie znaleziono, więc siłą rzeczy z dnia na dzień budynek popadał w ruinę.

Czekałam na dziewczynki, które uparły się, że chcą chodzić na tańce. I koniec! Zgodziłam się, choć niechętnie, bo wszystko było na mojej głowie. Tańce, języki, koła, kółeczka. Wiktor akurat objął spółdzielnię mieszkaniową i w żadnym razie nie miał szans, by się rozdziwić, a tym bardziej roztroić. A co do tego, że dziewczynki **muszą** znać języki, bo przecież świat się otwie-ra, i **muszą** umieć się w nim odnaleźć, że **muszą** tańczyć, bo przecież **muszą** umieć poruszać się z wdziękiem, bo to przecież **dziewczynki**, że..., bo..., ponieważ... Co do tego wszystkiego nie mieliśmy żadnych wątpliwości, a ponadto moja praca przecież nie wymagała wielkiego wysiłku, bo co to takiego stać pod tablicą i gadać. A kartkówki, zeszyty i te inne bzdury to przecież mogę sobie darować. Sypał argumentami jak z rękawa. Stało więc na tym, że to ja z wywieszonym językiem biegałam z pracy do domu, z domu na tańce, z tańców do szkoły językowej, bo przecież nie mogłam pozwolić na to, by nasze córki pozbawione były szans na normalne życie, by pogubiły się w świecie, który już wyciągał po nie swoje pazerne łapy.

Siedziała na ławce przy niewielkim budynku, który zapewne kiedyś musiał przynależeć do pałacu jako pomieszczenie gospodarcze. Próżno by się doszukiwać w nim jakichkolwiek śladów szlachetności, była to bowiem rudera chyląca się ku upadkowi, z odpryśniętymi kawałkami tynku, spod których wyzierały obtłuczone cegły z wydrążonymi w szaroburej zaprawie otworami, czarnymi, pokrytymi siwą koronką pajęczyn. Ruta wyglądała, jakby wokół niej nie było niczego. Ani mnie, ani dzieciaków z niewyobrażalnym jazgotem zbiegających po koślawych schodach i wypadających na zewnątrz. Jakby zawieszona była w przestrzeni nie do ogarnięcia przez zwykłych śmiertelników. Siedziała z nogami opartymi o rant ławki, z podkurczonymi kolanami, na których położyła prowizorycznie sklecony blejtram z rozpiętym na nim płótnem. Była ładna, choć nie umiałam określić jej wieku – mogła mieć kilkanaście lat, ale mogła też zbliżać się do trzydziestki. Taka wiecznie młoda. Teraz wiem, że miała jakieś dwadzieścia lat. Ni to kobieta, ni dziewczyna. Długie ciemne włosy związane w przerzucony przez ramię kucyk, rama ciemnych brwi, nieco uniesionych, sprawiających wrażenie nieustannego zdziwienia, głęboko osadzone oczy, wydatne kości policzkowe, spiczasty podbródek, nieproporcjonalnie długa szyja. Dekolt rzeźbiły wystające kości obojczykowe. Ręce skrzyżowała na piersi, jakby coś pod nimi skrywała. W ustach trzymała czubek pędzla, który chwiał się, strasząc, że za chwilę wysunie się i upadnie, plamiąc na niebiesko jasne, podwinięte do kostek spodnie. Miała chude nogi. Ciemne rysunki wybrzuszonych żył odbijały się od jej jasnej skóry. Zdziwiłam się, widząc jej stopy wyzute z podniszczonych tenisówek, które nosiły ślady dość częstego użytkowania, ale pomalowane były pastą do zębów albo pokryte białą kredą. Gdzieniegdzie przebijały jeszcze ciemne kreski

zabrudzeń. Pomyślałam, że również stopy tej dziewczyny są zużyte, jakby przeszły tysiące kilometrów i nie miały czasu na odpoczynek. Wyobrażałam sobie chropowate pięty i szorstkie poduszki pod palcami.

Dyskretnie zajrzałam jej przez ramię. Rysunek był bardzo niebieski. Nie było tam żadnego wyraźnego kształtu czy choćby zarysu, tylko nakładające się na siebie plamy. Od platynowego gołębiego, ledwie odznaczającego się na jasnym tle płótna, przez wyraźny błękit wpadający w niebieski, aż po natarczywy chabrowy i ciemny jak atrament indygo. Miejscami tylko, jak przypadkowe pacnięcie pędzlem, pojawiały się ostre niczym rozcięcia kataną, wyraźne, niepokojące kreski w innych kolorach, potęgujących głębię, aż chciało się zobaczyć, co też może się znajdować we wnętrzu, poza płótnem. Byłam zdumiona. Bo nie wiem, skąd mi to przyszło do głowy, ale spodziewałam się banalnego malunku. Pałacu w otoczeniu zieloności z odległą perspektywą jeziora. Widokówki. Kiczu podobnego owym tandetnym rysunkom, jakich mnóstwo na nadmorskich promenadach. Nie wiem dlaczego, ale ten dziwny obraz wprowadził jakiś zamęt w mojej głowie. Rozdrażnienie, którego zupełnie nie potrafiłam sobie wytłumaczyć.

Dziewczynki, czerwone i zmęczone, wytoczyły się wraz z gromadą innych dzieciaków. Zabrałam je i szybko udałam się do domu.

Potem jeszcze przypomniałam sobie, że chyba uczyłam ją kiedyś. Dawno. Na początku mojej pracy. Gdzieś w pamięci majaczył mi obraz dziewczynki siedzącej w ławce z chłopakiem, który nieraz powracał w moich wspomnieniach o tamtej szkole. Może dlatego, że nigdy się do mnie nie odezwał, chociaż miałam z nim zajęcia kilka razy w tygodniu. Rozpytywałam o niego w pokoju nauczycielskim, czy jest niemową, czy jest chory, ale



wszyscy tylko wruszali ramionami i machali ręką na odczepnego.

– Jaki tam chory! – rzuciła kiedyś z nutą drwiny w głosie Marzena, matematyczka. Była starą panną i jak diabeł święconej wody bała się przejścia na emeryturę. Że zgnuśnieje w domu, a tak jest między ludźmi. Wszystkich zna, o wszystkich potrafi coś powiedzieć. Nie było nazwiska, które byłoby jej obce i do którego nie dopasowałaby historii. – Ot, taki tam niemota. Matka ponoć Cyganka! Ale jej też piątej klepki brak. A i o ojcu krążą niestworzone historie. – Tu Marzena konfidencjonalnie ściszyła głos, rozejrzała się na boki i zatkała usta dłonią. – A to że ponoć Niemiec, faszysta, a to że siedzi za zbrodnie wojenne. A jeszcze inni powiadali, że wciąż gdzieś się ukrywa, że mu ta Cyganka i ta stara Wikta z lasu pomagają.

Mało kto wierzył w te bajania, znając zdolności nauczycielki do konfabulacji, toteż zaraz każdy rozchodził się do swoich zajęć. Wiem tylko, że jakiś czas potem w mieście huczało od wielkiej tragedii, która wydarzyła się w domu t e j Cyganki, niespełna rozumu. Ktoś podłożył ogień i spłonęła jej chałupa. Razem z chłopakiem, który – głupi jeden, ludzie z niedowierzaniem kiwali głowami – zamiast uciekać z życiem, wziął się za ratowanie ptaków. Jakby nie wiedział, że ptaki mają skrzydła, to sobie poradzą. A po nim tylko zwęglone kostki i ludzkie gadanie...

Tak czy owak, o ile chłopak siedział mi w głowie i czasem wracałam do niego pamięcią, o tyle ona, Ruta, nawet nie wiem, kiedy wyleciała mi z głowy. Na dobre i nigdy nie wracała. Kto by spamiętał te wszystkie osoby. Ludzie się zmieniają. Czasem tak, że w żaden sposób nie można odnaleźć w nich tamtej dawnej osoby. Ani w wyglądzie, ani w ruchach. Zupełnie jakby pojawili się w naszym życiu po raz pierwszy.

\*\*\*

Kolejny raz pomyślałam o samochodzie, który stał gdzieś tam i nie miałam pojęcia, kiedy do mnie wróci. Już nawet nie przeszkadzało mi to, że to stary rzech. Babcia Henia, która po rodzinnych uroczystościach u krewnych niezgrabnie pakowała się obok mamy, dziadka, mnie, a niekiedy i Wiktora do samochodu mojego ojca – starego, wysłużonego wartburga – nie zważając na niedogodności, ucinała narzekania innych pasażerów na dyskomfort: „Wy tam mówcie sobie, co chcecie, a ja wolę niewygodnie jechać, niż iść w taką zimnicę taki kawał”. I dawaj, mościła się na tylnym siedzeniu, upychała między nogi poły podszytego futrem płaszcz, zwijała ramiona do siebie, torebkę, z którą nigdy się nie rozstawała, przygarniała do piersi, by tym sposobem zająć jak najmniej miejsca. A trzeba przyznać, że z domu rodziców, który mieścił się na obrzeżach miasta od strony Gorzowa, do dziadków mieszkających na drugim końcu Barlinka, na Bonifacego, tuż za kościołem, był niezły kawałek, zwłaszcza dla dziadka Władysława, któremu wówczas już wszystko odmawiało posłuszeństwa. I głowa, i nogi.

Zesztywniała z zimna, szłam, zajęta myślami o Rucie, jej rodzicach, o sobie, gdy nagle tuż obok mnie rozległ się ostry sygnał klaksonu, który wytrącił mnie z zadumy. Drgnąłam wystraszona, rozglądając się za źródłem owego dźwięku. Co za debil trąbi w mieście, i to pod szpitalem?, pomyślałam z irytacją. I wtedy zobaczyłam samochód Wiktora. Stał tuż za wielkim dębem po drugiej stronie jezdni. Nic dziwnego, że opatulona, z głową schowaną w kapturze, nie zauważyłam go. Boczne koła nowego suwa tarasowały i tak już wąski chodnik.

– Policji trzeba! – krzyczał jakiś młody mężczyzna

o kulach z pokiereszowaną twarzą. – Niedługo trzeba będzie fruwać! Jak się jednego z drugim mandatem nie nauczy, to nie zrozumie!

Wiktor zignorował złorzeczenia mężczyzny. Otworzył drzwiczki od strony pasażera i kiwnął na mnie ręką.

– Pospiesz się, bo zaraz ktoś mi uszkodzi drzwi! – ponaglał, spoglądając nerwowo w lusterko wsteczne, czy aby nikt nie nadjeżdża.

Jasne! Samochód najważniejszy! Mnie świat wywraca się do góry nogami, a on dba tylko o własny tyłek, myślałam, chociaż na swój sposób byłam mu wdzięczna. Po pierwsze dlatego, że było mi okrutnie zimno, a po drugie zupełnie nie miałam pojęcia, co ze sobą począć, a ostatnia rzecz, jakiej bym sobie życzyła, to wrócenie do pustego domu, by tam po raz kolejny rozpamiętywać ten cholerny wypadek.

Przebiegłam przez ulicę, uniesioną ręką zatrzymując ruch uliczny, który jak na złość się wzmógł. Samochód za samochodem! I jakby tego było mało, ze szpitala wytoczył się na sygnale ambulans. Przez moment poczułam nieprzyjemne kołatanie. Strach, zepchnięty w tył głowy, wynurzył się. Może to coś z nią? Może wiozą ją do Gorzowa albo do Szczecina? W pierwszym odruchu zamierzałam wrócić do sali numer siedem i sprawdzić, czy wciąż tam leży, przywiązana tymi rurkami, podpięta do kroplówki.

Wpadłam do auta. Nie zdążyłam złapać tchu, gdy mój mąż napadł na mnie z serią pytań:

– I co? Co z tą kobietą? Jak to się stało? Czyja to wina? Co na policji? Kim ona jest?

Zapuścił silnik. Samochód ruszył wolno. Powiew ciepłego powietrza przyjemnie wypełniał wnętrze.

– Zawróć! – powiedziałam stanowczo.

– Przecież tam jest jednokierunkowa, nie możemy zjechać!  
– Wiem, ale zawróć, muszę coś sprawdzić. – Naprawdę musiałam się upewnić, że w tej karetce to nie ona. Bo gdyby jednak okazało się... że jej stan się pogorszył, że... Odganiałam uporczywe myśli. Ale musiałam to sprawdzić. Oni tam zostali. W sali. Może wyszli. Może są na zewnątrz.

Wiktor zawrócił i podjechał pod bramę szpitalną. Szukał miejsca parkingowego. Jakaś kobieta w krótkim kożuchu, z nogami długimi do nieba właśnie przymierzała się do wycofywania. Wiktor wrzucił kierunkowskaz. Wtedy między drzewami mignęła mi postać Anzelma.

– Stój! – rozkazałam. – Wsiadam!

Nie usłyszałam już protestu Wiktora. Wypadłam z samochodu, nie bacząc na nadjeżdżające auta.

– Proszę pana! Proszę pana! – zawołałam głośno. Kilku mężczyzn obejrzało się ze zdziwieniem, wskazując palcem na siebie, czy to o nich chodzi. Wyminęłam ich, wciąż krzycząc. Uświadomiłam sobie, że nawet nie wiem, jak się nazywa.

– Proszę pana! Panie... – Dopadłam go przy samych drzwiach. Spojrzał na mnie, jakby widział mnie pierwszy raz. – Czy coś jej się... Czy państwa córka... Czy ona jest na górze? – jąkałam się.

Sprawił wrażenie zupełnie spokojnego. Przechylił lekko głowę, zmrużył oczy i powiedział cicho:

– Śpi. Wciąż śpi.

Przez chwilę patrzyłam, jak znika w szpitalnym korytarzu. Potem wróciłam do samochodu.

Wiktor nie krył zdenerwowania.

– Co ty wyprawiasz? Wyjaśnisz mi wreszcie cokolwiek? Co ten stary Niemiec ma z tym wszystkim wspólnego?

Nie zamierzałam w tej chwili opowiadać mu o wypadku. Ale ostatnie pytanie Wiktora zwróciło moją uwagę.

– Znasz tego człowieka? Skąd wiesz, że jest Niemcem? Skąd go znasz? – dopytywałam.

– Na litość boską, Irena! Jakie to ma teraz znaczenie, czy go znam, czy nie! Mów wreszcie! Całe miasto o tobie huczy, ludzie do mnie wydzwanają! Nawet Gabryś dzwoniła spanikowana, bo jakaś idiotka albo idiota napisał jej na fejsie, że zabiłaś kobietę! A ty... Zamiast opowiadać, to wypytujesz o jakiegoś starego Niemca! Pies go trącał! Opanuj się, kobieto!

– Co za brednie! – fuknęłam, wzburzona do granic. Nie mogłam uwierzyć, że ludzie są tacy podli, że potrafią tak bezczelnie zmyślać. Jak ta Derkowska czy Wańkowska. Plotkary jedne! Przymknęłam oczy, nabrałam powietrza, ale nic nie pomagało. I naraz wszystkie nitki nerwów splątały się w setki supłów – byłam istnym kłębkim. Zawikłanym. Zapętlonym. – Nikogo nie zabiłam. Ta kobieta żyje! Żyje i nic jej nie jest! Nic! Tylko... tylko jest w śpiączce... Nie chce się obudzić... Jej matka powiedziała, że odpoczywa. Jest w kamiennym kręgu... Kamienie dają jej moc... Ona żyje! Słyszysz! Żyje! – krzyczałam coraz głośniej. Miałam świadomość, że to, co wygaduję, jest zupełnie bez sensu.

Mój mąż patrzył na mnie z politowaniem, ale widać było, że jest przejęty. Mną.

– Czy ty siebie słyszysz? – zapytał już łagodnie. – Co to znaczy, że nic jej nie jest, ale jest nieprzytomna? Przecież to się nie trzyma kupy... Zostawmy to w tej chwili... Zostawmy. Pojedziemy... – zawahał się. – Chcesz jechać do domu czy gdzie indziej? – Było mi wszystko jedno. Teraz chciałam tylko spokoju. – Potem porozmawiamy. Wszystko potem... Teraz musisz odpocząć... – mówił mój mąż.

Poczułam jego dłoń lekko ściskającą moje kolano. Z trudem powstrzymywałam napływające do oczu łzy. Byłam

wzruszona i wdzięczna Wiktorowi, że jest ze mną. Teraz. Szczególnie teraz. Kiedy czułam się całkiem potrzaskana. Rozsypana w drobny mak. Tak. Ta kobieta miała rację. Życie mi się rozkruszyło, starło w pył. A ja nie mam w sobie twardości kamienia. Jestem miękka jak szmaciana lalka. Tama mojego lęku w końcu została przerwana, stres, który dotychczas powstrzymywałam, wylewał się ze mnie. Łzy wściekłości, strachu, bezradności spływały mi po twarzy. Wycierałam mokry nos. Walczyłam ze sobą, nie chciałam płakać, ale wszelkie wysiłki poszły na marne. – Pojedziemy za miasto – zdecydował Wiktor. – Może na Janowo. O tej porze mało kto się tam kręci. Zjemy coś ciepłego. Odprężysz się... – Jego głos brzmiał miękko. Zapomniałam już, że kiedyś zawsze tak do mnie mówił. Potrafił wydobyć mnie z najgłębszego dołka. „Wszystko minie”, powtarzał jak mantrę, kiedy któryś raz z rzędu zdawało mi się, że grunt usuwa mi się spod stóp, że właśnie znalazłam się w totalnej matni, z której nie ma żadnej ucieczki, i nic, tylko pograżę się na amen. Jego opanowanie stawiało mnie do pionu i summa summarum zaraz potem rzeczywiście, jak za sprawą jakiejś szamańskiej sztuczki, sytuacja wracała do normy. Teraz to wszystko było tak odległe, jakby minął milion lat. Koniec. Kropka.

Wiktor siedział lekko pochylony, skoncentrowany na jeździe. Starał się nie patrzeć na mnie, choć czułam, jak co chwilę odrywa wzrok od drogi i kątem oka zerka w moim kierunku.

Przejechaliśmy przez miasto. Wycieraczki sprawnie zbierały śnieg, który zdawał się gęstnieć. Wokół robiło się białe. Jechaliśmy wolno, gdyż o tej porze ulice były słabo przejezdne. Ludzie kręcili się tam i z powrotem. Wydawało mi się, że wszyscy mnie obserwują. O, to ona! Podkowińska! Ta, co zabiła

kobietę! I to jeszcze tę biedną Rutę, która całe życie miała pod górkę!

Na rondzie skręciliśmy na Strzelecką i po wybojach pokrytych świeżym białym puchem obraliśmy kurs na Janowo. Było mi coraz cieplej. Zdjęłam kaptur, rozpięłam płaszcz. Spojrzałam w lusterko. Obraz nędzy i rozpacz. Posiniałe kręgi pod oczami, pogłębione zmarszczki, szara cera, blade, niepomalowane usta. Nagle przybyło mi lat. Czułam się zmęczona i stara. Zamknęłam lusterko. Odruchowo sięgnęłam po pomadkę i na pamięć przeciągnęłam nią po ustach. Przetarłam wargę o wargę, przeczesalam palcami włosy, próbując je jakoś uładzić, jakby to mogło cokolwiek zmienić.

Ulica Sportowa o tej porze roku była opustoszała. Biały woal śniegu powoli zakrywał nudną szarość; łyse drzewa, przydomowe ogródki świecące pustkami. Na końcu ulicy minęliśmy biały dom, przy którym wielokrotnie przystawaliśmy, wracając z córkami ze spacerów. Niby zwyczajna willa, a jednak wyróżniała się wśród innych. Zadbana. W pięknych okolicznościach przyrody. Jezioro. Latem egzotyczne rośliny, iglaki przycięte finezyjnie, wystrzyżony trawnik niczym rzucona na ziemię połać szlachetnego aksamitu. Tutaj kończył się asfalt. Po lewej był ponemiecki bruk, którym można było dojechać do pobliskiej Krzynki, mijając urokliwe jeziora Uklejno i Stycko oraz pozostałości po dawnej karczynie leśnej Waldschenke.

Pojechaliśmy szutrową drogą, zostawiając za sobą niedokończony pensjonat i łuk brzegu dzikiej plaży, na której latem rozkładali się mieszkańcy z kocami, koszami pełnymi wiktuałów, kolorowymi dmuchanymi stworami – tu bowiem w upalne lato oprócz słońca i wody można było znaleźć błogi cień.

Czułam coraz większy spokój. Droga wznosiła się i z okien

samochołu mogłam patrzeć na połyskujące między drzewami niczym rybia łuska jezioro. Poszarzałe o tej porze szuwary, przyprószone śniegiem, wyglądały malowniczo. W najwyższym punkcie odsłaniał się piękny widok na przeciwległy brzeg. Przetrzebiono drzewa i można było podziwiać niemal baśniowy kraj-obraz. Śnieg powodował, że obraz był nieco zamazany, jak widziany przez zamglone szkła okularów, ale nietrudno było w tej otwartej przestrzeni wychwycić dachy oddalonych domów, które skrzyły się jak zaplątana w sieć wodorostów ryba albo zawieruszony w trawie odłamek szkła. Ciężkie, ołowiane chmury sunęły równo-legle do nas, przetaczały się szybko, gnane wiatrem, który tu – na tym odludziu – zdawał się coraz bardziej gwałtowny.

Jak z pękniętego balona uchodziło ze mnie powietrze. Mogłabym tak jechać i jechać. Byle dalej od tego wszystkiego. Donikąd. Samochód kołysał się miękko na wybojach. W radiu spiker straszył srogą zimą, która wraz z frontem atmosferycznym lada chwila miała zaatakować kraj.

\*\*\*

– Brr! Cisza tu, jakby wszyscy powymierali. – Wiktor otrząsnął się z chłodu.

– Może nieczynne? O tej porze roku to nawet pies z kulawą nogą nie chciałby się tu fatygować. Zobacz, ani jednego auta. W oknach pozasuwane rolety. Chyba nici z twojego planu – wyraziłam powątpiewanie i jednocześnie wystraszyłam się, że teraz odstawi mnie do domu i zostawi samą.

– Halo! Jest tu ktoś? – Uderzał w zamknięte na głucho okna. – Halo!

Niewielki bufet, do którego w czasie sezonu sztuką było się precisnąć, teraz wyglądał jak wielka, nieco pobladła fototapeta.



Zwisające niemrawo pędy sztucznego scindapsusa pokrywały kryształki lodu. Z kącika dochodził cichy dźwięk radia. Widać ktoś tu jednak był.

Wiktor przechylił się przez ladę i zwinąwszy dłoń w trąbkę, zawołał jeszcze raz:

– Halo! Goście przyszli! Jest tu ktoś?

Po chwili zza ciężkiej kurtyny z przezroczystego PCW wynurzyła się postać młodej, tęgiej dziewczyny. Pamiętałam ją. Latem uśmiechała się do mnie przymilnie, ilekroć podchodziłam do bufetu, by coś zamówić. Pewnie to znów jakaś moja uczennica. Gdy przyjeżdżały Kornelia z Gabrysią, dawałam im się wyciągnąć na Janowo, choć kiedy przybrałam na wadze, starałam się nie występować w bikini. Gabrysia nieustannie mnie mitygowała: „Przestań svirować! Popatrz na inne! Rozlewają się jak foki na piachu i nic sobie z tego nie robią! A ty? Dupcia jak pięć złotych, nóżki jak antylopka... I tylko trochę brzuszka! Niejedna z tych młodych lasek chciałaby tak wyglądać w twoim wieku!”. I ściągała ze mnie sukienkę, i przewiązywała mnie modnym pareo...

– Przepraszam, ale nie słyszałam! – Młoda kobieta dyszała ciężko, wycierając ręce w fartuch. Najwyraźniej oderwaliśmy ją od jakiejś pracy. Była spocona i czerwona na twarzy. – Czym mogę służyć? – spytała grzecznie, jak zwykle uśmiechając się do mnie.

– Chcielibyśmy zjeść coś ciepłego. Da się zrobić? – Wiktor mrugnął do niej, pozwalając sobie na poufałość.

Dziewczyna zarumieniła się, ale zacisnęła wargi, wzruszyła ramionami i pokręciła głową.

– Szału nie ma. Jakieś odgrzewane kotlety czy faszerowane uduka, frytki... ale nic poza tym. O, mogę jeszcze pierogi podać! Ruskie albo z mięsem... Może jeszcze flaki... Ale... szczerze...

nic świeżego. Wszystko mrożone. Kto by to chciał teraz bawić się w gotowanie. Tutaj o tej porze żywego ducha nie uświadczysz! Jak ktoś zamawia imprezę, to owszem. Ale tak? Ja tu tylko w pogotowiu. Dla takich zbłąkanych, jak nie przymierzając, państwo...

Spojrzeliliśmy na siebie. Mnie było wszystko jedno. Byleby tu zostać. Z nim. Dopóki nie dojdę do siebie.

– To niech będą te flaki i jakiś kotlet – zdecydował mój mąż. – A na początek herbata.

– Dla mnie kawa – poprosiłam. – Taka mocna!

– Espresso?

– O, właśnie! Espresso!

Na samą myśl o kawie zrobiło mi się lepiej. Dziewczyna ukłoniła się usłużnie i zniknęła za sztywnymi paskami kotary.

Zeszliśmy nad jezioro. Fala marszczyła wodę. Łyski, których czarne łebki z białymi blaszkami coraz to pojawiały się wśród spienionych fal, kołysały się sennie na wodzie, jakby zupełnie nie przeszkadzały im wiatr i prószący śnieg.

W szuwarach przy piaszczystym brzegu, gdzie latem nie szło szpilki wcisnąć, bo niczym patch-workowa narzuta pokrywały go barwne koce, teraz gęgały kaczki, trzepocąc w przestrachu skrzydłami. Widać nie spodziewały się towarzystwa i głośno wyrażały swoją dezaprobatę dla burzących ich spokój intruzów.

Dygotałam z zimna, z emocji i w żaden sposób nie mogłam nakłonić mojego ciała do posłuszeństwa.

– Przytul się. – Mąż zagarnął mnie ramieniem. Lewą ręką otulił mnie szczelnie, zapinając mi kaptur wysoko pod szyją. Im bardziej jego ruchy były miękkie i łagodne, tym bardziej czułam, jak moje ciało sztywnieje. Ożywały wspomnienia. Bałam się, że wpadnę w ich pułapkę, że pozwolę sobie na słabość. I co potem? Co zrobię z tym fantem?

Nic. Poddam się losowi. Nie mam siły na walkę.  
Jak z innego świata dobiegł nas głos bufetowej:  
– Państwo już mogą przyjść! Jedzenie gotowe!  
– Wracajmy, bo przy tej temperaturze zaraz wszystko  
wystygnie – powiedziałam rzeczowo i wywinąwszy się zgrabnie  
z objęć Wiktora, ruszyłam w stronę baru. Dopiero teraz zdałam  
sobie sprawę, że od chwili tego nieszczęsnego wypadku prawie  
wcale nie jadłam. Jakaś naprędce pochwycona kromka chleba  
z plastrem żółtego sera i łyk wody mineralnej. Mój organizm  
upominał się o porządny wikt.

\*\*\*

Na wpół przytomnie próbowałam powiązać fakty. Janowo.  
Obiad. Spacer, spacer, spacer. Wino. Dużo wina! Najpierw białe.  
Lekkie i subtelne. Potem czerwone. Wytrawne. Pierwszy łyk,  
smak wykręcił usta. Potem poszło lepiej. Ruta, Estera,  
Anzelm... karetka, wypadek... Wszystko spowijała mgła. Ni to  
sen, ni to rzeczywistość.

Zegar tykał uparcie. Tyk. Tyk. Tyk. Przez szpary  
w roletach sączyły się pojedyncze nitki światła. Zagarnęłam  
poduszkę pod siebie. Jeszcze nie teraz! Jeszcze nie chcę się  
obudzić! Pociągnęłam róg kołdry, by zakryć nagie piersi.  
Ciężko. Jakby ktoś położył wielki głaz na pościeli. Szarpnęłam  
mocniej. Chrrr! Chrrr, odgłos dochodził gdzieś spoza obszarów  
mojej świadomości. Przesunęłam stopę. Gładkie ciało.  
Wyślizgane. Aksamitne. Aż dziwne, żeby facet miał takie  
jedwabiste ciało. Sen – mara! Chrrr! Chrrr! Jak refren. Bolała  
mnie głowa. Zupełnie straciłam rachubę czasu. Byłam naga i...  
mokra. Odruchowo sięgnęłam ręką między nogi. Moje uda były  
lepkie. Powyżej czułam tępawy ból. Mechaniczny. Dobry ból.

Wiktor leżał obok mnie. Spał, pochrapując cicho.

Zagarnęłam kołdrę, chcąc za wszelką cenę zakryć swoją nagość. Pofałdowany brzuch, poorane cellulitem biodra, poprzecinane sinymi kreskami rozstępów zwiędłe piersi. Kryłam się chyba najbardziej przed sobą. Byliśmy sami. On spał obok. W naszej sypialni. Jakby nigdy nic. Jakby nie było Natalii. Jakby się nie wyprowadził. Jakbym nie potrafiła Ruty. Jakby nie było tych starych ludzi. Tej dziwnej kobiety i tego mężczyzny, który wyglądał jak wycięty ze starej fotografii. Lśniąca strużka śliny toczyła się wzdłuż podbródka. Bałam się poruszyć. Że może czar pryśnie. Że kolejny raz w ciągu minionych dni stracę optykę, nie będę potrafiła oddzielić życia od fikcji. Byłam zaspana, rzeczywistość docierała do mnie strzępkami. Zupełnie straciłam poczucie czasu. Miałam wrażenie, że ostatnie dni toczą się w innym wymiarze. Od tego cholernego wypadku minęła cała wieczność. Moje życie zostało przecięte i już nigdy nic nie będzie takie samo. Kiedy to się stało? W środę? W czwartek? Z trudem przypominałam sobie, że jest niedziela. Bogu dzięki, jutro nie muszę iść do szkoły. Janecki przysłał mi wiadomość. Pierwsza jej część brzmiała bardzo oficjalnie, ale potem wyrażał autentyczną troskę. „Pani Ireno, udzielam Pani urlopu do czwartku. Sprawy formalne rozwiążemy po Pani powrocie. Proszę być dobrej myśli. Wszystko będzie dobrze. Jarosław Janecki”.

W sypialni panował półmrok. Radio brzęczało irytująco. Chrząszczenia i trzaski wskazywały na to, że ktoś manipulował przy potencjometrze. Pewnie Wiktor klepnął ręką na oślep. Nie lubił spać przy radiu. Zawsze było zbyt głośno albo muzyka była denerwująca, albo spiker smęcił beznamiętnie. Namierzyłam włącznik nocnej lampki. Wiktor zamamrotał coś pod nosem. Podniosłam z podłogi szlafrok. Wsunęłam stopy w kapcie. Właściwie jedną stopę, bo drugi kapeć leżał na granicy sypialni

i przedpokoju. Dopiero gdy zobaczyłam swoje odbicie w lustrze, spróbowałam posklejać wyłaniające się z pamięci fragmenty minionej nocy. Puzzle wspomnień powoli układały się w logiczną całość. Rzuciłam okiem w kierunku sypialni. Wiktor spał. Jakby nigdy w życiu stąd nie uciekł. Z tym samym spokojem. W tej samej pozie, skulony jak przerośnięty embrion.

Nie! Nie będę teraz myśleć o tym, czy dobrze się stało! Nie będę się besztać ani usprawiedliwiać. Stało się, co się stało. Kamień w wodę. Co ma być, to będzie. Przecież nie cofnę czasu. Przespałam się z Wiktorem. Cholera! Przespałam się! I co? Niech mnie za to ukamieniają! Skażą na szafot! Śmierć żonom, które śpią z własnymi mężami! Natalia?! Co ona na to? Pies trącał Natalię! Szlag z Natalią! Co ona może? Kim jest? Paniąką na lato! Histerią faceta, który boi się starości!

Przymknęłam drzwi do sypialni, żeby szum wody i gwizd czajnika nie obudziły Wiktora. W radiu leciały stare przeboje. Beth Hart śpiewała *I'd rather go blind*. Oboje lubiliśmy ten kawałek. Kiedy w akademiku na Piastów leżeliśmy i na zdezelowanym ZK140t słuchaliśmy oryginalnego wykonania Etty James, kłóciliśmy się, czy jest Murzynką. Miała afroamerykańskie rysy i blond włosy. Kiepska podróbka Marilyn.

Woda bulgotała w czajniku. Sypałam kawę do filizana. Lubiał mocną kawę. Dwie czubate łyżeczki. Od słabszej bolał go żołądek. Nie potrafiłam tego zrozumieć. Uchwyt czajnika parzył. Zanim zdołałam zalać wrzątkiem kawę, okno kuchenne zaparowało. Drobne kropelki ciurkiem spływały po szybie, znacząc mokre ścieżki na plastikowych ościeżnicach, by rozlać się w bezkształtne kałuże na parapecie.

Wytarłam wodę, uchyliłam okno. Natrętny ziąb wtargnął do kuchni. Zasunęłam szczelniej poły szlafroka. Nuciałam: *Something told me it was over. When I saw you and her talkin. Some-thing deep down in my soul said, „Cry, girl”. When I saw you and that girl walkin around...*10. Wydało mi się to głupie i dziecinne, a jednak nie potrafiłam wyzbyć się poczucia szczęścia.

– Wyspałaś się? – głos mojego męża wyrwał mnie z zamyślenia.

– Wiktor! – Odwróciłam się w jego stronę. – Ten człowiek... Wczoraj pod szpitalem... Znasz go? Skąd wiedziałeś, że to Niemiec? To naprawdę Niemiec? – Podałam mu filiżankę. Kawa parowała. Gorąca chmura kręciła się spiralnie nad moją ręką. – Posłodziłam ci – dodałam, widząc niezdecydowanie w jego oczach. Wzrokiem szukał cukierniczki.

– Pytasz o tego starego? Tego, za którym krzyczałaś? – Wiktor dmuchał w filiżankę. Miał na sobie wczorajszą koszulę. Była na tyle długa, że zakrywała jego przyrodzenie. To dobrze, bo czułabym się niezręcznie. Już widok jego gołych nóg w pewien sposób mnie onieśmielał. Dziwne. Przeżyliśmy ze sobą tyle lat! Łamaliśmy wszelkie tabu. Przekraczaliśmy tyle granic. A tu? Gołe uda i golenie porośnięte rzadkimi włoskami. Ze ścieżkami niebieskich pajęczków.

– Tak, chodzi o tego starego mężczyznę, który wyglądał jak wycięty ze starego zdjęcia – potwierdziłam.

– To ten, który mieszka przy Drodze do Wilczego... Ma takie dziwne imię... Adolf? Albert? Nie! Anzelm! Tak! – Wiktor puknął się w czoło, jakby to miało mu przywrócić pamięć. – Anzelm Wittchow! Kiedyś ktoś opowiadał mi o nim. Taki ni to Niemiec, ni to Polak. Kiedyś przyszedł, jak jeszcze pracowałem w urzędzie, bo potrzebował jakiegoś pozwolenia.

Wiesz, jednego z tych durnych papierów. Coś tam bąkał pod nosem. Dziwny facet. W ogóle nie podnosił głowy, wciąż patrzył w podłogę. Ot, jeden z tych, co to nie wiedzą, kim są, Polakami, Niemcami czy cholera wie kim. Całkiem jak wolfia. Bez korzeni. Żyjący na chwilę... Ale co ty masz z nimi wspólnego? – Wiktor wyostrzył uwagę. – Czy ta kobieta to jego córka? Ponoć to wariatka! Żyje to żyje... A jak nie...?

Stanął za mną. Poczulałam, jak jego szorstki podbródek drapie mnie po szyi.

– Ona żyje! Nie zabiłam jej! – powiedziałam ostro, wykręcając się z objęć Wiktora. – A ten Wittchow... to jej ojciec. To dobry człowiek. I bardzo ją kocha. Wiem o tym...

– Dobrze, już dobrze – próbował załagodzić mój wybuch. Odłożył kawę i przytulił mnie do siebie. – Przestań już o tym myśleć – powiedział. – Sytuacja sama się rozwinie. Musisz czekać. Na pewno przyjdzie wezwanie. Teraz najważniejsze, żebyś sprawdziła, co z twoim samochodem. Przecież musisz jakoś funkcjonować – mówił takim tonem, jakby chodziło o jakąś banalną sprawę, którą z łatwością można odkręcić, która nie niesie żadnych poważnych konsekwencji.

Pomyślałam, że łatwo mu tak mówić, ale nie ciągnęłam tematu. Sączyłam resztkę kawy. Wiktor na stojąco przekąsił wczorajszą kanapkę i wyszedł z kuchni. Widziałam, jak rozgląda się po mieszkaniu, by zlokalizować swoje rzeczy. Kluczyki do samochodu, saszetkę. Podałam mu ją, bo akurat leżała na półce stojącej przy kuchni.

– Tutaj. – Uśmiechnęłam się.

Westchnął teatralnie, markując ulgę.

Oparta o framugę, patrzyłam, jak mój mąż przeczesuje coraz radsze włosy, przejeżdża ręką po szorstkiej brodzie, bez żadnego pośpiechu czy napięcia sznurkuje buty, robi węzeł

z szalika, strzepuje z marynarki niewidoczne pyłki. Za chwilę zatrzasną się za nim drzwi, potem stukot kroków po schodach, zgrzytnięcie drzwi wejściowych, oddalające się kroki. Zapuści silnik i odjedzie. Jakby nigdy nic.

Kątem oka zerknął na telefon. Pewnie sprawdzał, czy nie dzwoniła Natalia. Przez chwilę był skupiony, lecz zaraz skrzywił się i szybko przesunął ekran. Pisał esemesa. Poczułam ukłucie zazdrości. Zastanawiałam się, co takiego jej pisze, jak zamierza się wytłumaczyć z tej nocy. Chciałam wyrwać mu telefon i zadzwonić do niej, żeby opowiedzieć jej o wszystkim. O tym, jak nam było ze sobą dobrze, jak zrobiliśmy to kilka razy! Chciałam jej powiedzieć, żeby znalazła sobie kogoś innego, bo Wiktor, do cholery jasnej, wciąż jest moim mężem! Szybko jednak odrzuciłam tę myśl.

– Lecę – rzucił, muskając moje usta. Przez chwilę nasze oczy się spotkały. Chciałam wyczytać coś z jego spojrzenia, ale zaraz spuściłam wzrok. Bałam się, że dojrzę w nim pustkę i że to pozbawi mnie nadziei.

Gdy wyszedł, gorączkowo zabrałam się za sprzątanie. Zapach Wiktora wciąż unosił się w mieszkaniu. Mimo wszystko było mi lżej, nawet podśpiewywałam pod nosem. Wewnątrz mnie wciąż rozpływało się rozkoszne ciepło. Uśmiechnęłam się do własnych myśli, które niezmiennie krążyły wokół nocnego seksu. A wmawiałam sobie, że seks jest już poza mną, że wypaliłam się i nic już nie wskrzesi dawnego żaru. Teraz chciałam jeszcze i jeszcze. Kochać się. Bronić i poddawać. Wzbraniać i pozwalać. Zamykać, zaciskać mocno uda, chować nagie piersi, a jednocześnie otwierać się, niecierpliwić, kiedy wsunie się we mnie. Gwałtownie i rytmicznie. Niecierpliwie i zachłannie. Do granicy bólu i rozkoszy. W lustrze odbijała się moja twarz. Brak makijażu odkrywał pałające policzki, lśniące



oczy. Zaczerwienienia na szyi i dekolcie wywołały kolejną falę podniecenia.

– Ogarnij się... – mruknęłam pod nosem.

Włączyłam telewizor. Machinalnie przerzucałam programy, choć nie wiedziałam, czego szukam. Natknęłam się na jakiś obraz. Panorama Rzymu, widok na monumentalne Koloseum. W oddali górujące parasole rozłożystych pinii. Na rozległym tarasie, wyłożonym trawertynem z czerwonymi uwarstwieniami, w otoczeniu glinianych donic z ekstrawaganckim mariażem wymyślnych roślin – chryzantem santini, miniaturowych tykw, pudrowych cymbidium – kołysał się w hamaku splecionym z białego jak śnieg sznura Jep Gambardella. Leniwie, beztrosko. Wysmakowany, elegancki. Jakże mu zazdrościłam tego luzu. Byłam pewna, że ktoś taki jak on, w takim entourage'u, nie miewa problemów. Zapragnęłam tam być. Kontemplować życie, zachłystywać się jego urodą. Film wciągał i powoli udawało mi się spychać terażniejszość gdzieś na obrzeża umysłu. Z żalem patrzyłam, jak się kończy. Piękna kobieta obnaża krągłe, kształtne piersi, stara zakonnica wdrapuje się po laterańskich schodach, a Jep Gambardella mówi bez jakiegokolwiek emfazy: „Niech zatem powieść się kończy (...). Bla, bla, bla. Nieznane pozostaje nieznane. Nie dbam o to, co nieznane. Niech zatem powieść ma swój początek. Przecież to tylko sztuczka. Tylko sztuczka”. A potem spiker powiedział, jakby film dopiero się zaczynał: *La Grande Bellezza*. Na ekranie pokazały się napisy, a ja czekałam, aż ten podstarzały ekscentryk Toni Servillo zstąpi, jak gdyby nigdy nic, z niebieskiego ekranu i zabierze mnie do swojego pięknego świata, na tonący w słońcu taras.

Kiedy to wszystko się skończy, pojedę do Rzymu. W końcu zacznę realizować marzenia.

Wyłączyłam telewizor.

10 Coś mi mówiło, że to koniec / Kiedy widziałam, jak ty  
i ona rozmawiacie / Coś głęboko na dnie mojej duszy  
powiedziało / „Płacz, mała” / Gdy widziałam, jak chodzisz z nią.

## Niespodziewany gość

Świat za oknem ogarnęła monotonia. Wokół biel. Gdzieś pod śniegiem zniknęła bura szarość. Niebo zasnuwały ciężkie, stalowe chmury. Wisiały nisko, jakby zaraz miały spaść i zakryć całą przestrzeń. Gęste i złowieszcze. Aż trudno uwierzyć, że gdzieś ponad nimi świeciło słońce. Na samą myśl o słońcu uśmiechnęłam się. Lubiłam to ciepło płynące z nieba, towarzyszącą mu jasność. W takie dni o wiele łatwiej znosiłam wszelkie porażki, szybciej potrafiłam się otrząsnąć. Wiktor żartował, że jestem uzależniona od słońca. I byłam. Zapadałam się jesienią, a wiosną wychodziłam ze swojego pancerza. Wyposażona w nowe siły, odrodzona.

Zaciągnęłam firany. Niemal w tym samym momencie rozległ się dźwięk gongu. Byłam pewna, że to on – Wiktor – wrócił. Może już wytłumaczył się Natalii, a może... może już zostanie. I choć wizja ta wydała mi się zupełnie niedorzeczna, pospieszyłam do drzwi.

W oku wizjera zobaczyłam zniekształconą twarz mężczyzny. Przyglądałam mu się chwilę, jednak nie znalazłam nikogo podobnego wśród zakodowanych w umyśle postaci.

– Kto tam? – spytałam, nie odrywając wzroku od małego szklanego oczka. – Pan w jakiej sprawie?

Szybko zweryfikowałam pamięć, czy aby niczego nie zamawiałam i to nie kurier, ale nie! Poza tym była niedziela, więc nie mógł to być ani kurier, ani inkasent. Mężczyzna był młodszy ode mnie. Miał czterdzieści lat, może mniej. Wysoki,

o niemal chłopięcej sylwetce. Miał na sobie ciemną, rozpiętą budrysówkę. Drewniane kołki majtające przy połach kurtki odznaczały się od burej wełny. Spod kurtki wystawał jasny, gruby golf. Nieznajomy odwijął z szyi kolorowy szal. Na klatce schodowej zapewne było gorąco.

– Dzień dobry! Ja do pani Ireny Podkowińskiej – poinformował przez drzwi. – Czy to pani?

Zawahałam się, ale perspektywa kłamstwa wydała mi się idiotyczna.

– A o co chodzi?

Nie spuszczałam oka z mężczyzny, a jednocześnie nadal, niczym kartki książki, przerzucałam w pamięci wizerunki znanych mi mężczyzn. Wciąż żaden mi do niego nie pasował.

– Chcę z panią porozmawiać – odezwał się ponownie, przysuwając twarz jak najbliżej drzwi, jakby zależało mu na tym, by go nikt nie słyszał. – Chodzi o Rutę... – Ogarnęła mnie nagła panika. Pytania, jedno po drugim, cisnęły mi się do głowy: Policjant? Ktoś ze szpitala? Zanim zdołałam się odezwać, mężczyzna, jakby próbował pozbawić mnie wszelkich wątpliwości, oznajmił: – Nazywam się Grzegorz Wojnowski. Jestem mężem Ruty. – Miał spokojny głos, niemal chłopięcy. Pasował do jego fizjonomii. Facet nie wyglądał na kogoś, kto przyszedł, by wszczynać burdę.

Już miałam otworzyć, gdy uświadomiłam sobie, że wciąż jestem w negliżu. Musiałam coś na siebie narzucić.

– Proszę chwilę zaczekać.

Wpadłam do sypialni, chwyciłam pierwszy lepszy sweter, wciągnęłam dzinsy, palcami rozplątałam włosy i klamrą spięłam je w bezładny kok. Przymknęłam drzwi i ruszyłam do wejścia. Zawahałam się jeszcze na ułamek sekundy, ale odsunęłam zasuwę.

Stał, jakby czekał na zaproszenie.

– Niech pan wejdzie. – Odsunęłam się i puściłam go przodem.

Wojnowski wszedł do pokoju. Zanim zaproponowałam, by usiadł, odsunął gazetę, która zajmowała prawie pół powierzchni sofy. Twarz celebrytki zmarszczyła się, trudno było odczytać krzyczący na pierwszej stronie lead. Wzięłam gazetę i wsunęłam do gazetnika.

– Napije się pan czegoś? Kawy? Herbaty? – spytałam.

Nie miałam ochoty raczyć się z nim czymkolwiek, ale chyba podświadomie próbowałam odwlec rozmowę. Po co przyszedł? Czego może ode mnie chcieć? Jak mnie znalazł? Nie widziałam go w szpitalu, nie miałam zielonego pojęcia o jego istnieniu, a tu naraz zjawia się w moim domu. Po co? A może chce pieniędzy? Albo... Wyobraźnia podtykała mi coraz to bardziej absurdalne rozwiązania.

– Jeśli mogę, proszę wodę – powiedział i zaraz dodał:

– Zwykłą, z kranu.

Z kuchni obserwowałam go kątem oka. Miałam wrażenie, że jest niespokojny. Siedział na samym brzegu sofy, jakby bał się poruszyć. Przez chwilę walczyłam z folią na butelce i wciąż mając oko na pokój, wlałam wodę do szklanek, roniąc kilka kropli na meble. Starłam się za wszelką cenę zachować spokój.

Wróciłam do pokoju. Trzymałam mocno szklanek z wodą, by nie pozwolić dłoniom na drganie. Podałam mu.

Wypił haustem, jakby był nieludzko spragniony. Zdałam sobie sprawę, że przyglądałam mu się w skupieniu. Nie mogłam oderwać od niego wzroku. Był spięty. Pod luźnym golfem widziałam przesuwające się jabłko Adama. Przymykał oczy, łykając. Zaczekałam, aż odstawi szklanek.

– Czego pan ode mnie oczekuje? – Wciąż wpatrywałam się

w niego, jakbym się bała, że gdy odwrócę wzrok, na jego twarzy pojawi się inny wyraz, zniknie maska – fraszobliwa i łagodna, a pojawi się gniew czy nienawiść. Milczał. Żałowałam, że wyłączyłam telewizor. Z dworu dochodziły odgłosy samochodu, ciche dźwięki czujnika cofania. Za ścianą buczał odkurzacz. Jednostajny szum splatał się z głuchą ciszą. Miałam wrażenie, że trwa w nieskończoność, choć nie minęło więcej niż kilkanaście sekund. – Jak pan tu trafił? Skąd pan znał mój adres? – przerwałam milczenie. Nasze spojrzenia się spotkały, ale mężczyzna zaraz uciekł wzrokiem gdzieś ponad moją głowę i zatrzymał go na fotografiach. Ja, dziewczynki, moi dziadkowie, rodzice – cała rodzinna galeria. Tylko jedno zdjęcie z Wiktorem zdjęłam, gdy się wyprowadził. Pozostała po nim nieco bledsza plama. Pomyślałam, że muszą ją czymś zakryć... A może znajdę tamto zdjęcie, wrzuciłam je gdzieś między szpargały. Na wspomnienie Wiktora poczułam przyjemne ciepło. Jeszcze nie tak dawno byłam na niego wściekła, wyklinałam go, życzyłam mu wszystkiego, co najgorsze, z impotencją na szczycie listy, a teraz... teraz żałowałam, że go tu nie ma. Byłam sama. Z facetem, po którym Bóg wie czego mogę się spodziewać.

Przez twarz Wojnowskiego przemknął nikły uśmiech. Wierzchem dłoni otarł usta.

– Wie pani, to małe miasteczko. Wszyscy tu wszystko wiedzą... A panią szczególnie znają... Ja też panią pamiętam... – urwał i spojrzał na mnie, żeby zbadać moją reakcję. Zanim jednak zdążyłam kolejny raz sięgnąć do moich pokładów pamięci, podjął: – Nie, nie, nie uczyła mnie pani, chodziłem do innej klasy. Ale ją. I też chyba krótko. Bo potem już pani nie widziałem, chyba odeszła pani do ogólniaka. Tak. Ją na pewno. Moją Rutę. – Lekki uśmiech przebiegł po jego twarzy, gdy

wymawiał jej imię. – W osiemnastce, na górze. Na wprost auli. W głębi korytarza mieścił się gabinet dentystyczny. Zza drzwi słyhać było budzące grozę dźwięki borowania, świszczanie przechodzące w pisk, który docierał w najdalsze zakamarki mózgu. Nie pomagało zatykanie uszu palcami. A ten zapach! Niósł się już od parteru! Brrr!

– Po co mi pan to wszystko opowiada? – zapytałam. Zachowywałam spokój, choć uświadomiłam sobie, że czekam na ciąg dalszy.

Wojnowski wsunął palce w gęste włosy na lewej skroni. Zatoczył kilka okręgów, jakby odgrzebywał coś z pamięci.

– Zawsze czekałem na nią przed klasą. – Zignorował moje pytanie. – Wychodziłem szybciej ze swoich lekcji, żeby zdążyć. Stałem na schodach. Kiedy uczniowie wychodzili z sali, udawałem, że idę do góry albo na dół. A czasem wystawałem przed gabinetem dentystki, udając, że czekam na wejście, chociaż za diabła żywego nie wszedłbym tam, bo bałem się tej baby jak nikogo na świecie. Do dziś mnie trzepie, jak sobie ją przypomnę. Ruta wychodziła ostatnia. Z nim. Nie odstępował jej na krok! A ja, niby odwrócony, gapilem się na nią ukradkiem. – Mężczyzna rozmarzył się. – Wciąż mam ją przed oczyma. Była młodsza ode mnie. Drobną, z czarnymi włosami związanymi w koński ogon. Wyróżniała się spośród innych. Strojem i tą swoją nieobecnością. Przemykała szkolnymi korytarzami ponad spojrzeniami – niczym duch. Skulona w sobie, z ramionami zwiniętymi do klatki piersiowej. Byle tylko ktoś jej nie szturchnął, byle o nikogo się nie otrzeć. Rzadko można było ją spotkać z dziewczynkami stojącymi w wianuszku na szkolnym korytarzu. Zawsze sama. Albo w towarzystwie tego chłopaka, Cygana. – Zamyślił się na chwilę, po czym podjął: – Nieraz w nocy wyobrażałem sobie...

ją, siebie. Wie pani, jak to chłopak. Niektórzy już mieli dziewczyny. Trzymali ich zdjęcia w kieszeniach koszul. W szatni, koło stołówki na dole, całowali się z nimi i zostawiali czerwone malinki na ich szyjach, które dziewczyny potem owijały kolorowymi apaszkami. Od razu było wiadomo, że te w kolorowych chustkach noszą ślady całowania. Czasem koledzy, jeden z drugim, namawiali mnie na dyskotekę, zapraszali na domówki, mrugali porozumiewawczo, że mi dziewczynę nagrają na imprezie. Ale ja nie! Byłem w niej zadurzony po uszy. Nikomu się nie zwierzałem, bo wyśmialiby mnie. Że dziwaczka, odludek. A jeszcze on... – Mężczyzna zmarszczył czoło, głos mu się zmienił. Odchyliłam głowę i zacisnęłam powieki. Wysypujące się spod klamry niesforne kosmyki łaskotały mi kark. Byłam zasłuchana, ale coraz to nowe pytania cisnęły mi się na usta. Dlaczego on mi to wszystko mówi? O co mu chodzi? Dlaczego pojawił się w moim domu, choć ani razu nie natknęłam się na niego w szpitalu? Miałam taki mętlik w głowie, że nawet gdyby teraz ktoś zapytał o rzeczy oczywiste: o córki, męża, ważne daty, musiałabym się zastanowić nad odpowiedzią. – Ten... ten... – bąkał, wydymając pogardliwie wargi. W owym słowie dawało się usłyszeć niechęć, a może nawet pogardę. Zresztą na tę chwilę coś zmieniło się w jego twarzy. Nie było już łagodności, smutku. Pozioma bruzda na czole, dotychczas prawie niezauważalna, pogłębiła się, nerwowo zadrgały kości policzkowe, oczy zwęziły się do małych szparek i widać było tylko białe kreski twardówki ze schowanymi półksiężycami źrenicy.

– Kto? – zapytałam. – Kogo ma pan na myśli?

Widziałam, jak walczy ze sobą, jak trudno mu mówić.

– Tego... tego... świrusa, odmieńca, głupka... – Limit inwektyw chyba się wyczerpał, bo mężczyzna zamilkł. Nagle



zaczął budzić moje obawy.

– Doprawdy nie wiem, o kim pan mówi. W ogóle nie wiem, co to wszystko ma wspólnego z pana wizytą. Naprawdę byłabym wdzięczna, gdybyśmy mogli już przejść do rzeczy – wyrzuciłam z siebie kłębiące się we mnie wątpliwości. Starłam się mówić spokojnie, choć gdzieś we mnie przyczaił się lęk; coraz bardziej chciałam znów zostać sama. – Proszę mnie zrozumieć, jestem zmęczona. Jest niedziela. Należy mi się trochę odpoczynku. Proszę mi wierzyć. Należy mi się... – powtarzałam jak refren.

– Przepraszam, przepraszam... – przerwał mi, chyba sam przerażony swoim wybuchem złości. A może dostrzegł w moich oczach strach, który choć zniknął tak szybko, jak się pojawił, spowodował, że chrząknęłam nerwowo i wyprostowałam się. – Nie powinienem był się unosić. – Podniósł ręce na wysokość klatki piersiowej, pomachał nimi lekko i wykonał ruch, jakby zamierzał wstać, podejść do mnie i przygarnąć jak ktoś, kto chce kogoś uspokoić, sprawić, by zniknął strach. Cofnęłam się odruchowo, ciasno przylegając do oparcia. Ale on tylko sięgnął po szklankę. Wysączył z dna ostatnie krople. – Wszystko było nie tak... Przecież byliśmy jeszcze dziećmi... Ona dzika jak ten Mowgli... wie pani, ten z *Księgi dżungli*... – Oczywiście, że wiedziałam. – I on! Ptasi Król...

– Ptasi Król? – przerwałam mu. – Na litość boską, o czym pan mówi? Jak nie Mowgli, to Ptasi Król! – Byłam coraz bardziej poirytowana. Zastanawiałam się, gdzie jest moja komórka. To, że nie umiałam jej zlokalizować, spotęgowało mój niepokój.

– Ten pomiot gestapowca i Cyganki! – burknął wrogo. Mężczyzna potrząsnął głową, jakby to pomogło mu wyrzucić wspomnienia. – Tyle lat! A ja wciąż pamiętam! Niech pani sama powie! Tak można?! Wiem! Byliśmy dziećmi! Wszyscy.

Każdy miał swój garb, swoje życie. Ja też. I oni. Para cudaków! Jedno z jednego skraju lasu, drugie z drugiego. Odmieńcy. On ni to Cygan, ni to Niemiec, ona podobnie: ni to Niemka, ni Polka, ni Żydówka. Pies z kulawą nogą za nimi nie trafi! Wszyscy w szkole szeptali za ich plecami. Wszyscy się z nich naśmiewali. Tylko ja... Jak głupi! Zakochany, że zupełnie rady sobie z tym nie mogłem dać! A jeszcze ludzie po kątach szeptali. A kiedyś ona przyszła do szkoły. Miała na sobie jakieś dziwne łąszki, pewnie sama je poszyła. Wyglądała jak malowany ptak albo kolorowy motyl. Ale naraz zobaczyłem, że szyję ma omotaną jakimś zwojem. W szkole zahuczało. Gadali, że niby niegramotni, a swój rozum mają. Jeden z drugim wymyślał, jak to nieraz śledzili ich, jak zapuszczali się w szuwary nad jeziorem. Czekali, czekali... bywało, że kilka godzin... Nic się nie działo, ale chłopaki jak to chłopaki. Wie pani... człowiek młody, głupi... Wyobrażał sobie Bóg wie co... Kto to wiedział, że... że to tylko głuptyki prawdziwe! On gapił się na ptaszydła, a ona bazgrała coś na dużych kartkach... A potem był pożar... Wszyscy w mieście mówili o tym, gazety się rozpisywały... Gadano, że to jakieś zadawnione porachunki, że mściwości... że za mało było kary dla ojca i trzeba było ukarać matkę i dzieciaka... Szukali winnego, ale nie znaleźli. Przepadł. Jak kamień w wodę. Aż do czasu...

Jak w zwolnionym tempie z otchłani mojej pamięci wynurzały się pojedyncze sceny. Sala osiemnastka w jedyńce... Początki mojej pracy. Wszystko miało jednak rozmazane kontury, pokryte mgłą, zawoalowane. Jak z niezmierzonej odległości dochodziły do mnie przekazy nauczycieli... O pożarze, o Cygance i esesmanie... Jak ckliwy scenariusz melodramatu. Ale coraz mocniej chwytalam linki zdarzeń, poluzowane sznurki dawały się powiązać w spójny obraz.

Juruś... i dziewczynka... która coraz wyraźniej przybierała postać... Ruty. Tej samej, która leżała teraz w sali numer siedem. Ruty Wojnowskiej, której mąż przyszedł do mnie nie wiem po co.

– Panie Wojnowski – zaczęłam cicho – co ja mam z tym wszystkim wspólnego? Ja wiem... Jestem winna. Potrąciłam pańską żonę... I doprawdy nie wiem, jak to się stało... – Na samo wspomnienie głos mi drżał. – Ona wyłoniła się z mgły... Nagle... – urwałam, by nabrać powietrza.

Jeszcze chwila, a byłabym gotowa uraczyć go swoją historią. Może nawet obecność tego mężczyzny okazałaby się dla mnie zbawienna i oczyszczająca. W końcu zjawił się ktoś, kto mnie do końca wysłucha. Nie bezduszny urzędnik, nie Wiktor, który siłą rzeczy i mimo wszystko mnie usprawiedliwi. Bo wciąż jestem jego żoną. Ireną Podkowińską. Ale ktoś inny. Inna wersja zdarzeń.

Mężczyzna jednak nie chciał mnie słuchać. Nie po to przyszedł, nie po to mnie odszukał i stał pod drzwiami, czekając cierpliwie, aż mu otworzę. Przyszedł ze swoim życiem, które najwidoczniej zamierzał przede mną odsłonić. Czy mi się to podoba, czy nie.

– Błagam, niech mi pani nie przerywa, niech mi pani pozwoli mówić! Ja muszę... Muszę! – Sprawiał wrażenie zupełnie załamane. Na przemian byłam wściekła i żałowałam tego człowieka, który z sobie tylko znanego powodu znalazł się w moim mieszkaniu. – Mogę prosić jeszcze wody? – zapytał.

Bezradnie wzruszyłam ramionami. Nie byłam zdolna do tego, by mu odmówić, wyprosić go. Chwyciłam szklankę. Staralam się nie patrzeć na niego, ale przychodziło mi to z trudem. Skurczył się. Zapadł w sobie. Widziałam, jak podnosi rękę do oczu. Chyba nie płacze? Tylko nie to! Widok płaczącego

faceta zawsze rozkładał mnie na łopatki. Traciłam dystans.

Długo napełniałam szklanke, by dać mu szansę na opanowanie. Wyciągnęłam szufladę zamrażarki, by wydobyć z jej czeluści korytko z kostkami lodu. Walczyłam ze zmrożonymi bryłkami, które przyklejały się do palców, zaraz jednak lądowały z pluskiem w szklance. Dorzuciłam plaster cytryny i listek mięty hodowanej w doniczce na parapecie. Dla orzeźwienia.

Wróciłam. Wojnowski zdawał się całkiem rozbity. Jakby miał się rozsypać. Wystarczyłby byle ruch i zostałyby niewielka górka pyłu. A potem już tylko dmuchnąć, by rozproszyła się w powietrzu.

Niemal jednym haustem opróżnił szklanke.

– Po tym pożarze nie widziałem jej długo. Nie chodziła do szkoły. Nie pytałem nikogo. Nie chciałem, by ktoś się domyślił, że się w niej zabijałem. W takim dziwolągu! Czasem podchodziłem pod dom. Mieszkała przy Drodze do Wilczego. Z ukrycia podglądałem, jak rozkłada kartki na sztalugach, wokół siebie puszki, pudełka, pędzle... I całymi dniami coś malowała. Ale niedługo tam byłem, bo ten jej ojciec wciąż się po obejściu kręcił. On coś strugał, a ona malowała. I w ogóle do siebie nie mówili. A potem, jakoś po wakacjach, poszedłem do zawodówki. Kręciłem się to pod szkołą, to koło jej domu. Nijak mi nie przechodziło... I po dwóch latach... Znowu znaleźliśmy się w jednej szkole. Ona przyszła po ósmej klasie do liceum, a ja chciałem dalej się uczyć po zawodówce. Wie pani, żeby maturę mieć. Bo co to bez matury. O studiach myślałem... Ale przede wszystkim chciałem być jak najbliżej niej. I potem jakoś tak wyszło... – Wojnowski zaczerwienił się jak młody chłopak. Przypomniałam sobie początki moje i Wiktora. Pierwsze randki. Czulałam, że niepokój zaczyna mnie opuszczać. Wciąż jednak nie

rozumiałam, po co Wojnowski tu przeszedł. Czy tylko po to, by opowiedzieć mi swoje życie? – A wie pani? Mamy dzieci. Dwoje! Dziewuszka Sonia i syn Kuba. – Ożywił się, jakby dźwięk wymówionych imion sprawił mu niebywałą przyjemność.

Nie potrafiłam ukryć zdumienia. Całkowicie mnie to zaskoczyło. Dzieci? Ani razu nie były w szpitalu. On zresztą też. Cała ta sytuacja wydawała mi się coraz bardziej enigmatyczna, jak jakiś surrealistyczny sen.

– To wspaniale – rzuciłam. – Ale... Wciąż nie wiem, w jaki sposób ja...

– Chce pani wiedzieć, po co tu przyszedłem, tak? – wtrącił.

– No... tak...

– Chcę, żeby jej pani powiedziała, jak bardzo ją kocham...

Ja wiem, że ona jest nieprzytomna. Ale co z tego? Błagam, niech jej pani to powie!

Znowu pomyślałam, że facet jest niespełna rozumu.

– Ale dlaczego sam pan jej tego nie powie? Jest pan jej mężem!

– Nie mogę... Nie mogę!

– To może syn? Albo córka? Ale nie ja! Jestem chyba ostatnią osobą, od której chciałaby cokolwiek usłyszeć. Może poza przeprosinami... O mało jej nie zabiłam!

– Nie, nie... Oni nie... A zresztą nie wiem, gdzie są, czy w ogóle wiedzą...

– Jak to? To gdzie są wasze dzieci? – Miałam dość.

Wszystko, co mnie ostatnio spotkało, było totalnie nielogiczne. Jakaś ironia losu! Kiepski żart! Chciałam wyrwać się z tego obłądu!

– Nie wiem... To, co powiem... może wydać się pani straszne, ale niech mnie pani wysłucha. Niech pani mnie nie

ocenia! Ja już i tak mam za swoje... – Ciarki przeszły mi po ciele, byłam poruszona. Bałam się dalszego ciągu tej opowieści, która indukowała mnie coraz to większym strachem. Bóg mi świadkiem, bardzo żałowałam, że wpuściłam tego człowieka za próg. Zobaczyłam, jak sięga do kieszeni. Zmroziło mnie. Ledwie przegonione obawy wróciły ze zdwojoną siłą. Wszystkie mięśnie mi się napięły, w gardle poczułam suchość. Głośno przełknęłam ślinę. Wodziłam wzrokiem po pokoju, szukając czegoś, co nadałoby się do obrony. Ale gdy Wojnowski wyciągnął w moim kierunku rękę, ujrzałam w niej zmięte zdjęcie. Trzymał je jak relikwię. – To my – rzekł z nieskrywaną dumą. Tarł po zdjęciu palcami, by wyrównać pozaginane brzegi. Fotografia była stara i sfatygowana. Jej górny róg był poszarpany. Z pożółkłego zwitka spoglądała rodzina. Ojciec trzymający za rękę chłopca i ona – Ruta – z maleńką, dwu-, może trzyletnią dziewczynką. Dziwne było to, że nikt na tej fotografii się nie uśmiechał. Nawet dzieci, którym zapewne ten, kto robił zdjęcie, mówił: „A teraz – uśmiech!” albo „Powiedzcie: ser”. Zawsze tak się mówi przy robieniu zdjęcia.

Przyglądałam się im wszystkim. Byli do siebie podobni. Wojnowski pogładził palcem fotografię, rozprostował ją i schował. – Pobraliśmy się, zamieszkaliśmy razem – podjął. – U jej rodziców przy Drodze do Wilczego. Dla dzieciaków to, wie pani, tam był raj... Las, łąka, z dala od ludzi. Tylko my i oni – jej rodzice. Oni – machnął otwartą dłonią, jakby odganiał muchy – to już całkiem inny świat. Żyli, bo żyli, czasem co bąknęli pod nosem. Ale najczęściej znikali z oczu. On w lesie albo za chałupą z tymi swoimi rzeźbami, a matka Ruty to wciąż się wałęsała po lasach, łąkach, zносиła całe naręcza zielska, potem to wiązała, suszyła, zakręcała w słoiki. Z dzieciakami najlepiej się dogadywali. Zwłaszcza jak byli z nimi sami. Nieraz

bałem się, że mi młode poszamania, ale było dobrze. Żyliśmy jak ludzie. Ja pracowałem, choć od dawna na niczym nie mogłem skupić uwagi. Noce... to był istny koszmar. Lubiłem, jak dzieciaki płakały, bo wtedy mogłem chodzić do nich, śpiewać im, kołysać... Wszystko, byle tylko nie spać. Oczu zamknąć nie mogłem, bo wciąż ten obraz... Brrr... powracający noc w noc... – Zastanawiałam się, jak można w trakcie jednej opowieści tak się przeobrażać. Do głowy przyszła mi durna myśl, że Wojnowski byłby świetnym aktorem. Byłam jednak pewna, że opowieść, którą mi prezentuje, to nie żaden aktorski popis. Mało tego! Z każdym zdaniem zyskiwałam pewność, że to nie będzie żadne love story z happy endem. – A któregoś lata się zaczęło! Ruta wróciła do malowania! Cały dom obrazów, szopy i komórki! I niechby... Ja tam na sztuce się nie znam, ale wie pani, zewsząd wyglądały na mnie ptaszyska z rozłożonymi skrzydłami, ostrymi dziobami, pojedyncze, stadami... Jak u jakiegoś Hitchcocka! Leciały wśród języków ognia, strzelającego w górę, panoszącego się. A najgorsze, że na wszystkich bohomazach tylko ptaki i ogień, i... i... nie kto inny jak on! Rozumie pani? Ten Cygan! I któregoś dnia nie wytrzymałem. W szale pozbierałem te malowidła, połupałem sztalugi, płótna porwałem na strzępy. Rzuciłem je na stos i podpaliłem. Szarpała mnie, oczy mi chciała wydrapać. Odtrąciłem ją, bo przecież, pani kochana, za nic krzywdy bym jej nie zrobił, ale ona na mnie z pazurami. Nie wytrzymałem i wykrzyczałem jej w tym amoku, że raz już go spaliłem, więc potrafię to zrobić jeszcze raz i jeszcze raz, i jeszcze raz! Aż do skutku! Choćby i do końca życia! – Naraz udało mi się pochwycić wszystkie sznurki, dotychczas luźno puszczone. W głowie wyświecił mi się makabryczny obraz. Stado ptaków z jazgotem wyfruwające z płonącego domu, postać chłopca

wśród zachłannych, lubieżnych języków ognia. Wojnowski patrzył na mnie. On też wiedział, że konstruowana przez niego opowieść do mnie dotarła. – Zrozumiała w mig... Nie powiedziała nic. Poszła. Wróciła w towarzystwie policjantów. Mogłem uciekać, ale nie chciałem. W gruncie rzeczy odczuwałem ulgę. Zrzuciłem ten kamień, który od tyłu lat w sercu dźwigałem. Sprawa dawno już była umorzona... Nie było dowodów, ludzie zapomnieli. Ale w związku z pojawieniem się nowych okoliczności wznowiono. Skazali mnie na dwanaście lat... Byłem dzieckiem, obrońca z urzędu podkreślał... Miasto huczało. Ją umieścili w zakładzie dla nerwowo chorych... A dzieci najpierw trafiły do rodzin zastępczych, a potem wróciły do domu. Ale wie pani, to już po internatach, teraz na studiach. – Słuchałam słów mężczyzny i trudno mi było się pozbierać. Matko jedyna! Nie mogłam uwierzyć, że ten cholerny wypadek w ten cholerny mglisty dzień znajdzie taki finał. Najwytrawniejszy pisarz nie wymyśliłby takiego splotu wydarzeń! To wszystko zdawało się nie mieć końca. Tylko ktoś taki jak ja – urodzony pod jakąś zasraną gwiazdą – może mieć takiego pecha! Musiałam się czegoś napić. Wstawałam, gdy Grzegorz Wojnowski odezwał się ponownie: – Chcę, żeby pani jej powiedziała, że nie wszystko stracone... Odzyskamy siebie i nasze dzieci... Życie toczy się dalej. Wszyscy jesteśmy pokiereszowani...

– Ale co ja... Jaka jest moja rola...? Czego pan ode mnie oczekuje? – jękałam się, nie chcąc sprawiać wrażenia, że odżegnuję się od odpowiedzialności. Co innego jednak przyznać się do winy i wziąć na siebie ciężar wypadku, a co innego mieszać się do cudzego życia.

Wzruszył ramionami. Był zagubiony. Mój Boże, kolejny nieszczęśliwy człowiek!



– Nie wiem, ale jest pani mądrym człowiekiem. I może nieprzypadkowo to, co się stało, przydarzyło się pani.... Nie wiem, ale błagam, niech mi pani pomoże!

Zrozumiałam, że Wojnowski oczekiwał ode mnie zadośćuczynienia za wypadek Ruty. To miała być moja zapłata. Moja pokuta. Wiedziałam jednak, że to, o co prosi, przerasta mnie.

Nie powiem nic tej kobiecie.

Ja bym nie wybaczyła.

\*\*\*

Wojnowski się pożegnał.

Schowana za zasłoną, obserwowałam, jak znika za rogiem, zostawiając po sobie odcisnięte na śniegu ślady. Snułam się z kąta w kąt. Wszystko leciało mi z rąk. Chciałam zadzwonić do Jagody, do Gabrysi, do Kornelii, ale zniechęciła mnie perspektywa opowiadania im wszystkiego od nowa. Potrzebowałam odpocząć od tego wypadku, od tej dziewczyny, jej matki, ojca... A teraz jeszcze on – Grzegorz Wojnowski. Wszystkie postacie wirowały jak na karuzeli. Co chwilę ktoś wsiadał, wysiadał. Dziwne, że w tym korowodzie nie było nikogo z moich przyjaciół, uczniów. Tylko oni – osoby związane z Rutą, kobietą, która wyłoniła się z mgły. I wszyscy żyli gdzieś obok mnie. Całe życie mieszkam w Barlinku. Setki nazwisk, imion... Zamknęłam się w swoim panczerzyku. Sama sobie. Praca, dom, praca, dom. Poza Jagodą, która na bezczelnego egzekwowała ode mnie uwagę, nic. Nawet Wiktor wie więcej niż ja. Wciąż echem odzywały się w mojej głowie jego słowa o Anzelmie: „To jeden z tych, co to nie wiedzą, kim są, Polakami, Niemcami czy cholera wie kim. Całkiem jak wolfia! Bez korzeni. Żyjący na chwilę...”. Dziwne. Skąd, na

litość boską, go znał? I dlaczego ja, mieszkająca tu od urodzenia, nigdy nie słyszałam ani o niej, ani o nim? Przecież Barlinek to nie Paryż! Wszyscy się tu znają... A jednak...

## Odszczepienie

Człowiek musi być skądś. Nie może wypaść sroce spod ogona. Człowiek musi mieć swoją opowieść. Genealogię. Bo nawet jeśli jest trawą albo chwastem natrętnym, to i tak ma swoje miejsce i przeszłość, i historię. Taką czy inną. Korzenie. Choćby pokieroszowane, choćby potargane, bo wciąż i wciąż wyrywane. Ale przecież nie jest znikąd. Zdarza się, że ledwie ktoś się narodzi, a już jest wiany wiatrem, rzucony jak liść na wodę, co to nie wiadomo, dokąd popłynie.

– Wracajmy do domu – powiedziała zmęczonym głosem Estera. – Wszystko już będzie dobrze. Trzeba czasu.

Brzmienie tych słów wyrwało go z odrętwienia. Siedział i patrzył beznamiętnie. Raz na jedną, raz na drugą. Obiema wciąż się zdumiewał. Choć były całym jego życiem. Nie potrafił mówić pięknych słów. Nie umiał czarować. Ale pod tą skórą stwardniałą i nieczułą czaiła się tkliwość nie do opisania. Odzywająca się głosem z odległej przeszłości. Przecież nie głosem matki, bo ta zostawiła go zaraz po porodzie. Znał jej imię. Irma. Kołatało się w nim od zawsze. Irma. Irma. Głównie za sprawą Berty i Kalnsteinów, a w zasadzie hrabiny Gudrun, która w owych rzadkich chwilach, na przykład gdy przelatywał przypadkiem obok niej, chowając wstydliwie głowę, przypominała mu: „Pamiętaj, Anzelm, o swoich rodzicach. Czasy się zmieniają, miejsca się zmieniają, ale rodzina to rodzina. Może kiedyś ktoś się upomni o twoich przodków”. Uśmiechała się do niego serdecznie i mierzwiła mu włosy. On

jednak wzdrygał się dyskretnie, nienawykły do takich gestów, i szybko od niej uciekał.

Odkąd pamiętał, mieszkał u Kalnsteinów w Wolfsburgu, choć nigdy nie miał poczucia, że to jest jego dom, jego miejsce na świecie. Opiekowała się nim Berta, która w majątku robiła za wszystkich. I dbała o kuchnię, i zajmowała się sprzątaniami, i przyuczała wiejskie dziewczyny do służby. Z początku przyjęli ją, by opiekowała się synami hrabiostwa, w szczególności najmłodszym – Karolem, bo tamci, Ludwig i Heinrich, byli niemal w jej wieku, a kto wie, czy nie starsi. Wyglądała, jakby sama potrzebowała opieki. Filigranowa, nieśmiała, czerwieniąca się przy byle uwadze, skora do płaczu. Dziecko. Ale była bystra i szybko pojęła, w czym rzecz. Chłopcy słuchali jej i bywało, że nawet pewien respekt czuli wobec tej dziewczyny, która rzadko się uśmiechała, a gdy mówiła, to całkiem jak dorosła. Ani krzty żartu, ani zbędnego gadania. A kiedy starsi synowie, a na koniec Karol, powyjeżdżali w świat, doglądała kuchni, ogrodu, choć naprawdę nikt nigdy wyraźnie nie nakazał jej tego czy tamtego. Była u Kalnsteinów od młodości i innego życia nigdy nie zaznała. Ponoć miała daleką krewną gdzieś w północnej części Nadrenii, ale do głowy jej nie przyszło, by szukać z nią kontaktu. Tu, w Siede, był jej dom. Znała każdy zakamarek, wiedziała, co komu trzeba. Szczególnie ukochała sobie Gudrun, choć nigdy, przenigdy na żadną poufałość wobec hrabiny nie pozwoliłaby sobie. Doskonale wyczuwała potrzeby pani – kiedy trzeba jej było spokoju, kiedy ziół na nerwy zaparzyć, kiedy pokój wypełnić zapachem piwonii czy bzu, a kiedy trzymać się z dala i pozostawić ją własnym myślom. Berta czaiła się w pobliżu, gotowa służyć hrabinie.

Kiedy któregoś wiosny młody Wittchow wrócił do domu z dzieciątkiem, które ledwie co świat ujrzało, a już zostało

okrutnie osierocone przez los, wszyscy w majątku spoglądali na nią z nadzieją, że może zaopiekuje się i trochę tylko młodszym od niej wdowcem, i chłopaczkiem, który potrzebował matki. Całymi nocami krzyczał, jakby go ze skóry obdzierali. Berta jedna umiała go uspokoić. Zagarniała go w obfite piersi, do maleńkiej buzi wkładała umaczany w cukrze gałganek i śpiewała:

*Aber heidschi bumbeidschi, schlaf lange,*

*es is ja dein Muatter ausganga;*

*sie is ja ausganga und kimmt neamer hoam*

*und laßt das kloan Biabele ganz alloan!*

*Aber heidschi bumbeidschi bum bum,*

*aber heidschi bumbeidschi bum bum.*

Kołysanka płynęła przez otwarte okna na całą wieś. Piękna i melodyjna. Wszyscy lubili te śpiewy Berty. Często można było

zobaczyć, jak przystawali przy domu Wittchowa i wsłuchiwali się w jej śpiewanie. A ona powtarzała je w kółko, jakby ktoś zapomniiał zdjąć płyty z gramofonu.

„I na co ty czekasz, Berta?”, pytali ją ludzie. „Sama życie przepędzisz? A tu, popatrz, rodzina gotowa! I mąż, i dzieciak od razu. Wszystkim to na dobre pójdzie”. Ofukiwała ich z gniewem, zapewniając, że niespieszno jej do zamążpójścia, a pomoc poczytuje sobie za najzwyczajniejszy chrześcijański obowiązek. Zabierała zaraz dzieciaka w pole, z dala od ludzkiego gadania. I szła z nim łęgami wierzbowymi, wśród świergotów ptasich, wśród szumu zbóż aż do nieczynnego młyna nad potokiem Rausche, by wsłuchać się w szmer wody toczonej przez wielkie młyńskie koło, które już nieco poszczerbione i zmurszałe, poruszało się resztką sił. Aż po horyzont. Świat tu był spokojny, nie mówił językami, nie wszczynał sporów. Tak samo wszystkim rosły zboża, srebrzyła się woda, niebieściło się niebo. Wózek kołysał się po nierównościach, lekki wiatr zawiewał pod wielką wiklinową budę. Chłopak spał spokojnie. Jakby nic się nie stało. Jakby nie został sierotą. Jakby los nie miał go naznaczyć niebawem kolejnym doświadczeniem. Jeszcze nawet trzech lat nie skończył, gdy narowisty Agisan utracił Józefa Wittchowa. Ludzie z politowaniem kiwali głowami nad sieroctwem Anzelma. Nikt jednak nie umiał sobie wyobrazić, by chłopak trafił do przytułku.

Sam hrabia Bernard Kalnstein zawezwał któregoś dnia Bertę do siebie. „Stało się, jak się stało – rzekł wymownie. – Dziecko musi tu zostać. Większej krzywdy nie można mu życzyć. Ale to ty, Berto, musisz zdecydować, czy chcesz dalej się chłopcu poświęcić. Ja do takich rzeczy głowy nie mam, a na hrabinę... Sama wiesz, że po tym wszystkim...”, tu zachnął

się nieco, wspomnienie synów okazało się bowiem nadto dotkliwe. Dwoma palcami potarł przecięte zmarszczkami czoło. „Twoja decyzja. Znasz mnie. Możesz śmiało mówić. Uszanuję twoją wolę. Wszak wiem, że dziecko to nie igraszka. Nie zarzucisz w kąt. Nie pozwolisz, by ci się odechciało”. Bernard Kalnstein stał odwrócony do kobiety tyłem. Nie chciał, by pod naciskiem jego spojrzenia Berta czuła się przymuszona do opieki nad chłopakiem.

Nie było jednak nawet minuty wahania. Berta za nic nie pozwoliłaby, by to maleństwo, które od pierwszego dnia było jej – tak bardzo, że innego życia poza nim nie widziała – miało zostać narażone na jakąś włóczęgę, na pałętanie się po ludziach, którzy nie wiadomo co mogliby mu zgotować.

„Żeby nie wiem co, nie zostawię”, szepnęła Berta. I mimo że głos jej był cichy, była w nim taka determinacja, że Bernard wiedział, iż kobieta nie pozwoli, by dziec-ko szło w poniewierkę. „O nic się nie martw. Krzywda wam się nie stanie. Biedy nie zaznacie. Ani ty, ani chłopak”, zapewnił.

\*\*\*

W niebie nie byłoby mu lepiej. Całe dni spędzał na polach i łąkach, a gdy podrósł – w owczarni, którą hrabia powierzył mu w opiekę. Gadał do owiec, strzygł je. I niczego więcej mu do szczęścia nie trzeba było.

W dzieciństwie raz w tygodniu Berta, wystrojona jak od wielkiego dzwonu, sadzała go na wozie hrabiego i odsztafirowanego w kościołowy mundurek, wyczesanego i wypomadowanego niczym filmowy amant, wiozła do pobliskiego Berlinchen, do kościoła, a potem na cmentarz. Jechali kamienistą drogą, mijając po lewej stronie wzniesienia porośnięte buczyną, a po prawej – rozległe łąki poprzecinane

meandrującą leniwie wstęgą Młynówki.

– Wdychaj zapach lasu. Szeroko otwieraj usta, niech napełnią się płuca. Nie masz nic lepszego jak czyste powietrze. I słuchaj, jak las śpiewa – nakazywała, sama unosząc wysoko piersi i głęboko wciągając powietrze.

Całą drogę też go upominała, jak ma się zachować w mieście, co by wstydu nie nanieść, by sobie ludzie nie pomyśleli, że z jakiegoś buszu go wytrzasnęła.

Gdy wóz dojeżdżał do zakrętu, zaraz za rozlewiskiem przypominała:

– Zaraz będzie kościół. Trzeba czapkę zsunąć z głowy i znak krzyża nakreślić.

Anzelm uważnie wyglądał kościelnej wieży, by nie zagapić się i w porę polecenie wykonać.

– A dlaczego przy tym wielkim kościele na rynku żegnać się nie trzeba? – dopytywał, gdy wóz toczył się wolno po ulicach miasteczka, mijając foremne kamienice, zadbane posesje, na których za ażurowymi parkanami puszyły się bujne krzewy hortensji, pięły po trejżach krwistoczerwone róże.

– Może i trzeba. Może i trzeba, ale tobie niemusowo. Tam modlą się protestanci, my niekoniecznie – wyjaśniała Berta z pewną dozą zniecierpliwienia.

– A co to są protestanci? Oni nie mają takiego Boga jak nasz? Ani Dzieciątka, ani Matki Boskiej? – Anzelm nie odpuszczał.

– Kościół ich może i wielki, i pewnie ten sam Bóg w nim, ale... – Berta usiłowała znaleźć sensowne wyjaśnienie, ale sama sobie z tymi wszystkimi światopoglądami nie umiała poradzić, więc zżymała się i powiadała: – Daj już spokój tej ciekawości! Ciekawość to do piekła droga! Masz robić, co mówię. Od tych pytań tylko w głowie ci się namiesza, a i bez tego wszystko



zakałapućkane jest, że daj ty spokój...!

Cmentarz znajdował się prawie na końcu Berlinchen, skąd wiodła droga przez leżące na wzniesieniu Tobelhof, patrzące na położone w dole miasto, aż do odległego o kilkadziesiąt kilometrów Landsbergu, o którym Anzelm tylko słyszał, że to wielkie miasto, w którym jeżdżą najprawdziwsze tramwaje. Widział wielkie wagony z antenkami na dachu na kartach, które Berta dostawała od Gudrun. Kilka razy z dumą opowiadała chłopcu o wyprawie do Landsbergu, dokąd zabrała ją hrabina w odwiedzinach do swojego brata.

Szli długą kasztanową aleją, o każdej porze roku wyglądającą niczym amfilada zwieńczona zielonymi koronami wielkich drzew, przez które przenikały promienie słońca, rozproszone w tysiące cienkich nitek, igrających na liściach, skaczących pod nogami, muskających twarze. W oddali majaczyły czerwone stodoły z wielkimi wrotami zaryglowanymi na amen. Dochodził stamtąd zapach siana, lata, wolności. Niekiedy bywały rozwarte na oścież, odsłaniając przepastne czeluści. Cóż by to było, jakby człowiek miał się tam zapaść... W tę suchość, wonność, letniość.

Tuż przed bramą Berta chwyciła go mocno za rękę. I można by dać sobie głowę uciąć, że bardziej ją mierzył ów cmentarny klimat niż jego. On z ciekawością oglądał nagrobki, przyglądał się granitowym płytom z inskrypcjami wykaligrafowanymi gotykiem. Wdychał zieloność, która tu pachniała inaczej niżli na siedowskich polach. Tam była rześka i świeża, łaskotała nozdrza, budziła kichanie, tu zaś tchnęła jakąś dziwną wonią pomieszaną z butwieniem. Niby świeża, ale zatęchła. Może to przez ową wilgoć zbierającą się w porastających cmentarz drzewach, krzewach, a może przez bliskość jeziora, które sąsiadowało z cmentarzem. Strach pomyśleć, że te wszystkie

ciała, pochowane w drewnianych trumnach, rozkładały się i korytarzami wyżłobionymi w ziemi, zawiłymi labiryntami wytyczonymi przez różne robactwo wcześniej czy później spływały do jeziora.

– Nie gap się gdzie bądź! – sarknęła Berta, poszarpując Anzelma za rękaw. – Drogę zapamiętaj i miejsce, gdzie ojciec leżą. Nigdy nie wiadomo, kiedy znów tu przyjdziemy. Pamiętaj. Ojciec Józef. – Układała usta w śmieszny ryjek, by wyraz wyszedł okrągły. Pewnych trudności nastęczało jej wymówienie tego imienia, co podobne było do niemieckiego Josef, choć jakieś takie bardziej pochyłe i kalekie. – Matka Irma. Też jej imię wybrali! – zniżała głos, jakby miała nie wiedzieć do kogo pretensje. A przecież nawet mało co ją znała. Gdyby nie ten dagerotyp, który wciąż zdawał się wpadać jej w oczy, może nie miałyby pojęcia, jak wyglądała. Chuda? Gruba? Blondynka? Ruda? Ale przez to, że ilekroć zamieszkałszy już w gospodarskiej przybudówce, szła do dziecka, to z kredensu, przykurzonego wiecznie, bo nie było komu pilnować porządku, spoglądała na nią Irma Wittchow. Kobieta jak kobieta. Ani ładna, ani brzydka. Niewyróżniająca się szczególnie. Włosy upięte w kok, ułożone pomadą, z grzywką zaczesaną gładko jak od linijki. Usta wąskie, trochę ściągnięte, wysunięty podbródek. Młoda i gładka. Pamiętała jednak jej oczy. Wyglądały na nią. Nieco zapadnięte, ale najbardziej widoczne. Przenikliwe. Ruchome i żywe. Błagające, by mały Anzelm nie został pozostawiony na pastwę losu. Zdawało się często Bercie, że oczy wodzą za nią.

Na końcu alejki przystawali. Rodzice chłopca leżeli jedno obok drugiego, ale nie w jednym grobie. Dzielila ich piędź ziemi. Nawet nie było miejsca, by stopę postawić. Nie wiadomo, dlaczego tak się stało. Jakby razem nie było im różnie. Oba

nagrobki były identyczne, z tą samą bryłą steli, z epitafium – *Hier ruht in Gott*<sup>11</sup>. Po niemiecku. Żeby nie byli odosobnieni wśród tych wszystkich Mansfeldów, Burchardów, Meyerów. Berta nakazywała mu, by przyklęknął i przeżegnał się wyprostowanymi palcami. *Im Namen des Vaters und des Sohnes und des Heiligen Geistes. Amen*<sup>12</sup>.

On kreślił koślawy znak krzyża, ale najbardziej chciał, by opuścili już to smutne miejsce i zanim woźnica zabierze ich z powrotem do Siede, udali się na rynek. Bo Anzelm niczego tak nie lubił, jak moczyć rąk w fontannie, wyławiać z niej drobnych monet rzuconych na szczęście, a potem iść do pobliskiej Conditorei und Caffè Veenis na cytrynową lemoniadę i ciepłą szarlotkę według przepisu samej właścicielki, nobliwej frau Gertrude.

\*\*\*

Któregoś dnia Berty zabrakło. Umarła. Zwyczajnie. Jak umiera każdy. Anzelm nie zastanawiał się nad jej śmiercią. Bo śmierć była dla niego aż nadto naturalna. Umarła matka, umarł ojciec, umarli synowie hrabiego, umierali inni, więc i to, że umarła Berta, nie zadziwiło go szczególnie. Jakże łatwo przyszła mu owa prawda, że ludzie znikają! Ot, i zgasła czyjaś gwiazda. Nie było potrzeby, by to roztrząsać.

Aż do czasu. Do tego czasu, kiedy wojna upomniała się o Siede i ciężką zimą, pod osłoną nocy, uciekali polami i lasami. On i Estera. Choćby nie wiedzieć jak był zafrasowany czymkolwiek, nie umiałby wymazać jej z głowy. Odkąd ją poczuł. Od samiotkiego początku, gdy hrabina Gudrun zawołała go do pomocy. To ciepło ciała gibkiego, przelewającego się przez jego ręce. Ta twarz jak wycięta z kościelnych fresków. Wciąż miał ją pod powiekami. Dniem i nocą.

W tamten styczeń, opanowany niepohamowanym lękiem, rzekł do Estery:

– Musimy uciekać! Nie ma tu dla nas miejsca!

Z początku zachowywała się tak, jakby nie rozumiała, co do niej mówi. Było jej dobrze. Nie było potrzeby tego zmieniać. Miała opiekę i spokój. Ale nie! Przeszłość zapisana w pamięci, uśpiona, odległa, wracała naraz jak sen przerwany nad ranem. Strach. Obrazy wyryte w głowie twardym rylcem. Zbliżnione na jakiś czas. Pogubiła się w rachubie. Teraz tłukły się w jej głowie kadry z zapomnianego filmu. Matka z Jakubem, z panią Rachelą, jej małym Jonaszem, razem z rabinem Meirem i jego chorą córką Avivą, razem ze starym Szlomo, który wiedział o wszystkim i nawet przepowiedział ten dzień, który stał się dla niego dniem końca, i ze sławnym lekarzem Eliaszem Pelcem, który uratował ojca Petera Richta, kiedy ten dostał wylewu krwi do mózgu i groziła mu śmierć, a w najlepszym wypadku trwałe kalectwo, i wówczas Eliasz zdecydował się na otwarcie czaszki i operację, która Richtowi przywróciła życie, a lekarzowi przyniosła sławę w całej Nowej Marchii i daleko poza nią. Wyrzuciła je z siebie. To nie ten czas, nie to miejsce. Historia nie może się powtarzać w tak krótkich sekwencjach.

Patrzyła na niego, czekając, by ją uspokoił, ale on powtarzał:

– Musimy uciekać. Wojna!

I tamtego ranka Estera cicho zapukała do pokoju hrabiny Gudrun. Przyszła, by się pożegnać. W sypialni piętrzyły się spakowane sakwojaże, powiązane kufry, pękate walizki.

Tamtego ranka widziały się po raz ostatni.

W niespełną godzinę później Anzelm, zwinawszy

w tobolek, co niezbędne, zagarnąwszy z owczarni błamy, stanął pod oknem facjatki i rzucając drobnym grysem, czekał na Esterę. Wylękniona i niepewna, posłusznie udała się za nim. W wyściełane śniegiem pola, w ubielone lasy, w niepewność jutra. Z żalem oglądała swoją życiową enklawę, zastałą, zaanektowaną, bezpieczną, gdzie udało jej się zapomnieć o czarnej przeszłości, która jeszcze do niedawna odbierała jej życie – godzina za godziną. Każdej nocy, w której przeszłość drapieżnie przypominała o sobie.

Styczniowe niebo, jawiące się różowością i przydymionym błękitem przeplecionym pastelowymi pasmami, zwiastowało mróz. I choć piękne było, to nie wróżyło niczego dobrego. Tę zimową ciszę gwałcił dochodzący z oddali pomruk, przechodzący w coraz wyraźniejsze odgłosy dobijającej się wojny. Rozświetlające niebo wybuchy, godzące w spokój pohukiwania nie pozostawiały nadziei. Wojna. Upchnięta gdzieś w inną część świata, wydostawała się niczym dżin z lampy. Toczyła się światłem rozbłyskającym niczym błyskawica, hukiem niczym następujący po niej grzmot.

Anzelm prowadził ich polami, a potem lasem, z dala od zabudowań gospodarskich, od ludzi. Mróz ściał świat, przysypał śniegiem. Trudno było odnaleźć ścieżki. Nogi grzęzły w nim po kolana. Było okropnie zimno, jakby naraz przyroda sprzysięgła się przeciwko nim. Szli godzinami, przedzierali się przez zeszywniałe chaszczce bezlitośnie siekące po twarzy. Wokół ni Boga, ni ludzi. Co jakiś czas przystawali. Anzelm chwycił dłonie Estery i dmuchał w nie ciepłym powietrzem, jednak pomagało to zaledwie na kilka chwil. Zaraz wracał ziąb, nad którym w żaden sposób nie mogła zapanować. Słaba była i chuda, choć tyle czasu spędziła w majątku, ani przez chwilę nie cierpiąc głodu. Ale widać taka jej uroda. Oczy wciąż zapadnięte głęboko,

wystające kości policzkowe, cienka skóra poznaczona rozgałęzieniami granatowych żył. Teraz wydawała się niemal przezroczysta. Anzelm opatulił ją skórami, ale trudno jej było stawiać kroki. Nogi grzęzły w głębokim śniegu.

Las zdawał się nie mieć końca. Chłopak z przestachem patrzył w rozciągającą się przestrzeń, szukając jakiegoś punktu zaczepienia. I coraz bardziej był przekonany, że kręcą się w kółko. Śnieg zasypywał ślady.

Podtrzymywał dziewczynę, choć czuł, że sam traci siły i nadzieję.

Pierwszą noc spędzili w paśniku. Marna konstrukcja, wyłamane listwy, wyszczerbiony daszek, puste koryto – wszystko wskazywało, że już dawno nikt tego nie doglądał. Ani śladów człowieka, ani śladów leśnej zwierzyny. Wtuleni w siebie, przeczekali do rana. Estera była rozpalona.

– Idź sam! Ja tu zostanę – błagała. – Nie dam rady! Sam masz szansę przeżyć, a ze mną...

Sama myśl, że mógł ją stracić, przyprawiała go o szaleństwo. To wtedy pierwszy raz w życiu nie chciał dopuścić do siebie prawdy o śmierci. Wszyscy, tylko nie ona.

I nawet wiele miesięcy później, gdy groźba minęła i żyli spokojnie u Wikty, wciąż gdzieś w tyle głowy czaił się strach o nią.

Strach, który nigdy go nie opuścił.

\*\*\*

Świat zmierzał ku normalności. Chata Wikty, choć wciąż schowana przed ludzkim wzrokiem, wyglądała jak Bóg przykazał. Ocieplona, z naprawionym dachem, z oknami szczelnymi, pobielonymi ościeżnicami. W oknach firanki. Coraz szersza ścieżka wiodła od miasta. Któregoś razu ubrany

w znoszony garnitur urzędnik z brązową teczką z grubej świńskiej skóry, przemierzywszy błotnistą drogę, zawitał pod ich dach. Z pewną dozą niepewności wkroczył na teren otoczony parkanem z wystruganych sztchet i zapukał do drzwi.

Wikta wynurzyła się ze środka. Ubrana niezmiennie – w szeroką spódnicę, szydełkowe narzuty, z chustą przewiazaną na karku jak baśniowa wiedźma – omiotła mężczyznę przenikliwym wzrokiem, pod wpływem którego ten całkiem zgubił swój urzędowy szyk, i zapytała:

– A pan w jakiej sprawie?

Urzędnik próbował uciec przed jej nieprzejeźdanym okiem i jękając się, zaczął grzebać w skórzanej aktówce.

– Tu mam... ja... Chodzi o to, że... Czas uporządkować sprawy... Wy... znaczy... pani...

– Ale może by tak jaśniej? O co chodzi? Bo czasu nie mam na wysłuchiwanie takiego dukania. Kto pan jesteś? – ponagliła przybysza, by czym prędzej sprawę wyłuszczył.

Wreszcie spisał mieszkańców domu i oznajmił, że od teraz dom Wikty oraz Estery i Anzelma nosi adres Droga do Wilczego 1. Przyobiecał, że pojawi się niebawem z niebieską tabliczką, bo to już nie te czasy, by ktoś na dziko mieszkał, bez nazwy ulicy, bez numeru domu. Teraz każdy powinien mieć swoje miejsce na ziemi. Bo to nowy kraj! I nie ma tu miejsca na Żydów, Cyganów, Niemców i innych łobuzów.

Wikta odprowadziła mężczyznę chłodnym wzrokiem, aż zniknął z pola widzenia. Wtedy zahaczył o wystający z ziemi korzeń przykryty płaszczem liści i łupnął na drogę. Dopiero pod sam wieczór znalazł go ledwie przytomnego przejeżdżający tamtędy od czasu do czasu młynarz. Wrzucił go na wóz i zawiózł do szpitala. Tam zrazu trafił na stół operacyjny, a potem długie miesiące spędził z nogą podwieszoną na

wyciągu. I już wszelkimi świętymi zaklęciami zarzekał się, że póki żyje, jego noga na Drodze do Wilczego nie postanie.

\*\*\*

Nie widzieć kiedy Estera i Anzelm zaczęli żyć jak mąż z żoną. Może to się zdarzyło po tamtej napaści bandyckiej, kiedy ponownie śmierć zajrzała im w oczy, a może po tym meldunku, kiedy poczuli, że zapuszczają korzenie, choć grunt jeszcze niepewny i grząski.

Żadne im błogosławieństwo nie było potrzebne. Wystarczyło, że Wikta, widząc, jak jedno za drugim okiem wodzi, jak snują się cieniem za sobą, rzekła kiedyś do nich:

– Nie szkoda to czasu marnować? Żyjecie tu jak wyjęci każde z innej bajki. A przecież nie trzeba być jasnowidzem, by dostrzec, że jedno bez drugiego to jak noc bez dnia, jak niebo bez ziemi, jak lato bez zimy. W świecie wszystko, co najważniejsze, parami chodzi...

Coraz częściej pozostawiała ich samych, żeby nabrali śmiałości. Co ona, stara, miała się między nimi pałętać. Inne światy. Nieraz myślała, by im ziół na miłość zaparzyć, ale wiedziała – ciało do kochania przymusisz, ale serce nie. Ono musi samo znaleźć swój czas. Zresztą wciąż nosiła w pamięci wspomnienie tamtej miłości, która nie dawała się zapomnieć, i mimo że taki szmat czasu przeminął, pozacierały się kształty, stępał ból, to nie było nocy, by pod powiekami starymi nie pojawiał się obraz tego, który obalił jej świat, wygnał z rodzinnych stron, naraził na potępienie i wstyd. Było, minęło. Losu nie odwrócisz, nie przenicujesz życia na drugą stronę jak znoszonej kapoty, kijem rzeki nie zawrócisz.

Jakoś któregoś wieczoru siedzieli na ganku. Księżyc świecił. Wielki i okrągły jak naleśnik. Noc czerwcową pachnącą



jaśminem. Parna i gęsta. Przed nimi czernił się las, szumiał cicho lekkim szu, szu, szu jak daleka kołysanka. Zapomniana.

Wymyślona. Tu i ówdzie odzywał się wabiący śpiew ptasich samców, oznajmiających gotowość lęgową. Powietrze było wilgotne i lepkie, choć od podłoża ciągnął jeszcze ostry ziąb. Nogi, obute w płócienne pepegi, kurczyły się nieprzyjemnie.

Estera szukała na jasnym niebie najjaśniejszej gwiazdy. Może matki, może ojca. I innych, mniejszych, które zacierały się i ginęły w tej nocnej czerni. Może rabina Meira, może jego córki Avivy, może starego Szlomo albo Eliasza Pelca... a może paniczów Kalnsteinów... a może hrabiny Gudrun...

„Pamiętaj, dziewczyno – powiadała często stara Wikta – losu nie zmienisz. Wszystko zapisane w gwiazdach. O, popatrz! Tam wysoko. – Brała jej brodę i kierowała w górę, na niezmierną połąć nieba. Silne palce wbijały się w podbródek. – Miliony gwiazd! Tyle, ilu ludzi. Bo każdy ma swoją”.

Estera wsłuchiwała się w ową dziwną teorię Wikty i choć gdzieś w odległej przeszłości odzywało się w niej wspomnienie nauk ojców o symbolice gwiazd: o gwieździe Dawida, owym symbolu męskości i kobiecości, owej zrównoważonej boskości w tych złocistych punktach na granatowym firmamencie, to gdy Wikta prawila swoje komunały, wszystko to wydawało się dziecinną bajką. Estera na tym upstrzonym gwiazdami niebie nijak nie umiała znaleźć potwierdzenia Wiktowych prawd. Nie sposób uwierzyć, by gwiazdy, odległe, będące tylko świecistymi punktami, miały cokolwiek wspólnego z jej życiem.

Ale teraz siedziała na ganku, obok niego, tak blisko, że dzieliła ich tylko jej batystowa bluzka, a pod skórą przemykały niespokojne dreszcze, gorączka trawiła jej ciało, choć przecież w żaden sposób nie czuła się niezdrowa. Naraz to niebo stało się dla niej czytelne, jakby znalazła klucz do tajemnego szyfru.

Gwiazdy migotały, a ona wpatrywała się w owe złote punkty, które zaczęły przybierać kształt idealnego heksagramu. Mistycznego połączenia męskości i żeńskiej esencji szechiny. A może Wikta miała rację? Może gwiazdy znają ludzkie losy? Trzeba tylko znaleźć ów klucz.

Jego ręka spoczęła na jej ramieniu. Dłoń zuchwale zagarniała ją do siebie. Nieśmiało pozwoliła, by przysunął się jeszcze bliżej. Położyła głowę na jego ramieniu.

Milczeli. Bo słowa wciąż nie przychodziły im łatwo.

\*\*\*

Jesień tego roku zdawała się opóźniać. Już październik czaił się za progiem, na polach ani śladu zbóż. Brunatne pasma zaoranej ziemi ciągnęły się od lasu po biegnącą w dole drogę, która prowadziła do starego zakładu. Czasem z wiatrem dochodził stamtąd przytłumiony głos wielkiego młota, czasem wiatr zawiewał ciemne chmury z zakładowego komina. Wciąż jednak było ciepło, że wystarczył tylko krótki rękaw i nieraz trzeba było czoło przed słońcem chować, bo grzało, jakby zapomniało, że czas upałów się skończył. Estera – blada i umęczona – snuła się z kąta w kąt. Żadna robota jej nie szła. Gdy nachyliła się, by podłogę wyszorować czy choćby tylko podmieść, by koty po domu nie harcowały, zaraz jakaś słabość ją nachodziła. Krew odpływała i albo zdążyła przysiąść na łóżku, albo leciała bez życia gdzie popadło.

– Ty musisz teraz siły podwoić. Za nią i za... – szepnęła któregoś dnia Wikta, gdy Anzelm, zobaczywszy Esterę zwiniętą w kłębek na podłodze, ujął ją pod plecy i zaniósł do łóżka, gdzie po chwili, wciąż mało przytomnie, zapytała:

– Gdzie ja jestem?

– Nic, nic – uspokajał ją, choć serce tłukło mu się jak

wtedy, gdy w lesie straciła siły lub gdy Sowieci wpadli do chałupy. Przykładał do jej skroni zimny okład i zaglądał w oczy, czy na pewno przytomność odzyskuje.

– Nic jej nie będzie. – Uśmiechnęła się Wikta. – To nie żadna słabość. Cieszyć się trzeba. Najwyższa pora, by chałupa dziecięcym szczebiotem rozbrzmiała.

W Anzelmie obudziło się tak wielkie wzruszenie, że miał wrażenie, jakby naraz za mało w nim było miejsca na radość. Gdyby jeszcze umiał wziąć w ramiona, obsypać pocałunkami, ale ręce wciąż miał sztywne i nienawykłe do czułości.

Płonna okazała się jednak radość. Bo ani to, ani kolejne dzieci nie chciały się zagnieździć w łonie Estery. Ledwie minęły dwa miesiące, czasem trzy, a nawet i więcej, obumierały płody, pozostawiając po sobie wielką rozpacz i coraz bardziej pozbawiając nadziei.

Za każdym razem Wikta, wzruszając ramionami, powiadała:

– I znów po chłopcu. Całkiem jakby świat nie chciał już mężczyzn, coby wojny nie było.

\*\*\*

I żyli. Obok siebie. Niewiele oczekując od świata. Z dala od ludzi. Odszczepieńcy, o których w mieście krążyły coraz to nowe niestworzone historie, bo choć od wojny tyle lat minęło, to ludzie pieczołowicie pielęgowali w sobie niechęć. Niemiec to Niemiec, Cygan to Cygan, Żydówka to Żydówka. Nigdy nie wiadomo, co w nich siedzi. Czego można się spodziewać.

I może gdyby bardziej do miasta się garnęli, może gdyby nie na tym odludziu zamieszkali, tego czy innego zagadując, temu czy innemu kłaniając się, to łatwiej byłoby człowiekowi mury przełamać. A tak – wciąż obcy. Nic dziwnego, że ilekroć

zdarzyło im się na ulicach Barlinka pokazać, wytykano ich palcami, szeptano po kątach, tworząc coraz to dziwniejsze opowieści. Anzelm, kiedy mu przyszło do miasta iść, by sprawy załatwić – głównie do sklepu, w którym sprzedawał figurki, krzyże, wizerunki Jezusów, Matek Boskich wyobrażonych z Dzieciątkiem albo piet wzorowanych na tej najdoskonalszej, Michała Anioła – przemykał szybko, uszy po sobie kulił i nie patrzył nikomu w oczy, by niepotrzebnej buty nie okazać. Czasem dzieciaki wykrzykiwały za nim: „Heil Hitler! Heil Hitler!”. Raz zdarzyło się, że grupka zapuściła się w las i trafiła na chałupę Wikty. Któremuś coś tam dzwoniło, coś tam słyszał od ojca czy matki. Czając się niedaleko pod lasem, wypatrywali, czy aby w obejściu nikogo nie ma, a potem kłusem podbiegli i na sztachetach wystruganych przez Anzelma z dzikiej gruszy wyryli kilka hakenkreuzów. Estera długo do miasta nie chodziła. Budziło w niej nieokreślony lęk. Musiało upłynąć wiele czasu, aby zmałał, schował się w tył głowy i pozwolił iść pośród piękniejących kamienic, ulicami ruchliwymi i głośnymi od przejeżdżających samochodów, tętniącymi gwarem chodnikami. Ale i to nieczęsto, tylko gdy zaistniała absolutnie pilna potrzeba.

W Wielki Piątek tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku Wikta umarła. Bez zapowiedzi. Zgasła jej gwiazda. Widać przeczuła swój koniec, bo zostawiła wszystko w najlepszym porządku. I rzeczy zbyteczne po sobie gdzieś wyniosła, żeby nie wadziły w domu, a może popaliła je, gdy nikt nie zauważył; testament spisała, w którym wszystko scedowała na Esterę i Anzelma, i nawet pozostawiła szare zeszyty powiązane sznurkiem, w których pismem nad podziw wprawnym i starannym spisała zioła, każde opatrzone rysunkiem misternym i dokładnym, a ponadto przy każdym receptura – jak, na co i dla kogo.

Tegoż samego roku, tuż po świętach Narodzenia Pańskiego, w domu przy Drodze do Wilczego pojawiła się dziewczynka.

– Jakie imię wpisać do metryki dziecka? – zapytała wyfiokowana urzędniczka z błękitnymi powiekami i różową szminką odciśniętą na równych zębach. Teatralnymi gestami, nieco prowokacyjnymi, obciągała na piersiach obcisłą koronkową bluzkę, pod którą odznaczała się skąpa bardotka.

– Ruta Wittchow.

– Że jak? – Kobieta spojrzała na Anzelma, nie kryjąc oburzenia. – Nie dość, że nazwisko obce, to jeszcze **takie** imię! A co, to już nasze polskie Gosie, Anie czy Kasie nie wystarczą? – fuknęła.

– Ruta. Ruta Wittchow – powtórzył.

Chwilę trwało, zanim urzędniczka wręczyła mu metrykę córki. Ruta Wittchow. Córka Anzelma Wittchowa. Imię ojca – Józef. Imię matki – Irma. Oraz Estery Naumowicz. Imię ojca – Jakub. Imię matki – Rachel. Urodzona dwudziestego siódmego grudnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku w Barlinku. Zamieszkała – Barlinek, ulica Droga do Wilczego.

11 Tu spoczywa w Bogu.

12 W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Amen.

#### 4.

### A jednak życie

*Nie chowaj nienawiści po wieczne czasy ty, który sam nie jesteś wieczny.*

*Arystoteles*

Nie umiałam sobie znaleźć miejsca. Miałam totalny mętlik w głowie. Znikąd pomocy. Wszystko było tak trudne do zrozumienia. Wiktor się ulotnił. Wspomnienie nocy rozlewało się we mnie przyjemnym ciepłem. Chciałam się zmusić, by obudzić w sobie wyrzuty sumienia, zbesztać się za to, że po tym wszystkim, co mi zrobił, tak łatwo wpuściłam go do łóżka. Ale było inaczej! Brakowało mi go i choćbym nie wiem jak oszukiwała wszystkich dokoła i siebie samą, nie mogłam przestać go kochać. Chciałam, żeby wrócił. Chciałam mu wybaczyć, zapomnieć o wszystkim. Całe życie za nami. Tyle radości. Nie przekreślę tego. Niech tylko to wszystko się uspokoi. A jeszcze ten Wojnowski. Zagnieździł się w mojej głowie. W moich uszach wciąż brzmiała opowieść o Rucie. Kobiecie, która wyłoniła się z mgły. I utknęła. Między niebem a ziemią, między ziemią a piekłem.

Myślałam, że nic mnie w życiu nie spotka. Wszystko, co spektakularne – dobre czy złe – już poza mną. Przyzwyczyłam się nawet do takiego nudnego życia. Praca, dom, praca, dom. Aż tu nagle... Życie doprawdy bywa zaskakujące! Wystarczy chwila. I nagle wszystko się zmienia. Świat wywraca się do góry nogami i nie ma drogi powrotu!

Musiałam z kimś porozmawiać. Gorączkowo szukałam kogokolwiek, by tylko zająć głowę jakąś rozmową, rozgonić natrętne myśli. Dziewczyny? One miały swój plan na życie. Daleki od ckliwych sentymentów. Jagoda? Cóż... Zamilkła. U niej full. Jakieś sprawy jej się ponakładały. Pisała, że „jak się wszystko wyrówna, zadzwoni”. Musiało się dziać coś naprawdę ważnego, bo przecież nigdy nie odpuszczała, a zwłaszcza teraz, gdy wiedziała, że jestem w potrzasku. Odejście Wiktora i jeszcze ten nieszczęsny wypadek. Zawsze była na kiwnięcie palcem.

Pomyślałam o spacerze. Ale na samą myśl o tym, żeby wyjść na ten ziąb, zatrzęsło mnie, a na domiar wszystkiego przerażało mnie to, że znów kogoś spotkam i kolejny raz będę musiała relacjonować wydarzenia ostatnich dni. Porzuciłam ten pomysł. Jedynym mądrym rozwiązaniem wydało mi się rozłożenie się na sofie. Mocny drink, durna gazeta. Nawet gdyby to były idiotyczne wzmianki kto z kim, gdzie i za ile. Byle tylko odpocząć.

Zwinięta w kłębek, sączyłam martini z wódką. Czułam, jak rozchodzi się przyjemnie po moim ciele. Zanim doszłam do końca pierwszego artykułu, zasnęłam. Jep Gambardella porwał mnie do tańca. Miałam na sobie sukienkę połyskującą niczym rybia łuska. Tańczyłam, kręcąc biodrami, w rytm energetycznego miksu Boba Sinclara i Rafaelli Carry. Jak wyrafinowane tancerki brazylijskiej samby. Muzyka wbijała się w mój mózg. Obok mnie tańczyły półnagie kobiety, uwodzicielskie, wyuzdane, wulgarnie wydymające czerwone usta. W onirycznym tłumie był też Wiktor – podobny do wszystkich ekscentryków zebranych na tej osobliwej dyskotecie. Wodził za mną wygłodniałymi oczami, ubrany podobnie jak Jep – w żółtą marynarkę z czerwoną poszetką w kieszeni. On jednak

nie tańczył. Przyglądał się temu osobliwemu korowodowi z wyniosłym dystansem. A potem nagle wyrwał mnie z tego tłumy. Wsiedliśmy do ekstrawaganckiej limuzyny. Pruliśmy przez Rzym, uciekając przed światłem i ludźmi. Mijaliśmy tonące w mroku ulice, niezliczone place. Rzym był opustoszały.

Ława w pokoju drgała denerwująco. Podzwaniała, jakby gołąb stukał dziobem w szybę. Może to on? Wiktor! Nadzieja nie gasła. Podniosłam terkoczący telefon. Na wyświetlaczu pojawił się nieznany numer.

– Halo! Pani profesor? Tu Reńka Krasowicka! Z izby! Dzwonię, bo pomyślałam, że to dla pani ważne. – Głos w słuchawce zdawał się ściszać do granicy słyszalności, zupełnie jakby ktoś trzymał telefon w rękawie, a w najlepszym wypadku pod stołem lub w szufladzie. – Ta cała Ruta... obudziła się... – Poderwałam się na równe nogi. Obraz Włocha pierzchnął jak strzepnięty dmuchawiec. Czułam, jak serce mi przyspiesza, ale za wszelką cenę starałam się powściągnąć emocje. – Obudziła się – ciągnęła pielęgniarzka – nieprzytomnie spojrzała wokół, coś tam wybełkotała i znów padła jak betka. Ale lekarze mówią, że chociaż jak żywi czegoś takiego nie widzieli, to wszystkie parametry i symptomy wskazują, że to tylko kwestia godzin, kiedy całkiem odzyska świadomość. Absolutny ewenement medyczny! Mówię pani! Do TVN-u, do *Uwagi!*. Tylko patrzeć, jak tu jakiś Cebula albo inny z kamerą przyjedzie! – Była tak poruszona, jakby sama potrzebowała pomocy medycznej.

Nie zdążyłam powiedzieć słowa, Krasowicka rozłączyła się, pozostawiając ciszę w telefonie. Bogu dzięki! Nie zabiłam jej, pomyślałam. Ciężki głaz przytłaczający mnie od kilku dni rozkruszył się. Musiałam iść! Szpital! Przez całe swoje życie nie byłam tam tyle razy co w ostatnim okresie.



Świat za oknem coraz bardziej pogrążał się w bieli. Ale już mnie to nie przerażało. Szczelnie opatulona zamykałam drzwi mieszkania. Sięgnęłam do kieszeni. Wśród strzępów chusteczek i starych paragonów wyczułam kamień. Podniosłam go do ust. Chuchnęłam, jak się chucha na szczęście w znaleziony grosz, i wrzuciłam go z powrotem. Wciągnęłam rękawiczki. Lekko zawirowało mi w głowie, ale przeszywający ziąb z miejsca postawił mnie na baczność. Zima nie pozwalała o sobie zapomnieć. Skuliłam się mocno, chroniąc przed dojmującym chłodem. Szłam do szpitala, ledwie łapiąc oddech.

W życiu nie sądziłam, że czas może tak spowolnić, a droga tak się dłużyć. Już na szpitalnym podjeździe usłyszałam charakterystyczny sygnał nadchodzącej wiadomości. Przez głowę przeleciała mi myśl, że to znowu ona, Krasowicka. Może to wszystko było tylko snem? Bałam się spojrzeć na wyświetlacz. Uwięzione w ciasnych rękawiczkach palce uwolniły się z trudem. Odblokowałam telefon. „Wracam. Wiktor”. Wczytywałam się w te dwa wyrazy jak w zawiły szyfr. Przycisnęłam aparat do siebie. Byłam pewna, że teraz już wszystko będzie dobrze. Wszystko!

Schodami pobiegłam na oddział. Byłam tak podniecona, że nie zwracałam na nic uwagi. Potracona na schodach lekarka rzuciła mi wściekłe spojrzenie i wymamrotała z oburzeniem, że to szpital, a nie tor wyścigowy, a poza tym chodzi się prawą stroną schodów. Rzuciłam jej przelotne „Przepraszam”. Mój świat odzyskiwał pion.

\*\*\*

Przed salą numer siedem stała grupka pacjentów. Kobiety w pikowanych szlafrokach, niektóre umęczone chorobą, inne lekko umalowane, mężczyźni – mniej dbający o swój wizerunek

– w pasiastych piżamach, spod których wystawały obandażowane wenflony, na okoliczność „sensacji” odłączone od kroplówek. Drzwi były zamknięte. Wewnątrz zebrało się konsylium lekarzy. Wszyscy z napięciem wsłuchiwali się w głosy dochodzące z sali. Jedni drugim przekazywali, szepcząc do ucha, strzępy rozmów, które udało im się wychwycić. Pielęgniarka w seledynowym uniformie, ze stetoskopem zawieszonym na szyi niczym oryginalny wisior, pchała wózek z monitorem, do którego płataniną przewodów podłączone było urządzenie z czerwonym serduszkim Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Kobieta piskliwym tonem upominała zebranych:

– Proszę się przesunąć, proszę nie tarasować przejścia! Tu nie ma żadnego przedstawienia. Pacjenci, natychmiast do łóżek!

Pacjenci jednak ruszali się z ociąganiem, przesuając się tylko tyle, by zrobić miejsce na terkoczący wózek. Czuli powagę chwili i za nic nie chcieli, by coś umknęło ich uwadze. W powietrzu unosił się farmakologiczny zapach wymieszany z lizolem.

Na krzesłach siedzieli oni: Estera i Anzelm. On – przygarbiony, z rękami złożonymi na kolanach, z pokaleczonymi kciukami, z ciemnymi obwódkami wokół paznokci, kręcił młynki. Tylko to zdradzało jego zdenerwowanie, twarz bowiem – jak wykuta w kamieniu – była pozbawiona wyrazu. Ona obserwowała męczyznę stojącego przy oknie na końcu korytarza. Tkwił przy ołtarzyku z Matką Boską Bolesną i Jezusem Frasobliwym, odwrócony plecami do wszystkich. Wyglądał tak, jakby zupełnie nie interesowało go to poruszenie. Patrzył przez okno. Śniegowe czapy pokrywały parkowe drzewa. Było biało i czysto. Obraz mącił jedynie majaczący w oddali między drzewami szary budynek

prosektorium. Chłodny i sterylny.

Mężczyzna trzymał pod pachą zwiniętą byle jak ciemną budrysówkę. Z rękawa wystawał kolorowy szalik. Estera wpatrywała się w niego z niedowierzaniem. W pewnym momencie podniosła się z krzesła. Obciągnęła sweter. Poprawiła fryzurę: zębami przytrzymała wsuwkę, a rękami zwijała w kok pasmo włosów nad czołem. Jakby szykowała się na ważne spotkanie. Przez chwilę zawahała się, czy nie zawrócić, ale wyprostowała się i podeszła. Stała za nim, ledwie o krok, trąciła go lekko w ramię. Mężczyzna odwrócił się, nieco spłoszony. Poznał ją od razu. Matka Ruty. Były do siebie bardzo podobne. Mimo różnicy lat. Poczul bolesny ucisk w piersiach. Minęło tyle czasu. Po wyjściu z więzienia zamieszkał na odległej wsi pod Dębem. Czasem zajeżdżał do Barlinka, ale rzadko. Dopóki matka żyła, bo ojciec zmarł, gdy był jeszcze szczeniakiem. Później to tylko na groby. Rodzina odwróciła się od niego. Kolegów nigdy nie miał. Nie lubił wracać do miasteczka. Zdawało mu się, że ludzie szepczą za plecami, wilkiem na niego patrzą. Nieraz miał ogromną ochotę zajechać do domu przy Drodze do Wilczego, by jak kiedyś popodglądać, ponapawać się jej widokiem, ale dawał sobie spokój. Co było, nie wróci. Aż któregoś dnia dowiedział się o wypadku. I jak nigdy dotąd zapragnął ją zobaczyć. Bał się, że umrze. A jeśli nie będzie tragicznie, to może...? Nadzieja jednak jak szybko się w nim zrodziła, tak szybko umarła. Nie wybacza się takich rzeczy! I tak aż do tej pory nie odważył się do niej zbliżyć.

– To ty – powiedziała cicho Estera. Nie było w jej głosie zdziwienia, nie było gniewu. Powiedziała tak, jak się mówi: „To jest okno”. Na jego twarzy wymalowało się zmieszanie, a może wstyd. Milczał, ale kobieta nie czekała na jego słowa. Nie miały tu nic do rzeczy. Nie zmienisz przeszłości słowami, choćby nie

wiem jak były mądre i piękne. – Dlaczego przyszedłeś? Nie było cię tyle lat... – mówiła wciąż tym samym łagodnym głosem, w którym niezmiennie dawało się wychwycić lekkie szeleszczenie. Wojnowski nadal milczał. Nie umiał jej odpowiedzieć. Estera Naumowicz stała przed nim – malutka i krucha. – Ona ci wybaczyła. Już dawno. Ale nauczyła się żyć sama... – urwała. Bała się, że przywołanie wspomnień ożywi przeszłość. A ta była już poza wszystkim. – Wiem, że ją kochasz. Dlatego odejdz. Odejdz, zanim będzie za późno. Nie otwieraj zablźnionej rany. Co innego wybaczyć, co innego zapomnieć.

Wtem Wojnowski chwycił pomarszczoną rękę Estery. Ścisnął lekko. Była jak szkło. Przezroczysta. Granatowe arterie żył przecinały pomarszczoną skórę.

– Nie mów jej, że byłem – powiedział.

– Nie powiem. Ja jej nie powiem.

Grzegorz Wojnowski wdział ciężką budrysówkę. Kolorowy szalik zsunął się na ziemię.

– Do widzenia – rzucił na odchodne, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Wszyscy wpatrywali się w zamknięte drzwi sali numer siedem.

To ja – Ruta. Ciałem i duchem jestem.

*To ja, Ruta. Ciałem i duchem jestem. Urodziłam się jako piąte dziecko, a pierwsze płci żeńskiej. Moich braci nie kołysał las, nie śpiewał im ptak. Nie szeptały im matczyne usta, nie tknęły ich szorstkie dłonie mojego ojca. Użyźnili ziemię, na której kołyszą się chybotliwe brzozy. W ich koronach remizy*

*uwiliły sobie gniazda. Cienkimi dziobami jak wrzecionem wysupłwały misterne koszyczki, w których kwilią nieopierzone pisklęta. Urodziłam się przypadkiem. Ani na wzór, ani na podobieństwo. Urodziłam się pewnego ranka, kiedy mgła gęsta, lecz lekka jak połać zefiru z merceryzowanej przędzy spowijała łąki, gdy las, zbudzony ze snu, szumiał wciąż te same historie.*

*Lata mojej młodości pachną lasem i łąką. Zbieram kwiaty i ptaki i pędzlem zapewniam im wieczność. Ludzi nie maluję. Tylko tych, którzy mają czyste dusze. Jak Juruś. Siedzę w sitowiu nad brzegiem jeziora. Ciepłe promienie łaskoczą mnie w szyję. Na białej kartce niebo łączy się z wodą. Czarne punkty to szybujące w górze ptaki. Świat nie potrzebuje słów. Czas zatrzymał się w małej zatoczce.*

*Jestem ciszą. Ucichły ludzkie głosy, które siekają ostrzem na lewo i prawo. Do krwi. Póki ostatnia kropla nie wysączy się z ciała. Wokół mnie wiechy trzcin jak husaria. Obok on. Jesteśmy do pary. Dopóki zły los nas nie rozdzieli, ogień nie strawi naszej przyszłości. Jestem bólem!*

\*\*\*

*A potem przychodzi miłość. Dzieci się rodzą. Przypadkiem. Ani na wzór, ani na podobieństwo. I łąka, i las, i cała ziemia, i całe niebo – wszystko rozbrzmiewa melodią szczęścia. Nie ma większej radości ponad tę, gdy rodzą się dzieci. Nadzieja wstępuje w serca. Przeszłość blednie i wspomnienia nie rwą bólem. Czasem wracają ciemną nocą. Lecz wystarczy zapalić świecę, rozgarnąć gęstniejący mrok, by rozpierzchnęły się jak mechate pająki. Jestem nadzieją. Maluję ptaki. Fikuśne turkoty, perłowe maściuchy, siodłate garłacze. Z moich płócien wyfruwają poranne skowronki, nocne kruki. Niektóre powracają do swych płóciennych gniazd uwitych farbą, inne odlatują*

w nieznane. Czasem w kluczu rozcinają niebo wśród chmur bezkresnych, cicho i dostojnie, jak małe żaglówki na spokojnych wodach, a czasem z krzykiem rozdzierają przestrzeń i jak obłąkane uciekają językom ognia sięgającym dna nieba. A wtedy niebo spada na mnie z hukiem. Twarde dzioby, ostre i zakrzywione, wydlubują oczy i mrok mnie zasnuwa. Znikąd pomocy, znikąd ratunku. Myśli we mnie moc, ptaki na płótnach, płomienie strzelające w niebo. Strach zatyka arterie, udrażnia żyły, odbiera zmysły. Otaczają mnie skrzydlate płótna. Hurmem wyfruwają ptaszydła: wrony, sowy, orliki, nawet małe pustułki. I on – Ptasi Król. Ptaki krążą nade mną. Kakofonia dźwięków rozsadza mi głowę. Jestem koszmarem. Nic nie jest w stanie uchronić mnie przed udręką. Nic nie jest w stanie uchronić mnie przed pamięcią.

I naraz on, Juruś, niczym majestatyczny maestro na wielkiej scenie nieba, staje pośrodku. Bo potrafi zapanować nad tym rwetesem, zaprowadzić harmonię. Tylko on – Ptasi Król. Z rękami wyciągniętymi do taktu. Złota batuta lśni w słońcu. A on sprawia, że wszystkie ptaki łączą się w wielką orkiestrę. Wymaszczone kalafonią smyczki skrzypiec, altówek, naciągnięte membrany. Z cicha rozpoczyna się podniebny koncert. I płynie pod niebiosa poemat „Never-more”. I krzyczy w przestrzeń tragiczny dyrygent: „Nigdy już, nigdy już, nigdy już”. Ponad pożogą rozgrywa się misterium opowiadania żalu<sup>13</sup>. Kruki nad wszystkim jak czarne chorągwie. A potem cisza i mgła nad łąką, i lasu odwieczna opowieść.

\*\*\*

Życie trwa. Czas płynie. Dzieci rosną. Wokół słowa się mnożą i coraz to któryś most niepotrzebny, bo brzeg spotkał się z brzegiem. I świat mniej obcy i wrogi z dnia na dzień.

*Mężczyzna obok mnie jest ojcem moich dzieci. Jego włosy wioną spalenizną. Siwy popiół zostawia po sobie.*

*Widzę wielki stos na środku podwórza. Snop ognia bije w górę. Sypią się pióra ptaków, wyłoczone iskrami jak posypane brokatem bombki. Mój mąż dorzuca do ognia. Kolejny ptak skwierczy ze skargą. I kolejny. Śmierć i pożoga. I głos mojego męża przebija przestrzeń:*

*– To ja, ja, ja! Jestem tym, który podłożył śmiercionośny ogień! Kiedy zazdrość zalała me serce, odebrała rozum, oślepiła i ogłuszyła, stałem tak długo, dopóki pożar go nie strawił!*

*Jestem zemstą!*

*Widzę mężczyzn prowadzących mojego męża wąską ścieżką do samochodu. Jego ręce spętane. Jego głowa odwrócona w moją stronę. Jego oczy szukające dzieci. I umarł dla mnie na wieki.*

*Świat nie wybacza zbrodni.*

*Jestem karą!*

\*\*\*

*Ludzkie języki odrodzone, łakome nieszczęścia, wysuwają się chępliwie. Wypuszczają jad. I jeszcze raz, i jeszcze mocniej! W dom na skraju lasu! W tych odmieńców, odszczepieńców, co pod dach przyjęli mordercę. Ona błąka się z koszem wspartym na biodrze. Pęki ziół, korzeni, kłaczy. Ręce poranione od ziela. We włosach puch mniszka. Biedna Estero! Nie znajdziesz lekarstwa na życie! Choćbyś uleczyła nieuleczalne i martwego do życia na nowo powołała – czasu nie cofniesz, przeszłości nie wrócisz. On struga z drewna rączy jelonki, świętych od wszelkich boleści, Żydów z grosikiem na szczęście. Wióry sypią się na ziemię, dłuto parzy dłoń. Nieszczęsny Anzelmie! Nie tchniesz życia w martwą materię. Nie jesteś Bogiem!*

*Widzę moje dzieci. Ludzie z miasta wyciągają po nie ręce.  
Świat nie wybacza inności.*

\*\*\*

*Jestem rozpaczą.  
Trzeba czasu, trzeba wybaczenia.*

\*\*\*

*To ja, Ruta. Ciałem i duchem jestem. Tyka zegar. Jak  
w starej baśni. W snopie światła tańczą drobiny kurzu. Stoję na  
granicy światów. Przeszłość utknęła na granicy umysłu. Wokół  
mgliście i gęsto. Światło pokonuje mrok. Przetwarzam świat.  
Nade mną kraina ciszy i błękitu. Zbliżam się do bariery, za którą  
nie ma fikcji. Chcę ją przekroczyć. Nie chcę być zawieszona  
między niebem a ziemią, między ziemią a piekłem. Oni są tutaj.  
Matka i ojciec. Jesteśmy równolegli. Za oknem biel, szyby  
w ażurze – jak wystrojona w koronkową suknię panna.*

*Jestem wybaczeniem.*

*Miłością jestem.*

*Odpuszczeniem win jestem.*

*Jej głos płynie z zamierzchłej przeszłości.*

*– Vos hostu mayn tokhter? Vos iz gesheen? Bist mid  
gevoren fun dem leben! Ober du host a khordnes fun a shtein.  
Un dos zelbe zikoren. Kim tsurik! Dos emesdike leben iz do. Kim  
tsurik veil ken zayn az mir trefen unz nisht mer. Kim tsurik far in,  
far deyne kinder, far mir... far dir.14*

\*\*\*

*To ja, Ruta. Czuję dziwne szarpnięcie. Jestem lekka  
i zwiewna. Ciepło rozlewa się we mnie. Wąskimi korytarzami,  
szerokimi arteriami. Łączy się w jeden nurt niosący życie. Chcę*



*wrócić. Bezpowrotnie zginąć w terażniejszości. A ziemia pode  
mną tętni. Bije serce świata. Wokół ruch i mgły opadanie.  
Historia toczy swój bieg. Ludzie przychodzą i odchodzą.*

*Chcę przeniknąć mgłę. Czas wyleczył rany. Kamienie dały  
moc. Tylko człowiek jest w stanie przejść przez piekło. Ruszyć  
z posad to, co zdawało się nie do ruszenia. Zapomnieć to, co nie  
powinno być zapomniane. Wybaczyć niewybaczone.*

*Ja, Ruta. Z martwych powstaję.*

13 Z.M. Piechocki, *Pani Monice Wolińskiej – dyrygentce*,  
[w:] *Ad libitum*, Gorzów Wlkp. 2015, s. 27. Wiersz nawiązuje do  
poematu symfonicznego E. Morawskiego *Nevermore wg E.A.  
Poe*.

14 *Co ci jest, moja córko? Co się dzieje? Zmęczyło cię  
życie! Ale masz w sobie twardość kamieni. I ich pamięć. Wróć!  
Prawdziwe życie jest tu. Wróć. Bo możemy już nigdy się nie  
spotkać. Dla niego, dla swoich dzieci, dla mnie... dla siebie  
wróć.*

## Epilog

(...) Wiedząc, że znasz nasze misterium  
od podszewki, a zatem rozumiesz,  
jak bardzo w samotnych kryjówkach potrzebne nam  
towarzystwo  
naszych dobrych umarłych, żeby  
dodali otuchy w denne dni, kiedy osoba jest nikim  
zwalonym na hałdę niczego,  
i żeby zdjęli z nas urok rzucony przez nas samych, kiedy  
rozmlaskane  
chochliki tkliwości i bredni  
piszą naszymi rękami, co chcą, wiem, że nie uznasz tego za  
nachalność,  
jeśli cię poproszę, żebyś posiedział ze mną,  
aż przyjdzie czas na drinka: drogi Cieniu, pisząc dla ciebie  
elegię,  
powinienem był się zdobyć  
na coś bardziej w twym stylu niż ten egocentryczny  
monolog,  
lecz przyjmij go...  
(urwane przez autorkę, a poeta dodał: „W imię przyjaźni”)  
W.H. Auden, *Jaskinia wytwórczości*

przełożył Dariusz Sosnicki

Postscriptum

Fikcyjne, jednoznaczne  
Światy poza czasem  
Nie cieszyłyby,  
Gdyby nie nasz,  
Doczesny, na którym nic  
Nie jest tym, czym się wydaje.

Barlinek, styczeń 2016

## Spis treści

Prolog CZEŚĆ I 1. Dziewczyna z mgły 2. Przesłuchanie 3. Noc jak zwykle bezsenna 4. Sala numer 7 CZEŚĆ II 1. Ludzie z tamtych lat 2. Zły czas 3. Stara Wikta z lasu CZEŚĆ III 1. Nieznośne poczucie bytu 2. Kamienie mają moc 3. Opowieść Estery CZEŚĆ IV 1. Spotkanie 2. Niespodziewany gość 3. Odszczepienie 4. A jednak życie Epilog

